

 Harlequin®

Romans
Historyczny

KATE BRIDGES Julia szuka męża

NR 15 08/11 INDENS 359005 CENA 12,99 ZŁ W TYM 9% VAT

KATE
BRIDGES

Julia szuka męża

18



Kate Bridges



Julia szuka męża

Rozdział pierwszy

Czerwiec 1895, Calgary, Alberta

Nawet po tych wszystkich latach, za każdym razem, gdy słyszała jego nazwisko, Julia O'Shea miała ochotę dać mu w twarz.

Tego dnia, kiedy Ryan Reid znowu pojawił się w jej życiu, bardzo się spieszyła, by przygotować na czas kolejny numer gazety. Do południa została jeszcze godzina. Jej jedyny reporter obsługiwał prasę rotacyjną, ona zaś zajęta była układaniem świeżo wydrukowanych egzemplarzy w równe sterty. Niespodziewanie do drukarni weszło dwóch dystrybutorów. Julia przywitała ich uśmiechem, ale widząc ich twarze, odgadła, że nie przyносят dobrych wieści.

- Handel kiepsko idzie - szepnął ze wstydem stary pan Rossman i położył przed nią paczkę ścierek. - Susza doskwiera ranczerom. Nikt nic nie kupuje. Czy mógłbym znów zapłacić ścierkami?

Julia wsunęła palec pod wilgotną aksamitną obrózkę na szyi. W ciągu ostatniego miesiąca schudła o pięć funtów i luźna szara spódnica ciągnęła się za nią po podłodze. Zatrzymała wzrok na znoszonej koszuli Rossmana, wielokrotnie łątanej na łokciach. Nie był bogatszy od niej i miał na utrzymaniu troje dzieci, a ona tylko jedno.

- Proszę się o to nie martwić. Dziękuję, że wciąż bierze pan ode mnie gazety.

Drugi mężczyzna, przygarbiony właściciel sąsiadującej z drukarnią restauracji, zaproponował jej skrzynkę ścinków blachy. Julia przyjęła tę zapłatę ze ściśniętym sercem. Jeśli tak dalej pójdzie, to przed upływem miesiąca będzie zmuszona zamknąć drukarnię. Nie pokazała jednak po sobie zmartwienia. Odprowadziła sąsiada do otwartych drzwi i pomachała mu na pożegnanie.

Gorący wiatr z prerii poruszał jej spódnicą, a unoszący się w powietrzu kurz drażnił jej nozdrza i osiadał na cienkiej bluzce. Ulicą jechał ciągnięty przez dwa woły wóz osadników. Codziennie pociągami towarowymi ze wschodu przyjeżdżały do Calgary dziesiątki ludzi, którzy osiedlali się w mieście lub okolicy. Krajobraz wokół niej zmieniał się niemal z dnia na dzień. Patrząc na ten nieustanny ruch, Julia czuła się nieswojo. Już

od dzieciństwa wszelkie zmiany budziły w niej niepokój. Życie nigdy nie zmieniało się na lepsze; nieodmiennie stawało się coraz trudniejsze. A tak bardzo pragnęła dać swemu synkowi Pete'owi więcej, niż sama miała w dzieciństwie - gorący posiłek każdego dnia, łóżko z prawdziwym materacem zamiast siennika, rodziców, którzy nie siedzieli w więzieniu, i miłość.

Za jej plecami David Fitzgibbon obracał wielkim bębnem. W zeszłym tygodniu musiała zwolnić dwóch reporterów i teraz cała praca spoczywała na barkach ich dwojga. Była jednak przekonana, że koło fortuny w końcu musi się odwrócić. Nie po raz pierwszy przychodziło jej przekuwać zły los w dobry i miała w tym spore doświadczenie.

- Potrzebujemy jakiejś sensacji, która zwiększyłaby sprzedaż - powiedziała do Davida. - Jakiejś historii, która podniosłaby ludzi na duchu i nie miała nic wspólnego z suszą ani z pożarami.

David podniósł głowę. Spod kraciastej czapki sterczały jasne włosy.

- Gdy ludzie przeczytają twoje ogłoszenie, języki pójdą w ruch i...

- Moje ogłoszenie nie miało na celu zwiększenia sprzedaży.

- Ale ogłoszenie o poszukiwaniu męża...

Julia wzięła do ręki świeżo wydrukowaną pierwszą stronę „Heralda Kalgaryjskiego”. Na widok czarno-białego ogłoszenia na samym dole ogarnęło ją z wątpienie. Nie zamierzała umniejszać pamięci swego nieżyjącego męża, Brandona, ale już od pięciu lat była samotna i trzeba było coś z tym zrobić.

Od jakiegoś czasu nie miała szczęścia do adoratorów. Niektórym mężczyznom nie podobało się to, że prowadzi własne przedsiębiorstwo, i wymagali od niej, by skupiła się na domu, inni nie potrafili zaakceptować nie swojego dziecka. Zdarzyło jej się nawet mieć do czynienia z bezrobotnym włóczęgą, który założył, iż Julia gotowa jest przyjąć z otwartymi ramionami każdego mężczyznę, który zawędruje do jej drzwi. Dlatego doszła do wniosku, że najlepiej będzie z góry sprecyzować swoje oczekiwania, żeby zaoszczędzić obu stronom późniejszych rozczarowań i zranionych uczuć. A ponieważ wielu mężczyzn szukało żon przez ogłoszenia, uznała, że równie dobrze i ona może znaleźć w ten sposób męża.

- Powinniśmy się skoncentrować na stronie towarzyskiej. Nic nie interesuje ludzi bardziej niż życie innych - zauważyła.

- W takim razie trzeba napisać o jakiejś ważnej rodzinie. - David przeniósł na ladę ostatnie wydrukowane arkusze. Teraz należało je poskładać. Sterta gazet była nieco krzywa. David miał słabsze lewe ramię - pozostałość po odniesionej przed kilku laty ranie, w którą wdało się zakażenie. - Ryan Reid wrócił do miasta. Moglibyśmy coś o nim napisać.

Julia poczuła uderzenie gorąca do twarzy.

- Co powiedziałaś?

- Ryan Reid. Znasz go?

Potknęła się i gazeta wypadła jej z ręki.

- Donovan Ryan Reid?...

- Właśnie. Chłopak hotelowy, który mieszka po drugiej stronie ulicy, twierdzi, że większość ludzi nazywa go Ryan.

A więc ten dzień w końcu nadszedł. Julia niezręcznie poprawiła koronkowy kołnierzyk, próbując odsunąć od siebie obraz Ryana w barze jej dziadka. Na wspomnienie ich ostatniej rozmowy znów zeszywniała ze złości. Podeszła do drzwi i spojrzała na hotel Preria, widoczny za turkoczającymi wozami.

- On tu jest?

- Przechodził tędy dwie godziny temu. Zauważyłem, jak zeskoczył z wozu i wszedł do hotelu, więc poszedłem za nim. Sprawiał wrażenie kogoś ważnego, chociaż miał potargane włosy i zniszczone ubranie. Chłopak hotelowy powiedział, że to dawno zaginiony syn Josepha Reida - ciągnął David. - Czas nas gonił, więc nie mogłem zostać dłużej i wypytać dokładniej, ale pokojówka wspomniała, że to czarna owca w rodzinie. Wiesz może, dlaczego tak o nim mówią?

Julia wzięła się w garść.

- Zabił kiedyś człowieka.

David bezwładnie opadł na stół.

- Morderca!... Jak?...

- Zadźgał go nożem.

- To byłaby dla nas idealna historia - uznał. - Nic dziwnego, że rodzina się go wyrzekła. Obydwaj jego bracia są w policji konnej. Boże drogi! A jego ojciec też był gliniarzem, jeszcze w Irlandii. Ile lat Ryan siedział w więzieniu?

- Nie poszedł do więzienia. To było w samoobronie.

David gwizdnął.

- Wyobraź sobie nagłówek: „Powrót czarnej owcy”. Sprzedalibyśmy cały nakład na pniu.

- Co?! - Julia zmarszczyła czoło. - Nie... ja nie to...

David sięgnął po aparat.

- Twój dziadek i Pete zaraz tu przyjdą i dokończą robotę. Weź notes, idziemy.

Przesunęła drżącą dłonią po policzku. Przez wiele lat obiecywała sobie, że nigdy więcej nie zbliży się do Ryana, wiedziała jednak, że jeśli szybko nie pochwyci tego tematu, to któraś z trzech innych gazet w mieście zrobi to bez wahania. Ona zaś musiała troszczyć się o dziadka i Pete'a, musiała wypłacić pensję Davidowi. Miała też swoją dumę i chciała udowodnić wszystkim, że była barmanka potrafi dać sobie radę w interesach.

Krew pulsowała jej w żyłach. Przede wszystkim chciała udowodnić Ryanowi, że doskonale poradziła sobie bez niego.

- Przyjechał pan nie w porę.

- Jak sądzisz, kiedy wrócą? - Ryan Reid, świeżo po kąpieli, bez koszuli, tylko w ręczniku narzuconym na nagie ramiona, wyminął wąskie hotelowe łóżko i podszedł do otwartego okna. Potarł dłonią podbródek i odwrócił się w stronę chudego recepcjonisty, który przedstawił się jako Ned i który w tej chwili ugiął się pod ciężarem walizki. Rzucił ją na łóżko obok dwóch najcenniejszych rzeczy, jakie Ryan posiadał: zniszczonej skórzanej torby oraz skrzypiec w sztywnym futerale.

- Szef mówił, że pański ojciec i bracia pognali dwieście sztuk bydła na zachód od Red Deer, a pańska matka i siostra wybrały się z wizytą do krewnych na południu. Wszyscy powinni wrócić za jakiś tydzień.

Recepcjonista wygładził prześcieradła, po czym nalał wody do miski. Ryan pochylił się nad parapetem i wyjrzał przez okno. Powietrze przesycone było zapachem kurzu. Od czasu gdy był tu po raz ostatni, Calgary powiększyło się trzykrotnie, ale wciąż miał wrażenie, że jest mu w tym mieście za ciasno. Powiódł wzrokiem ponad wozami osadników. Daleko na zachodzie, nad szczytami wzgórz unosiła się ledwie widoczna smużka dymu. Kolejny pożar prerii. Rok był suchszy niż zwykle, wszyscy tak mówili, i pożary wybuchały często.

- Módl się o deszcz - powtarzali osadnicy, z którymi podróżował.

Ktoś zastukał do drzwi. Ryan otworzył i zobaczył młodą szkocką pokojówkę. Dziewczyna spojrzała na jego nagą pierś i jej ładna twarz oblała się ciemnym rumieńcem. Podała mu cztery złożone gazety.

- Jak pan sobie życzył, sir.

Wydawanie gazety nie wymagało dużych nakładów finansowych, toteż w większości miast wychodziło ich po kilka, ale część szybko upadała.

- Która jest najświeższa?

- „Herald Kalgaryjski” przed chwilą zszedł z prasy. Odnalazł gazetę i przeczytał nagłówek: „Pożary coraz bliżej”. Rzucił gazety na łóżko. Znowu ktoś zastukał do drzwi. Tym razem za progiem stał fryzjer.

- Proszę wejść - powiedział Ryan uprzejmie. - Gdzie będzie panu najwygodniej?

Starszy mężczyzna w białej koszuli i brązowej atłasowej kamizelce skinął głową i podszedł do toaletki, przy której stało krzesło. Jego wypomadowane, zaczesane na tył głowy włosy zaśniły w pomarańczowym blasku słońca. Ryan przymrużył oczy i przyjrzał mu się uważniej.

- Dobrze cię znowu widzieć, Todd.

- Boże święty! Ryan Reid? To naprawdę ty? - Fryzjer zatrzymał wzrok na bliźnie przecinającej pierś Ryana i zakaszłał.

Ryan przypomniał sobie, jak bardzo Todd Mead lubił wtykać nos w cudze sprawy. Usiadł na krześle i kazał Toddowi ostrzyc się jak najkrócej. Po długiej podróży był zarosnięty jak dzikus.

Pasma włosów zaczęły spadać na ręcznik rozłożony na jego ramionach.

- Dziś wieczorem za saloonem będzie dobra walka. Można trochę zarobić.

Ryan zacisnął zęby.

- Ja już nie walczę.

- Kiedyś doskonale radziłeś sobie z nożem. Nazywaliśmy go Kosa, bo zawsze kałeczył przeciwnika w pierś - rzucił fryzjer w stronę recepcjonisty z uciechą w głosie.

- Powiedziałem, że już nie walczę - uciął Ryan ostrym tonem.

Ktoś zadudnił pięściami w drzwi. Recepcjonista podskoczył, by otworzyć. Do pokoju wcisnął się chudy blondyn w czapce w kratkę, podobny do stracha na wróble. Ryan zauważył w jego rękach pudło przenośnego aparatu fotograficznego. Za nim weszła kobieta w słomkowym kapeluszu, który zakrywał większą część jej twarzy. Miała ze sobą notes i ołówek. Reporterzy? - zdumiał się. Czego mogli chcieć od niego reporterzy?

Na ramię kobiety opadał ciemnorudy warkocz, kapelusz ozdabiały trzy błękitne pióra, szara spódnica miękko opływała uda. Jej strój był znoszony, ale stylowy, jak u prawdziwej damy. Ryan poczuł niepokój. W swoich podróżach niewiele spotykał prawdziwych dam.

Pochyliła głowę i zatrzymała na nim spojrzenie. Usłyszał stłumione westchnienie, gdy zauważyła blizny. Poczuł złość. Reakcja nieznanym zabolą go bardziej niż reakcje pokojówki, fryzjera i recepcjonisty. Ma za swoje, pomyślał. Nikt jej tu nie zapraszał. To był w końcu jego pokój.

- Dzień dobry panu - powiedział strach na wróble.

- Kim jesteście? - zapytał Ryan groźnie, podnosząc się z krzesła. Kosmyki obciętych włosów posypały się z jego ramion. - Czego, do diabła, chcecie?

- Ryan. - Julia westchnęła, cofając się o krok.

Miała przed sobą dziką bestię. Włosy sypały się z jego ramion, czarna broda lśniła w słońcu. Zauważyła za jego pasem pistolety i naboje, jakby wybierał się na wojnę. A więc wciąż lubił walczyć.

- Sir, nazywam się David Fitzgibbon i pracuję dla „Heralda Kalgaryjskiego”, największej gazety w mieście. Chciałbym z panem przez chwilę porozmawiać - wyjaśniał David, podczas gdy Julia, wdzięczna za tę chwilę na uspokojenie myśli, nie spuszczała oka z Ryana. Rozpoznawała znajome, ostre rysy twarzy oraz pochmurne spojrzenie, któ-

re niczego nie pomijało. Najgorsze jednak były blizny. Brakowało mu kawałka lewego ucha. Słońce wpadające przez okno oświetlało długą szramę, biegnącą od prawego sutka aż na drugą stronę piersi i dalej w dół pod mocno umięśnionym ramieniem. Skąd się to wzięło? Dostrzegła pulsowanie jego mięśni i próbowała znaleźć odpowiednie słowo, by opisać jego wygląd. Nieludzki? Odrażający? Emanował siłą i widać było, że niewiele dba o opinię świata.

Zawsze taki był. Zawsze szukał w życiu sensu i celu, nawet wtedy, gdy jako młody chłopak przesiadywał na stołku w barze jej dziadka, próbując zapić swoje niepowodzenia. Miał najmocniejszą głowę ze wszystkich mężczyzn, jakich знаła, a w tamtych latach obsługiwała ich wielu.

Słyszała kiedyś, jak ojciec Ryana, Joseph Reid, powiedział synowi, że nic z niego nie będzie. Jeszcze teraz serce jej się ścisnęło na wspomnienie wyrazu twarzy Ryana, gdy usłyszał te słowa. Większość ludzi w mieście była jednak podobnego zdania. Przepowiadali mu, że nie dożyje trzydziestki.

Zatrzymała spojrzenie na gazetach leżących na łóżku obok zniszczonej skórzanej torby i dziwnego futerału na skrzypce. Jej gazeta była na samym wierzchu. Przypomniała sobie ogłoszenie i jęknęła w duchu. Nie wstydziła się tego, co zrobiła, ale nie miała ochoty ujawniać przed Ryanem swoich słabości.

- Chcielibyśmy tylko zrobić parę zdjęć i zadać panu kilka pytań - ciągnął David. - Taki artykuł pomógłby mieszkańcom miasta oderwać się na chwilę od codziennych kłopotów.

Ryan zwrócił się w stronę Julii. Nie widziała jego twarzy, ale zauważyła napięcie ramion.

- A pani? - warknął. - Umie pani mówić?

Zacisnęła palce na notesie, powstrzymując chęć, by dać mu w twarz.

- Rozmawiam tylko z ludźmi, którzy są wystarczająco spokojni i rozsądni, żeby mnie słuchać.

Recepcjonista prychnął, David wstrzymał oddech. Julia rozmyślnie powolnym gestem uniosła głowę i ukazała Ryanowi całą twarz. Ich oczy spotkały się.

Przez dziesięć lat wyobrażała sobie tę chwilę. Serce zaczęło jej bić mocniej, a ramiona pokryły się gęsią skórką. On jednak niczego po sobie nie pokazał, tylko przez moment w jego oczach zamigotał błysk, który mógł świadczyć o tym, że ją rozpoznał - ale ten błysk zaraz zniknął i usta Ryana skrzywiły się w lekkim uśmiechu.

- Rozsądni na tyle, żeby słuchać? W takim razie może to pani powinna mówić, a pani przyjaciel niech usiądzie.

Całe napięcie opuściło Julię. Poczowała się upokorzona. On jej nie pamiętał.

TLR

Rozdział drugi

Ryan Reid nie zmienił się ani na jotę. Wciąż był skupiony na sobie i zupełnie nieświadomy efektu, jaki wywierał na otoczeniu. Odesłał recepcjonistę, ale kazał zostać fryzjerowi.

Uraza Julii, pielęgnowana od dziesięciu lat, stała się jeszcze większa. Ile miał kobiet przez te lata, skoro nawet jej sobie nie przypominał? Owszem, jej włosy wyglądały teraz inaczej, a twarz dojrzała, nosiła też zupełnie inny strój, lecz mimo wszystko...

No dobrze, więc jej nie pamiętał. Tym łatwiej powinno jej przyjść zdobycie tego, po co przysła, czyli rozmowy z jednym z najsłynniejszych synów Calgary. Ha!

Ryan podszedł do stolika z napojami. Wciąż był półnagi, włosy miał obcięte tylko częściowo, ale nie zważał na to. Fryzjer w pośpiechu mył grzebienie w umywalni, gotów w każdej chwili wrócić do przerwane zadania. Julia zauważyła, że posłał jej dziwny uśmiech. Och, nie! - pomyślała w popłochu. Widocznie Todd już przeczytał jej ogłoszenie. Modliła się w duchu, by go teraz nie skomentował.

- Czy ktoś ma ochotę? - zapytał Ryan, biorąc do ręki butelkę bourbona, a gdy David i Julia odmówili, nalał sobie. - Powtórzcie mi wasze nazwiska.

- David Fitzgibbon, sir, i pani Julia O'Shea, wdowa.

Julia poczuła irytację. Rozmowność Davida zwykle była zaletą, zważywszy na jego zawód, w tej chwili jednak lepiej byłoby, żeby trzymał język za zębami. Na szczęście ani Todd, ani David nie mieli pojęcia, co tak naprawdę zaszło kiedyś między nią a Ryanem. Oprócz rodziny Ryana wiedziało o tym bardzo niewielu ludzi w mieście, ponieważ działo się to o dwadzieścia mil na północ, w miasteczku Redwood, skąd Julia wyprowadziła się zaledwie przed pięcioma laty.

Nie widziała teraz twarzy Ryana. Jego masywna sylwetka zasłaniała całe okno. Podniósł szklanekę do ust, wpatrując się w złocisty płyn.

- Znałem kiedyś człowieka o nazwisku O'Shea. Mieszkał w Redwood i na imię miał Brandon.

- To był jej mąż - odezwał się natychmiast David, ale uciszyło go gniewne spojrzenie Julii.

Ryan zawahał się. Dopił bourbona, wyrzwał na ulicę i zapytał cicho:

- Czy drukarnia O'Shea należała do Brandona?

- Nie! - odrzekła ostro. - Ta drukarnia należy do mnie. To ja ją założyłam.

Odstawił pustą szklankę na stół i obrócił się do niej.

- W czasie moich podróży nigdy nie spotkałem kobiety-reportera.

Zauważyła, że zaskoczył go jej zawód, i była z tego zadowolona. Wyraźnie wzbudziła w nim ciekawość.

- W czasie pańskich podróży? A dokąd pan podróżował, sir? - David natychmiast skorzystał ze sposobności. - Można wiedzieć?

Ryan oderwał wzrok od twarzy Julii i spojrzał na niego gniewnie. David cofnął się nerwowo. Napotkał na swej drodze łóżko i opadł na materac.

- Posiedzę tutaj, a pani O'Shea przeprowadzi rozmowę.

- Doskonały pomysł - mruknął Ryan.

- Zaczynamy, Jul... pani O'Shea. - David przeniósł na nią wzrok. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sir, to usiądziemy na pańskim łóżku. Proszę sobie nie przeszkadzać w strzyżeniu. - Zgarnął rozrzucone gazety i ułożył je przy zagłówku. - Kiedy przeczyta pan naszą gazetę, żadna inna nie będzie już panu potrzebna.

Litości, pomyślała Julia. Miała nadzieję, że jej gazeta akurat tego dnia nie trafi w ręce Ryana. Sprężyny łóżka skrzypnęły. David zmienił pozycję i poklepał miejsce obok siebie, zapraszając, by też usiadła, ona jednak czuła się jak sparaliżowana. Fryzjer wyjął z kąpieli swoje nożyczki i grzebienie i znów ułożył je na ręczniku obok krzesła, przesyłając jej rozanielone spojrzenia. Jęknęła w duchu. Todd był o wiele za wścibski jak na jej gust, ponad dwukrotnie od niej starszy i próbował się do niej zalecać już od roku.

Ryan również nie spuszczał z niej oczu. Pierwsze pytanie zadała mu ochryłym szeptem.

- Podobno nie było pana tutaj od bardzo dawna. Gdzie pan przebywał przez ten czas?

- Za granicą - odrzekł głębokim głosem.

- I co się z panem działo?

- Zaciągnąłem się do armii brytyjskiej. Każdy obywatel kraju związanego z Imperium Brytyjskim ma prawo służyć w brytyjskiej armii - wyjaśnił. - Podobnie jak w tutejszej policji konnej służy wielu Anglików i Amerykanów.

Obecność Ryana była dominująca. Usiadł na krześle przed Toddem, który pochylił mu głowę, by ostrzyć tył. Julia, przycupnięta na łóżku dwie stopy od jego kolan, z ulgą oderwała wzrok od jego twarzy. Zdawała sobie sprawę, że on patrzy teraz na wystrzępiony brzeg jej sukni, zdarte obcasy butów i postrzępioną chusteczkę wystającą z kieszeni. Poczowała zażenowanie, że nie stać jej na nic lepszego.

Brzytwa musnęła czubek ucha Ryana. Julia gwałtownie cofnęła nogę, gdy kosmyk czarnych włosów opadł na podłogę tuż obok jej buta.

- Jakie są pana plany, sir? - zapytał David, niezdolny zachować milczenie.

Ryan zamrugał.

- Miałem nadzieję utrzymać te plany w tajemnicy aż do powrotu rodziny.

- A kiedy pańska rodzina wróci? - dopytywał się David, gorliwie pochylając się do przodu.

- Za tydzień.

- To rozwiązuje problem. Nasza gazeta to tygodnik. Następne wydanie ukaże się dopiero w czwartek po południu, po ich powrocie.

Drewniane krzesło zaskrzypiało pod ciężarem Ryana, który poruszył się i zerknął na Todda.

- Przypuszczam, że moje oficjalne plany i tak staną się powszechnie znane już jutro.

Julia przypomniała sobie, że jest w pracy.

- A więc zaciągnął się pan do armii brytyjskiej... Czy stało się to zaraz po pańskim wyjeździe? - zapytała, z trudem powstrzymując drżenie palców, w których trzymała ołówek.

Ryan nie odpowiedział od razu. Fryzjer zgarnął włosy z jego ramion.

- Gotowe. Teraz pana ogolę.

- Nie pojechałem do Anglii od razu, ale niedługo potem.

Była to tak niejasna odpowiedź, że nie nadawała się do publikacji. Musiała mu zadawać bardziej konkretne pytania.

- A co pan robił w armii brytyjskiej?

- Przez pierwsze trzy lata walczyłem w koloniach w Afryce.

Afryka. To był drugi koniec świata. Zbyt długo zastanawiała się nad następnym pytaniem. David popatrzył na nią ze zdziwieniem, skrobiąc się po czole, i w końcu sam zapytał:

- Jakie stanowisko zajmował pan w armii?

- Specjalisty od materiałów wybuchowych.

David gwizdnął.

- A co pan dokładnie robił?

- Wysadzałem dynamitem drogi, mosty i składy amunicji wroga. Wszystko, co należało roznieść na drzazgi.

Julia usłyszała w jego głosie niezadowolenie i coś jeszcze - może cierpienie? Choć to chyba było za mocne słowo.

- A potem? - zapytała, notując. - Co się stało po tych trzech latach?

- Znudziło mi się niszczenie.

Gwałtowny, agresywny Ryan Reid miał już dość niszczenia? Śmiałek, który w niczym nie znał miary? Jego skłonność do przekraczania granic we wszystkim była jednym z powodów, dla których nazywano go Kosą. Julia podniosła głowę znad notesu.

- Porzucił pan służbę?

- Nie - odrzekł cicho.

- Nie rozumiem... - Odczekała chwilę, ale on nie spieszył się z wyjaśnieniami. - A czym się pan teraz zajmuje?

Znów odpowiedziało jej milczenie, jakby Ryan zastanawiał się, co rzec. Julia poruszyła się niespokojnie, próbując znaleźć pozycję, w której wyglądałaby na bardziej pewną siebie. Skrzyżowała nogi i wzrok Ryana zatrzymał się na jej udach. Znów poczuła, że krew napływa jej do policzków.

No cóż, do tej zabawy trzeba było dwojga. Jeśli Ryan sądził, że ona będzie go błagać o rozmowę, to niech sobie poczeka. Siedziała w milczeniu, starając się sprawiać wrażenie, jakby nigdzie jej się nie spieszyło.

David Fitzgibbon pierwszy stracił cierpliwość i zaczął zgadywanki.

- Pewnie wrócił, żeby spróbować swoich sił na ranchu ojca.

- A może teraz walczy zawodowo? - mruknęła Julia z ironią.

Ryan zacisnął zęby i mięśnie jego brzucha napięły się. Gdy fryzjer oderwał brzytwę od jego policzka, wyprostował się w krześle i zmierzył Julię wzrokiem.

- Zaciągnąłem się do policji konnej.

David otworzył usta ze zdziwienia. Julia osłupiała. Czy policja przyjmowała w swoje szeregi takich wyrzutków? Nie skazano go co prawda za morderstwo, ale przecież figurował w rejestrach przestępstw.

- A więc został pan policjantem, tak jak pańscy bracia - ożywił się David.

- Tak.

- Czy w policji również będzie pan specjalistą od materiałów wybuchowych? I kiedy się pan zaciągnął?

Fryzjer zaczął golić drugi policzek Ryana. Spod zarostu ukazała się mocna szrama, sięgająca od lewej strony szczęki aż do ucha. Nic dziwnego, że nosił brodę. Do oczu Julii napłynęły łzy. Odwróciła wzrok, ale Ryan zdążył zauważyć jej reakcję i przez jego twarz przebiegł dziwny błysk.

- Zaciągnąłem się, przejeżdżając przez Reginę, dwa tygodnie temu. Poprosiłem o przydział do oddziału w Calgary. Jutro mam się zgłosić do komendanta fortu.

- W takim razie będzie pan młodszym konstabłem - powiedziała pospiesznie.

Ryan zmarszczył brwi.

- Dlaczego przypuszcza pani, że zaczynam od samego dołu?

- Bardzo przepraszam. W takim razie jaka jest pańska ranga? Nie chciałabym popełnić błędu. - Trzymała ołówek w gotowości.

Ryan odchylił się do tyłu, wyciągnął przed siebie długie nogi i podniósł twarz w stronę sufitu, wpatrując się w pajaka, który dyndał zawieszony na nitce pajęczyny. Julia czuła się w tej chwili podobnie.

- No dobrze - powiedziała w końcu, pragnąc przyspieszyć tempo. - Wspomniał pan, że znudziło się panu wysadzanie.

- Niszczenie - poprawił ją David.

- Niszczenie - powtórzyła. - Czym się różni niszczenie rzeczy czy rozsadzanie ich na strzępy od niszczenia życia ludzi, których pozostawił pan za sobą?

W pokoju zaległa cisza. Zażenowana własnym wybuchem Julia wpatrzyła się w ostro zatemperowany czubek ołówka. Gdy znów podniosła wzrok, fryzjer ścierał z policzka Ryana resztki piany do golenia, a potem zabrał się za zmiatanie włosów. W pełnym napięcia milczeniu, przerywanym tylko szuraniem szczotki o deski podłogi, rozległ się głos Ryana:

- Mam stopień inspektora. Jestem chirurgiem polowym.

Mówił cicho, ale nawet gdyby zerwał się i krzyczał, zdumienie Julii nie mogłoby być większe.

- Lekarz - powtórzył w zamyśleniu David. - Leczy pan, zamiast... - Ryan skrzywił się. David odsunął czapkę na bok głowy i podrapał się w czoło. - Ale do tego potrzebne jest odpowiednie wykształcenie i sprzęt.

- Czy wystarczy pięcioletnie szkolenie w Królewskim Korpusie Medycznym? A jeśli odchyli się pan jeszcze trochę bardziej do tyłu, to zgniecie pan moją torbę lekarską.

- Do diabła! - mruknął David. Odsunął skórzany sakwojaż, który miał za plecami, i zaczerwienił się na widok wpatrzonych w siebie trzech par oczu. - Proszę mi wybaczyć ten język, pani O'Shea, ale cóż to za ironia sytuacji! Kiedyś dobrze radził sobie z nożem, a teraz w dalszym ciągu kroi ludzi.

- Właśnie o to chodziło - mruknął Ryan.

Fryzjer spakował swoje przybory i poszedł do wyjścia. Już w progu skinął głową w stronę Julii i oznajmił:

- Byłoby dla mnie wielkim zaszczytem, pani O'Shea, gdyby zechciała pani rozpatrzyć moją kandydaturę w związku ze swoim ogłoszeniem. - Todd zawsze próbował za imponować jej wyszukany słownictwem, bez względu na to, czy to, co mówił, miało jakikolwiek sens. - Zapewne warunkiem jest to, co mogę zaoferować. Zakładam, że może pani przebierać w mnogości kandydatów.

- Proszę, panie Todd, czy moglibyśmy porozmawiać o tym później?

- Wedle pani życzenia.

Gdy wyszedł, Ryan zatrzymał wzrok na stercie gazet.

- O czym on mówił?

- Nic takiego. Potrzebuję kogoś do pomocy w drukarni - odrzekła Julia, omijając wzrokiem Davida, ale ten na szczęście wrócił do przerwane go wywiadu:

- Ten numer będzie wielkim sukcesem. Chirurg wojskowy, najtrudniejsza gałąź medycyny, opatruje krwawe rany w ogniu bitwy.

- Wolałbym nie mówić o tym aspekcie mojego zawodu.

- Oczywiście, oczywiście. - David pochwyił aparat i zerwał się na nogi. - Musimy zanotować dokładną datę pańskiego wyjazdu z Calgary - dodał, spoglądając na Julię wymownie, jakby się zastanawiał, dlaczego jeszcze o to nie zapytała.

Doskonale znała tę datę. Był to ostatni dzień września 1885 roku, środa wieczorem. To dziadek przekazał jej wiadomość o wyjeździe Ryana, choć nie znosił ani jego, ani pozostałych członków rodziny Reidów.

Ryan podniósł się, nie patrząc jej w oczy.

- Dziesięć lat temu. To zupełnie wystarczy.

Twarz miał teraz gładko ogoloną, włosy przycięte i nie przypominał już niedźwiedzia grizzly, ale zwykłe strzyżenie nie wystarczyło, by pozbawić go wyrazu pewnej dzikości. W jego postawie i spojrzeniu było coś pierwotnego. Czas jednak nieco go zmienił - twarz była szczuplejsza, a spojrzenie bardziej skupione niż kiedyś. David zatrzymał wzrok na worku marynarskim.

- Czy jest jakaś pani Reid?

Julia utkwiła spojrzenie w podłódze, czuła jednak na sobie palący wzrok Ryana.

- Nie - odpowiedział. - Nigdy się nie ożeniłem.

Powtarzała sobie, że nic jej to nie obchodzi. Zupełnie nic.

- Mhm... - mruknął David. - Imponujące blizny. - Cofnął się o krok i wycelował w Reida obiektyw aparatu. - Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zechciał nam pan opowiedzieć, w jaki sposób stracił pan kawałek ucha. Czy to się stało podczas bitwy? To byłoby doskonale...

Ryan warknął groźnie, David jednak nie ustępował.

- To zdjęcie będzie wspaniale wyglądać obok tego drugiego, które zrobiłem wcześniej, z brudnymi włosami i długą brodą.

- Obok czego?!

- Wykonałem wcześniej kilka zdjęć wagonów kolejowych. Tam właśnie zobaczyłem pana po raz pierwszy.

- Nie chcę, żebyście publikowali moje zdjęcia! Koniec rozmowy! - Ryan podszedł do drzwi i otworzył je z rozmachem.

- Ale, proszę pana! - protestował David. - Pani O'Shea, proszę mu powiedzieć!...

Na czole Julii pojawiły się kropelki potu.

- Przydałoby się nam jeszcze trochę szczegółów, żeby dodać artykułowi pikanterii. Może jakieś przygody z podróży?

Reid zsunął ręcznik z karku. Pistolety na jego biodrach zakołysały się.

- Nie jestem osobą publiczną. Jeśli chcecie zadać mi jeszcze jakieś pytania, zgadzam się ale pod warunkiem, że tylko jedno z was tu zostanie. To, które mniej mnie denerwuje. To bez aparatu. - Spojrzał jej prosto w twarz. - Pani O'Shea.

Serce Julii zaczęło bić mocniej.

- Ależ... - wyjąkał David. - Kobieta nie powinna zostawać sama z mężczyzną w pokoju hotelowym!

Gdy nic na to nie odpowiedziała, powoli wycofał się na korytarz.

- Julio, myślę, że powinnaś pójść ze mną - dodał jeszcze.

Nie mogła ustąpić, ale zastanawiała się, co odważy się powiedzieć Ryanowi, gdy zostaną sami.

- Nic mi się nie stanie. Kiedyś pozwoliłam się zamknąć w celi więziennej z jeszcze gorszymi przestępcami, żeby zdobyć dobrą historię.

Miała to być obelga i po twarzy Ryana widziała, że strzał dosięgnął celu. Zatrzasnął Davidowi drzwi przed nosem, a potem podszedł do niej i odchylił jej głowę do tyłu. Wzięła głęboki oddech, wypełniając płuca kurzem i jego zapachem.

Powoli zsunął kapelusz z jej głowy i rzucił na materac. Warkocz opadł jej na plecy. Powiew wiatru poruszył kilka luźnych kosmyków. Pod jego spojrzeniem czuła się naga.

- Julio... - szepnęła takim samym tonem jak kiedyś, gdy całował jej skronie i szyję. Wiedziała, że powinna uciekać.

Rozdział trzeci

Bez tchu cofnęła się do zamkniętych drzwi, mówiąc urywanym głosem:

- Ta rozmowa nie potrwa już długo, myślę, że najwyżej jakieś dziesięć minut, i wołałabym, żeby te drzwi zostały otwarte.

Ryan ubiegł ją jednak i zderzyli się ramionami. Słońce odbijało się w jego oczach i uwidaczniało blizny na piersiach. Julia chwyciła za klamkę i mocno szarpnęła, ale drewniane drzwi odbiły się od butów Ryana.

- Czy masz coś przeciwko temu, że je otworzę? - sapnęła, przyciskając notes do brzucha. - Jak David zauważył, kobieta nie powinna pozostawać sam na sam z mężczyzną w jego pokoju hotelowym.

- David to idiota.

- David jest inteligentnym człowiekiem i doskonałym dziennikarzem.

- Zostaw drzwi zamknięte.

Krew nabiegła jej do twarzy. Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

- Chciałabym wpuścić tu trochę świeżego powietrza - burknęła.

Ryan cofnął się w głąb pokoju.

- Dobrze. Jeśli wolisz, możesz otworzyć te drzwi, ale zamierzam rozmawiać z tobą zupełnie szczerze i być może nie chciałabyś, żeby cały świat to usłyszał.

Julia ze złością odsunęła się od drzwi.

- Powiedz moje imię - wymruczał.

Gwałtownie obróciła się w jego stronę.

- Co takiego?

- Chcę usłyszeć, jak wymawiasz moje imię.

- Jeszcze czego!

- W takim razie nie wyjdiesz stąd, nawet gdybyśmy mieli tu siedzieć przez tydzień. Poproszę tę szkocką pokojówkę, żeby przynosiła nam jedzenie i zmieniała pościel.

Julia zaniemówiła.

- Jak śmiesz?! - wybuchnęła po chwili.

- Powiedz moje imię - powtórzył.

- Panie Reid.

- Nie tak.

- Inspektorze Reid.

- Próbuj dalej.

- Doktorze Reid.

- Nie o to mi chodzi.

Przełknęła ślinę. Ta kłótnia była idiotyczna.

- Ryan - powiedziała w końcu, wpatrując się w notes.

- Patrz na mnie, kiedy to mówisz.

Z wahaniem podniosła głowę.

- Ryan.

Światło odbiło się od jego gładko wygolonego policzka, jaśniejszego od reszty twarzy, a usta skrzywiły się w znajomym uśmiechu. Wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

- Osioł z ciebie - parsknęła. - Tak powinnam cię nazywać.

Kpiąco uniośł brwi, ale nie wydawał się urażony, raczej rozbawiony.

- Co u ciebie słyhać, Julio?

Cofnęła się, zdumiona jego tupetem.

- Ty sukinsynu!

- Widzę, że wciąż używasz barwnego języka.

- Tak, ale teraz zarabiam na tym pieniądze. - Poczowała ucisk w gardle. - Gdybyś miał choć odrobinę honoru, nie udawałbyś wcześniej, że mnie nie znasz. Nie zmieniłeś się ani na jotę.

Ryan pobladł. Nie była pewna, czy pod wpływem jej słów, czy szczerości brzmiącej w głosie. Cofnął się do okna, dolał sobie bourbona i wypił.

- Nie wiedziałem, czy chcesz przyznawać się do znajomości ze mną w obecności Todda i twojego reportera. Nie byłem pewien, co o nas wiedzą i jak mam chronić cię przed plotkami.

Te słowa ją zdumiały.

- Nie musisz się o to martwić - parsknęła. - Nikomu się nie chwaliłam, że cię znam. Wciąż pijesz, chociaż jesteś chirurgiem?

- Zwykle muszę się napić przed operacją, żeby ręce mi się nie trzęsły.

Zapewne żartował, chociaż na jego twarzy nie było widać ani cienia uśmiechu. Nie podobała jej się ta rozmowa.

- Nie chcesz mi opowiedzieć, co się z tobą działo?

- To ma być rozmowa o tobie - przypomniała. - Nie będziemy teraz zajmować się moimi sprawami. - Podeszła do okna. Podmuch wiatru wydał muślinowe franki. Z ulicy niósł się turkot wozów zaprzęzonych w woły i nawoływania dzieci. - A teraz powiedz mi dla gazety, co dokładnie robiłeś po wyjeździe z Calgary, zanim wstąpiłeś do armii brytyjskiej?

Podszedł bliżej. Usłyszała jego kroki, a potem poczuła, że jego nagi łokieć otarł się o jej rękaw. Stał obok niej i wyjrzał na chodnik.

- Po co ci ten wywiad?

- Bo jeśli ja tego nie napiszę, to jakaś inna gazeta skorzysta z okazji.

- To zupełnie nieistotna historia. Dlaczego tak ci zależy, żeby nie oddać jej konkurencji?

- Od jakichś dwóch miesięcy mieliśmy same złe wiadomości. Ludzie są już zmęczeni czytaniem o suszy. Potrzebujemy czegoś weselszego i bardziej interesującego, żeby podnieść sprzedaż.

- Nie wydaje mi się, żebyś była w wesołym nastroju, Julio.

- Umiem używać słów i tylko to ma znaczenie. Na papierze potrafię przekształcić moją niechęć do ciebie w wesołość.

Jeśli nawet uznał to stwierdzenie za niedorzeczne, nie zareagował.

- W takim razie zawrzyjmy układ - zdecydował. - Pytanie za pytanie.

- Co to ma znaczyć?

- Za każde pytanie, na które ci odpowiem, ty odpowiesz na jedno moje.

- Nie mogę się na to zgodzić. To ja wydaję gazetę.

- Kiedy umarł Brandon? - zapytał Ryan, jakby jej nie usłyszał.

- Daj spokój. Inne gazety z pewnością będą dużo o tobie pisać i publikować rozmaite plotki o przyczynach twojego wyjazdu. Może wolałbyś przedstawić swoją wersję?

Wyrwał ołówek z jej palców.

- Pytanie za pytanie. Kiedy on umarł?

Julia stanowczo odebrała mu ołówek.

- Pięć lat temu.

- Przykro mi. Ale pięć lat to dużo czasu. - Ryan zawahał się. - Na co umarł?

Julia zeszywniała.

- Wcale ci nie jest przykro. To już drugie pytanie z rzędu. Teraz moja kolej. Pytam jeszcze raz, dlaczego wtedy tak nagle wyjechałeś z miasta?

On jednak znów zignorował jej słowa.

- Brandon był młodym człowiekiem. Musiała to być tragiczna śmierć, jakiś wypadek.

Powiew gorącego wiatru wtargnął do pokoju i poruszył stronami notesu.

- Nie chcę rozmawiać o naszej przeszłości. Nie mam ci nic do powiedzenia, rozumiesz?

Ryan wyrwał jej notes z ręki.

- W takim razie posłuchaj.

- Gdy chodzi o moje życie prywatne, nie słucham kłamców.

- Osioł i kłamca. Niezła kombinacja - powiedział i w jego oczach znowu błysnął śmiech. - Tak właśnie zamierzasz opisać mnie w gazecie?

Julia wyjęła notes z jego palców.

- Taki mam zamiar, pokazać cię takim, jaki jesteś naprawdę.

Jego wesołość przygasła i na twarzy błysnął żal.

- Podejrzewam, że większość ludzi w mieście i tak wie o mnie wszystko, co najgorsze.

Smutek w jego głosie poruszył jej serce.

- Kiedyś bardzo by ci zaimponowało, gdybym został konnym policjantem.
- Odpowiedziałam na twoje pytanie o Brandona. Teraz ty mi powiedz, dlaczego wyjechałeś z Calgary?

- W poszukiwaniu szczęśliwego losu.
- Och, daj spokój. To nie jest żadne wyjaśnienie.
- Sądzisz, że nikt w to nie uwierzy?
- Większość ludzi w mieście przypomni sobie, że zabiłeś człowieka. Czy mam to zupełnie pominąć w artykule? Zapewniam cię, że żadna inna gazeta tego nie przemilczy.
- Tak, masz to pominąć. Czas na następne z moich pytań. Na co zmarł Brandon?
- Na raka żołądka.

Ryan skrzywił się. Julia odwróciła wzrok, powstrzymując łzy, i dopiero gdy była pewna, że głos jej nie zdrzży, odważyła się zadać następne pytanie:

- Czy tęskniłeś za Calgary?
- Tak. Kiedy wyszłaś za Brandona?

Zdecydowała się powiedzieć prawdę, nie dbając o to, czy go zrani.

- Prawie dziesięć lat temu.

Drgnął i zauważył kąśliwie:

- Nie czekałaś długo.
- Brandon mnie kochał - odparowała bez namysłu. - Nie miałam nikogo innego, na kogo warto byłoby czekać.

Nie musiała widzieć jego twarzy, by zauważyć, że był głęboko poruszony. Mocno zacisnęła dłoń na krawędzi parapetu.

- Wtedy byłem raczej chłopcem niż mężczyzną.
- Jeśli sądzisz, że czas się zatrzymał, gdy ciebie tu nie było, to bardzo się mylisz.
- Widzę.
- Moje następne pytanie. Dlaczego wróciłeś?

Tym razem Ryan długo milczał przed odpowiedzią.

- Bo ktoś podarował mi stare skrzypce - rzekł w końcu.

Julia spojrzała przez ramię na poobijany futerał. Skórzane paski nosiły ślady wieloletniego używania.

- Co to znaczy? Kto ci je dał?

Wzruszył ramionami. Zrozumiała, że nie doczeka się odpowiedzi.

- Nie wiedziałam, że umiesz grać na skrzypcach.

- Nie umiem. W każdym razie niezbyt dobrze.

- Może wróciłeś, żeby naprawić błędy przeszłości?

- Tak myślisz?

- Wobec swojej rodziny. Wobec tych, którzy cię kochali. - Przełknęła ślinę i znów wyjrzała przez okno na ulicę, żeby nie mógł dostrzec jej twarzy.

- Co cię obchodzi moja rodzina? Kiedyś za nimi nie przepadałaś.

- A czego się spodziewałaś? Co twoja rodzina zrobiła dla mojej, oprócz tego, że zamknęła nas w więzieniu?

W czasach gdy w Irlandii obowiązywało jeszcze stare prawo, niewypłacalni dłużnicy trafiali do więzienia. Ojciec Julii, walcząc o przetrwanie sklepiku, ich jedyne źródła utrzymania, zaciągnął w banku dług, którego potem nie był w stanie spłacić. Ponieważ nikt nie chciał przygarnąć jego rodziny, wszyscy razem trafili do zimnego, ceglano-budynku - ojciec, matka, dziadek i sama Julia. Wiedziała, że do końca życia nie zapomni zapachu wilgotnej wiosny za murami, upokorzeń, które musiała znosić, chodząc do prowizorycznej szkoły na dziedzińcu więziennym wraz z dwójką innych dzieci, ani szczęku kluczy przy pasie Josepha Reida, który patrolował budynek.

Reidowie zawsze patrzyli z góry na jej bliskich, nawet w Dublinie i na statku zmierzającym w stronę Kanady. Z dublińskiego portu co roku we wrześniu wypływał statek pełen irlandzkich emigrantów. W tamtym czasie

Kanada szeroko reklamowała swoje tereny osadnicze na zachodzie. Pewnego roku na takim statku znalazły się rodziny Julii i Ryana.

- Więzienie za długi, jak w Irlandii, nigdy nie miało dla mnie znaczenia - powiedział Ryan z napięciem w głosie.

- Nie miało dla ciebie znaczenia, że mój ojciec był bez grosza i nie miał z czego spłacić długów i że twój ojciec posłał go do więzienia? No cóż, wszechmocny Joseph Reid nigdy o tym nie zapomniał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nieważne. - Uniosła wyżej spódnicę i podeszła do drzwi. Potrzebowała trochę czasu, żeby się uspokoić. - Przydałoby mi się jeszcze kilka informacji, ale możemy wrócić do tej rozmowy jutro. Czy możesz dać mi słowo, że nie będziesz niczego opowiadał konkurencji?

- Daję słowo - zgodził się Ryan po chwili - choć nie wiem, czy to cokolwiek dla ciebie znaczy. - Rozsunął sfatygowane firanki i ruchem głowy wskazał na jej drukarnię. - Wygląda na to, że nieźle sobie radzisz.

Owszem, radziła sobie na początku nie najgorzej - dzięki temu, że on sam kiedyś wyzwolił w niej płomień złości. Ta złość kazała jej walczyć z oczekiwaniami ludzi, którzy sądzą, że wiedzą już o niej wszystko, rozbudziła determinację, by wydawać najlepszą w mieście gazetę, nie popaść w długi i nie powtórzyć błędów ojca.

Nagle Ryan zmarszczył brwi.

- Czy to twój dziadek?

Julia spojrzała na ulicę i zauważyła dziadka w towarzystwie Pete'a. Niezgrabny, ciemnowłosy siedmiolatek z dołeczkami w policzkach, wierna kopia Brandona, i przygarbiony staruszek, który gotów był dla niej stawić czoło całemu światu. Nie był to jednak widok przeznaczony dla oczu Ryana.

- Kto z nim jest? - zapytał Ryan.

- Jakiś przechodzień.

- Nie, chodzi mi o tego chłopaka, który przytrzymuje drzwi.

Julia przełknęła ślinę.

- Nie widzę. Nie wiem, kogo masz na myśli.

Może nie miało sensu ukrywanie syna przed Ryanem.

Instynkt kazał jej jednak chronić bliskich przed ludźmi, do których nie miała zaufania, a Reidowie prędzej czy później krzywdzili wszystkich, których kochała. Ryan puścił firankę.

- Muszę poczekać, aż pokojówka wyprasuje mi koszulę. Mam pewną sprawę do załatwienia, a potem zajrzę do twojej drukarni.

- Do mojej drukarni? - zdziwiła się. Nie chciała, żeby tam przychodził i zorientował się, że jej gazeta jest bliska bankructwa, a ona sama szuka męża. Wiedziała, że nie

ma się czego wstydzić, ale chciała sprawić na nim wrażenie osoby, która doskonale radzi sobie w życiu. - Po południu będę zajęta. Muszę roznieść gazety i zająć się rachunkami.

- W każdym razie zajrzę. Może cię zastanę.

Oszołomiona perspektywą tej niechcianej wizyty, potknęła się w drodze do drzwi. Ryan wyciągnął rękę i podtrzymał ją, po czym wyjął notes i ołówek z jej dłoni, położył je na łóżku i łagodnie uniósł jej brodę do góry. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Przyjechałem, żeby się z tobą przywitać, Julio. Nie masz się czego obawiać - rzekł, przesuwając dłonie na jej kark.

- Zabierz te ręce! - obruszyła się i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby był trędowaty.

Porwała z łóżka swój kapelusz i zgarnęła również gazetę.

- Hej! - oburzył się Ryan. - To moje!

- Dam ci za darmo następny numer. - Zawirowała spódnicą i sięgnęła po ołówek, który potoczył się pod poduszkę.

Ryan pochylił się, pomagając jej szukać ołówka. Jego nagie ramię otarło się o jej ramię.

- Mógłbym próbować wyjaśnić ci moją nieobecność, Julio, ale...

- Miałeś na to dziesięć lat. Ani jednego słowa, żadnego listu.

- I dlatego jesteś taka zła? Nie pisałem, bo byłem pewien, że mnie nienawidzisz.

- Bo tak jest. - Wreszcie znalazła ołówek i wyprostowała się.

- Dziękuję za miłe powitanie - mruknął.

- A czego się spodziewałeś? Wszyscy Reidowie są rozpieszczeni. Chyba przez całe życie dostawałeś to, czego chciałeś.

Zastanawiał się, ile jeszcze obelg będzie musiał przełknąć. Pochwycił ją za ramię i obrócił twarzą do siebie.

- Skąd, do diabła, możesz wiedzieć, czego ja chcę?

- Chcesz tego, co da ci chwilowe zadowolenie, bez względu na konsekwencje.

Pochwycił jej drugie ramię i przycisnął ją do drzwi.

- Gdybyś nic już do mnie nie czuła, to byś się tak nie czerwieniła.

- Cóż za próżność przez ciebie przemawia! Kiedy tu weszłam, udawałeś, że mnie nie znasz. - Podniosła rękę, chcąc uderzyć go w twarz, ale w porę przytrzymał jej przegub. Błękitna wstążka od kapelusza opadała na jej ramiona, splatając się z rudym warkoczem. Włosy Julii miały inny kolor niż kiedyś. W słońcu błyszczały czerwienią, ale gdy stała w cieniu, wydawały się kasztanowe.

Kątem oka zauważył gazetę, która upadła na podłogę. Jego uwagę przyciągnęło ogłoszenie w dolnym rogu. Pod nagłówkiem „Poszukiwany mąż-dżentelmen” zauważył jej nazwisko.

- Co to takiego? - Roześmiał się zdumiony i przeczytał głośno: - „Szukam szlachetnego i przyzwoitego mężczyzny. Jeśli jesteś godny szacunku, masz stałą pracę i pociąga cię życie rodzinne, pani Julia O'Shea gotowa jest spotkać się z tobą w najbliższym dogodnym terminie”.

Julia szukała męża. A w dodatku, biedactwo, musiała to robić przez ogłoszenie.

- A więc to chciałaś ukryć.

Wciąż była uwięziona w jego ramionach. Ciemny rumieniec na jej twarzy i lodowaty błysk w oczach powiedziały mu lepiej niż jakiegokolwiek słowa, co ona o nim myśli. Niech diabli wezmą te jej oczy!

Puścił jej dłonie i pocałował ją. Próbował wzbudzić w niej jakąś reakcję, ale nie poruszyła się. Pocałował ją nieco bardziej natarczywie, a potem odsunął się i dopiero wtedy jej usta drgnęły. A więc jednak coś poczuła. Jej zapach budził w nim dawno uśpione wspomnienia.

Przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się. Mógłby przysiąc, że słyszy bicie jej serca. Ale gdy puścił jej ramiona i objął ją w talii, odsunęła się i dała mu w twarz, a potem otworzyła drzwi na oścież i wypadła na korytarz, zostawiając go z gazetą pod nogami i z piekącym policzkiem.

- Przypuszczam, że zasłużyłem sobie na to, bo udawałem, że cię nie poznaję.

- Nie - rzuciła przez ramię. - Zasłużyłeś sobie na to, bo założyłeś, że wciąż mnie znasz.

Rozdział czwarty

Jeśli Julia miała nadzieję, że w drukarni znajdzie chwilę spokoju, by zebrać myśli, to bardzo się zawiodła. W pomieszczeniu panował chaos. Dziadek, Pete i David rozdzielali resztę nakładu gazety między dystrybutorów. Po kontuarze biegała małpka Willy, którą przed kilku laty pozostawił w mieście cyrk objazdowy. David zaopiekował się małpką i często przynosił ją ze sobą jako rozrywkę dla Pete'a. Co więcej, Julia zauważyła trzech mężczyzn, których zupełnie nie spodziewała się tu spotkać, a którzy widocznie przyszedli tu z powodu jej ogłoszenia.

Przy kontuarze stał fryzjer Todd w błyszczącej brązowej kamizelce, obok pan Shapiro - prawnik, który niedawno przybył do miasta, oraz pan Rossman, właściciel sklepiku po sąsiedzku. Julia odłożyła kapelusz na półkę, ale nim zdążyła powitać gości, podbiegł do niej Pete.

- Mama! Czy lunch już jest gotowy?

Zerknęła na dziadka.

- Nie jedliście jeszcze?

- Czekaliśmy na ciebie. Gdzieś ty była? - Dziadek podwinął rękawy koszuli i wymownie popatrzył na przybyszy.

Nie miała serca powiedzieć mu, że przed chwilą widziała się z Ryanem Reidem. Obawiała się jego reakcji i wolała przekazać mu tę wiadomość później, gdy zostaną sami.

- Ja już jadłam. - To było kłamstwo, ale w domu zostały tylko dwa marynowane jajka. Liczyła na to, że zaopatrzy spiżarnię w kilka puszek fasoli, gdy dostanie pieniądze od dystrybutorów, ci jednak zapłacili jej ścierkami i blachą.

Dziadek spojrzał na nią podejrzliwie.

- Naprawdę jadłaś?

Skinęła głową i wskazała na korytarzyk prowadzący do ich prywatnego mieszkania.

- Idźcie już. Pete jest głodny.

David rozpakował swój koszyk z lunchem, który jak co dzień przyniosły mu bardzo o niego dbające dwie starsze ciotki. Ugryzł wielkie żółte jabłko i dokoła rozniósł się niebiański zapach. Być może Julia tylko wyobraziła sobie ten zapach, w każdym razie zaburczało jej w żołądku.

Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się do gości.

- Czym mogę panom służyć?

Todd nigdy nie należał do nieśmiałych.

- Przyszliśmy w sprawie ogłoszenia, pani O'Shea. Mogę zadeklarować z bezwarunkową szczerością, że czuję się zainteresowany.

Szkoda, że nie jesteś o czterdzieści lat młodszy, pomyślała Julia. Poczowała się jednak mile połączona i nie chciała zawstydzać fryzjera, odrzucając jego zaloty w obecności dwóch innych kandydatów.

- Proszę zajrzeć tu jutro kwadrans przed dwunastą, panie Mead - zaproponowała. Mniej więcej o tej porze ciotki Davida przynosiły mu koszyk z lunchem. Obie były niezamężne i bardziej odpowiednie dla niego wiekiem, pomyślała więc, że mogłaby przedstawić je Toddowi.

- Wprawia mnie pani w absolutnie rapsodyczny nastrój - wyznał.

- Słucham? - Julia uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Chciałem powiedzieć, że cieszę się niezmiernie. - Fryzjer też uśmiechnął się, ukazując rząd prostych zębów. Pedantycznie o sobie dbał. Julia jeszcze nigdy nie widziała takich ładnych zębów u osoby w jego wieku.

Gdy wyszedł, naprzód wysunął się pan Shapiro, mocno zbudowany mężczyzna w wełnianym garniturze w kratkę i z kapeluszem w ręku.

- Przyszedłem tutaj, pani O'Shea, by zaprosić panią na kolację do dobrego hotelu. Właśnie dziś rano wschodni pociąg przywiózł dostawę mrożonych homarów. Owoce morza zawsze szybko znajdują amatorów.

- O mój Boże! Jeszcze nigdy nie jadłam homara. - Julia powachlowała się z wrażenia. Te poszukiwania męża okazywały się całkiem przyjemne.

- W takim razie musi pani spróbować. Przyjdę o szóstej, jeśli to pani odpowiada.

- Dobrze. Dziękuję bardzo. - Na samą myśl, że będzie zamawiać dania z restauracyjnego menu, śliska napłynęła jej do ust. Ileż to już lat minęło od czasu, gdy robiła to po raz ostatni?

Prawnik dotknął kapelusza i zniknął. Podobało jej się, że był konkretny i rzeczowy. Trochę za głośno dyszał i poruszał się ospale, ale zapewne winien był temu upał, a także to, że ze względu na swój zawód pan Shapiro musiał nosić ciężkie ubrania. Homar. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy uda jej się przynieść część posiłku do domu, dla dziadka i Pete'a. Może gdyby włożyła do torebki płócienną serwetkę?

Wyrzała przez frontowe okno i jej wzrok zatrzymał się na hotelu Preria. Ryana Reida nigdzie nie było widać. Zirytowana na siebie, skupiła uwagę na panu Rossmanie, który pochylił się nad ladą.

- Ja też przyszedłem w sprawie ogłoszenia.

- Ale przecież pan jest żonaty! - zdumiała się Julia.

- To właśnie żona mnie przysłała. Ma siostrzeńca, który niedawno przyjechał do miasta.

Julia odetchnęła z ulgą. Żona pana Rossmana była o dwadzieścia lat od niego młodsza, a to oznaczało, że jej siostrzeniec musi być jeszcze młodszy.

- Ile on ma lat?

- Nie jestem pewien. Dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć.

Rany boskie, pomyślała Julia. Ona sama miała trzydzieści dwa lata, czyli ów siostrzeniec mógł być od niej młodszy nawet o siedem lat. Słyszała opowieści o młodszych mężczyznach, którzy żenili się ze starszymi kobietami, ale sama nigdy czegoś takiego nie widziała, z pewnością zaś nie chciała stać się pośmiewiskiem dla całego miasta.

Pan Rossman zauważył jej wahanie.

- To bardzo porządny młody człowiek i ma stałą pracę.

- Czy mogę mówić szczerze? - zapytała, zniżając głos.

- Nie inaczej.

- Dlaczego pan i pańska żona musicie występować w jego imieniu?

- Bo on jeszcze nic nie wie o tym ogłoszeniu. Od dwóch dni nie ma go w mieście.

Jest na zwiadzie, wypatruje pożarów.

- Na zwiadzie?

- Jest sierżantem w policji konnej. Sierżant Holt MacAllister.

Większość policjantów konnych stanowili pracownicy mężczyźni, oddani swojej społeczności, ale oczywiście nie wszyscy warci byli pożądanego. Julia znów spojrzała przez zakurzone szyby na hotel Preria i tym razem zauważyła Ryana, który wybiegł na ulicę w czarnej koszuli i brązowym stetsonie. Na jego widok serce jej się ścisnęło. Bolała ją myśl, że do tej pory nie udało jej się pozbyć urazy i żalu, które pozostały w niej od tamtego wieczoru, gdy ją opuścił.

Z trudem przełknęła ślinę. Teraz miała inne marzenia, a poza tym tego wieczoru miała jeść homara. Znów zwróciła spojrzenie na pana Rossmana i wygładziła koronkowy kołnierzyk.

- Proszę powiedzieć mi coś więcej o tym sierżancie.

Ryan skierował pierwsze kroki do banku, gdzie chciał zdeponować niewielką sumę w złocie. Wiedział wprawdzie, że widok obciętego ucha i blizn na jego twarzy przyciągnie uwagę ludzi, nim jednak wszedł do banku, był już porządnie zirytowany. Trzech bo-sych chłopców, mniej więcej dwunastoletnich, podążało za nim krok w krok po wybo-istym chodniku.

- No już! - zniecierpliwił się w końcu. - Uciekajcie!

- Co się panu stało?

- Nic takiego. Zmykajcie.

Chłopcy rozbiegli się z piskiem, machając brudnymi nogami.

W środku było chłodniej i ciemniej niż na ulicy. Ryan odczekał chwilę, by oczy przyzwyczały się do półmroku, po czym podszedł do zakratowanego okienka, wpłacił swoje złoto i poprosił o rozmowę z dyrektorem.

- No, no, no. Kosa wrócił do miasta.

Odwrócił się. Zaskoczył go widok mężczyzny z siwą brodą, trzymającego się sztywno, jakby połknął kij. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Cleveland Bosley - powiedział w końcu Ryan i wyciągnął rękę, ale Bosley jej nie przyjął. - A więc teraz jesteś dyrektorem banku. A jak się miewa twoja żona?

Oczy Bosleya, skryte za okularami w złotych oprawkach, prześliznęły się po twarzy Ryana i zatrzymały na obciętym uchu. Bankier skrzywił się.

- Jeszcze nie doszła do siebie po tym, jak przez ciebie nasz Johnny wyjechał z miasta.

- Chciał być bokserem. To nie ja go tego nauczyłem.

- Ale pokazałeś mu, jak można wykorzystać ten talent - wytknął Bosley.

- I co on teraz porabia?

- Jest mistrzem Nowego Jorku w wadze ciężkiej.

Nieźle, pomyślał Ryan. To było największe marzenie Johnny'ego.

- Przyszedłem tu w interesach. Czy możesz mi pomóc?

Bosley podniósł rękę, w której trzymał kopertę.

- Przypuszczam, że dlatego tu jesteś. To przyszło dwa dni temu.

Ryan wziął od niego list. Przejeżdżając przez Toronto, poprosił urzędnika w tamtejszym oddziale tego samego banku, by przekazywano mu pocztę do Calgary. Spojrzał na adres zwrotny. Antyki Świata. To był list, na który czekał.

- Jestem ci bardzo zobowiązany. Pozdrów Mary.

Bosley poprawił ciasny krawat i powiedział po chwili milczenia:

- Wolałbym, żebyś prowadził swoje interesy gdzieś indziej.

- Ale ja właśnie wpłaciłem...

- Po drugiej stronie ulicy jest kasa oszczędnościowa, a za rogiem bank Imperial.

Ryan poczuł, że jego twarz oblewa się rumieńcem.

- Dobrze.

Wrócił do okienka. Klienci przy okienkach i kasjerzy zamilkli. Na domiar złego Ryan musiał odczekać dwadzieścia minut na swoją kolej. Udawał, że nie słyszy szeptów i nie zauważa rzucanych w jego stronę spojrzeń. Obsługiwał go ten sam kasjer co poprzednio, ale tym razem już bez uśmiechu.

Otwarcie nowego konta w banku Imperial zajęło mu czterdzieści pięć minut. Bogu dzięki, tutaj nikt go nie znał. Za to zaraz po wyjściu na ulicę natknął się na Vala Zefielda i jego brata.

- A niech mnie - zawołał Val. - Zobacz, kogo tu diabli przynieśli!

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Val - mruknął Ryan i przeszedł na drugą stronę ulicy. Nie chciał się teraz angażować w żadne spory.

- Czekałem na to od dawna, Reid.

Poczuł dłoń na swoim ramieniu. Odwrócił się, unosząc jednocześnie rękę, by chronić twarz, ale Val zdążył trafić go w szczękę. Ryan upadł i poczuł przenikliwy ból trzonowego zęba.

- Wyobrażałem sobie tę scenę od prawie dziesięciu lat. Tamtej nocy, gdy uciekłeś, straciłem mnóstwo pieniędzy. Sto pięćdziesiąt dolarów. Wartość domu. I tylko dlatego, że przegrałeś walkę!

Ryan objął policzek dłonią. Kości chyba nie były złamane.

- Trzeba było postawić na kogoś lepszego.

Choć miał wielką ochotę stłuc tamtego, powoli podniósł się i wycofał. Val i jego brat patrzyli za nim ponuro, spluwając na ziemię.

- Też mi Kosa. - Zaśmiali się pogardliwie i odeszli.

Ryan otrzepał siedzenie spodni, podniósł z ziemi kapelusz i kopertę i uspokajająco skinął głową w stronę grupki zatroskanych kobiet.

Przypomniawszy sobie, jak kiedyś w Afryce, na polu bitwy, gdy dziesiątki rannych na noszach czekały w kolejce do medycznego namiotu, a wokół nich krążyły chmary brzęczących much, skończyły mu się nici chirurgiczne. Patrząc na swojego asystenta, Adama Willeby'ego, młodego chłopaka, którego buntownicy trafili w głowę, a który tuż przed tym podarował mu skrzypce, Ryan złożył sobie pewną obietnicę. Był pewien, że już nigdy nie przeżyje gorszego, bardziej rozpaczliwego momentu, bez względu na to, co jeszcze mogło go czekać w przyszłości i jak nieszczęśliwy mógłby się poczuć. Targował się z Bogiem. Właściwie nie można było powiedzieć, by wierzył we Wszechmogącego, ale nie można było również powiedzieć, by w Niego nie wierzył. Obiecał sobie, że jeśli Bóg ześle mu coś, czym da się pozszywać rany, to już nigdy więcej nie będzie się skarżył na swoje życie. Ledwie skończył formułować tę myśl, przypomniał sobie o skrzypcach Adama. Nie mógłby lepiej wykorzystać strun. Adam zmarł, ale po tym świecie wciąż chodziło dwóch ludzi, których ciała były pozszywane strunami z jego skrzypiec.

Napaść Vala w żadnym wypadku nie była gorszym przeżyciem niż zszywanie ludzi strunami. Ryan złożył list i wsunął go do kieszeni koszuli. Zamierzał przeczytać go później, na razie miał coś innego do załatwienia. Przełknął krew i ruszył w stronę drukarni.

Już w progu zauważył Julię. Wszedł i zdjął kowbojski kapelusz. Pomyślał z przyjemnością, że nie musi już odpowiadać na żadne pytania dla gazety. Z drugiej strony, była to jedyna rzecz, o jaką go kiedykolwiek poprosiła. Nawet spotykani w podróży obcy ludzie chcieli od niego więcej.

Drukarnia przypominała jeden z objazdowych cyrków, które Ryan widywał w Anglii. Małpa, tak, prawdziwa małpa śmigająca ponad głowami obecnych, czepiając się belek sufitu. Chudy strach na wróble w czapce w kratkę, który uważał się za dziennikarza, siedział przy biurku w odległym kącie i spisywał to, co dyktował mu starszy mężczyzna, odwrócony do wejścia plecami. Julia, z włosami wilgotnymi od upału, stała za kontuarem. W pomieszczeniu było sześciu mężczyzn. Kilku domagało się głośno, by dała im gazety do rozprowadzenia, a dwóch czy trzech innych, sądząc po komentarzach, jakie wygłaszali, bardziej interesowało się nią jako potencjalną żoną.

Ryan i Julia nigdy nie rozmawiali o uczuciach. Nie było jego winą, że Julia zakochała się w nim jeszcze jako młoda dziewczyna. Znał ją od zawsze. Była jak wygodne krzesło w barze jej dziadka, niezmiennie gotowa mu służyć, gdy potrzebował drinka albo przyjaznego słuchacza. Przypuszczał, że z taką samą uwagą wysłuchiwała wszystkich bywalców baru, zresztą często był tego świadkiem. Zawsze pamiętała, kto co powiedział, i potrafiła znaleźć kilka słów pociechy, wtedy gdy było to najbardziej potrzebne. Te same cechy zapewne sprawiały, że była dobrą dziennikarką.

Za młodych lat Ryan uważał, że barmanki to tylko barmanki - istnieją po to, żeby z nich korzystać. Gdy ją poznał, zdziwiło go, że była dziewicą, i szczerze mówiąc, nie wiedział, co z tym zrobić. A później, kiedy już ją uwiódł, zachował się jak zawsze, gdy był przestraszony - uciekł. No cóż, teraz wrócił i musiał uznać wszystkie swoje porażki. Obiecał to nieżyjącemu Adamowi Willeby'emu.

Podniosła głowę znad notesu i w końcu go zauważyła. Przeprosiła pozostałych mężczyzn, wysunęła się zza lady i podeszła do niego.

- Życzę ci, byś wybrała porządnego człowieka - rzekł szczerze.

Ściągnęła brwi.

- Zdaje się, że mam z czego wybierać.

Prowokujący ton jej głosu zirytował go. Kiedyś była swobodniejsza i bardziej bez troska. Łatwo było ją rozśmieszyć i nigdy nikomu nie powiedziała złego słowa. Co się stało z tą cichą Julią Adare? Miał nadzieję, że z czasem nie zmieni się w zgorzkniałą staruszkę. Oparła dłonie na biodrach.

- Dziwię się, że tu przyszedłeś po naszej rozmowie w hotelu.

- To znaczy po tym, jak dałaś mi w twarz. - Spodziewał się, że Julia odwróci wzrok z zażenowaniem albo poprosi, by mówił ciszej, ona jednak nawet nie mrugnęła powieką.

- Nie sądzisz, że sobie na to zasłużyłeś?

Chrząknął niewyraźnie w odpowiedzi. Była znacznie twardsza niż kiedyś.

- Możesz usiąść, jeśli chcesz. - Wskazała na dwa puste krzesła przy drzwiach. - David zajmie się tobą, gdy tylko skończy spisywać ogłoszenie pastora.

- Pastora? - Mężczyzna siedział tyłem do niego, toteż Ryan nie widział jego twarzy.

- Ma prosiaki do sprzedania.

Ryan opuścił wzrok na swoje dłonie zaciśnięte na krawędzi kapelusza.

- Dobrze. Posiedzę tu jak grzeczny uczeń.

- Nigdy nie byłeś grzecznym uczniem.

Rozbawiony, opadł na jedno z krzeseł.

- Może nie, ale teraz się postaram. Powodzenia w... - zerknął na tłumek przy ladzie - w tym, co robisz. Gdybyś potrzebowała pomocy w wyborze, możesz na mnie liczyć.

Julia wyduła usta i wróciła do zalotników. Ryan wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach. Ta kolejka mężczyzn wyglądała nedorzecznie, zupełnie jak do straganu z kiełbaskami na jarmarku.

Czas mijał powoli. Dwóch kandydatów na męża, zapewne ranczerów, wyszło. Pozostał jeszcze jeden, ubrany w czysty, urzędniczy garnitur. Widocznie pracował w mieście. Ryan nie rozpoznawał żadnego z nich i cieszył się, że oni go również nie znają.

Drewniane krzesło nie było zbyt wygodne. Nie, jego samego małżeństwo z pewnością nie interesowało. Widział już wiele małżeństw i większość z nich miała jedną cechę

wspólną: składała się z dwojga bardzo nieszczęśliwych ludzi, którzy pozostawali razem ze względu na pozory. Ryan zaś lubił życie bez zobowiązań i ciągle zmiany. Zawsze tak było. Potrafił radzić sobie w zmiennych okolicznościach na niestabilnym froncie, a lata spędzone w walce, gdy trzeba było podejmować decyzje rozstrzygające o życiu i śmierci, zahartowały go do tego stopnia, że bardzo niewiele rzeczy było w stanie go zranić. Gdyby musiał siedzieć zbyt długo w jednym miejscu, zanudziłby się.

Kaznodzieja wstał z krzesła i podszedł do wyjścia. Ryan rozpoznał go. Podniósł się i skinął mu głową.

- Wielebny Dickens. Jak się pan miewa?

Siwowłosy dżentelmen w czystej, niebieskiej koszuli zatrzymał się.

- Ryan, to ty, chłopcze? Dobry Boże!

Bogu dzięki, wreszcie ktoś zareagował życzliwie na jego widok.

- To ja, proszę pana.

- Kiedy wróciłeś?

- Kilka godzin temu.

- Pewnie tęskniłeś za rodziną?

- Tak.

- No cóż, musimy kiedyś porozmawiać. Powinieneś oczyścić swoją duszę. - Wielebny zaśmiał się, ale Ryan mu nie zawtórował. Kaznodzieja zawsze był gadatliwy, prawdę mówiąc, gadał za dużo. - Może któregoś dnia zjemy razem kolację? Opowiem ci wtedy o chorobie matki.

- Mojej matki? - Serce mu zamarło.

- A nie dlatego wróciłeś do domu?

- Nie, nic o tym nie wiedziałem. Na co jest chora?

- Pięć miesięcy temu miała wylew, ale już prawie całkiem doszła do siebie.

Ryan, przygnębiony, nie mógł wykrztusić słowa.

- Coś ci powiem, może zjedlibyśmy tę kolację dzisiaj? Właściciel hotelu Piccadilly wciąż mnie zaprasza. Chce mi się odwdzińczyć za przysługę, jaką oddałem jego córce. Jeszcze tego ranka po mszy wspominał, że otrzymał coroczną dostawę homarów. Długo

nie będzie ich miał, rozejdą się szybko, jak zawsze. Może spotkamy się tam, powiedzmy, o wpół do szóstej?

Ryan skinął głową. W dalszym ciągu nie był w stanie wydobyć z siebie słowa, ale pastor chyba tego nie zauważył. Pożegnał się i wyszedł. Ryan opadł na krzesło i spróbował wziąć się w garść. Podczas jego nieobecności życie nie zatrzymało się w miejscu, toczyło się dalej bez niego. Gdyby matka zmarła... niech Bóg broni... nawet by o tym nie wiedział.

Z zamyślenia wyrwał go widok chłopca kręcącego się po drukarni. To był ten sam chłopiec, którego wcześniej zauważył z okna hotelu. Przyjrzał mu się uważniej. Mały mógł mieć jakieś siedem lub osiem lat. Był ubrany w spodnie na szelkach i miał bose nogi. Bawił się ołówkami i bibułą, które leżały na biurku Davida, toteż Ryan uznał, że to zapewne jego syn; był równie chudy i miał podobnie ogorzałą cerę. Gdy jednak odsunął się od biurka i podniósł głowę, Ryan omal nie spadł z krzesła. Chłopiec był pomniejszowaną kopią Brandona O'Shea. Miał ten sam dołek w policzku, takie same duże, odstające uszy, ciemne włosy i identyczne, pełne wahania spojrzenie, którym obrzucił obcego.

Ryan przeniósł spojrzenie na Julię. To był jej syn. Jej i Brandona. Nagle poczuł dojmującą pustkę. Podniósł się i niepewnie podszedł do drzwi.

- Hej, doktorze! - zawołał za nim David. - Dokąd pan idzie?

- Możemy skończyć innym razem. Znajdziesz mnie jutro rano w forcie. Idę tam teraz, żeby się zarejestrować - poinformował.

Nie odwrócił się, choć usłyszał za sobą szuranie stóp. Naraz czyjaś pięść trafiła w jego obolałą szczękę. Gdyby nie było to to samo miejsce, gdzie wcześniej uderzył go Zeffield, cios nie zrobiłby na nim większego wrażenia, ale ból sprawił, że przewrócił się na podłogę i wylądował na plecach.

- Wróciłeś, żeby dostać więcej, ty sukinsynu? - Flanagan Adare, siwowłosy mężczyzna średniego wzrostu, powykręcany jak stara sosna, ale jeszcze krzepki, stał nad nim, dysząc ciężko. - To, co dostałeś za pierwszym razem, nie wystarczyło?

- Dziadku! - zawołała Julia zza kontuaru.

Ostatni z jej zalotników przypatrywał się tej scenie bez słowa.

Ryan potarł ręką obolałą twarz i znów poczuł w ustach smak krwi. Stary cap trafił celnie.

- Niech cię diabli, Flanagan. Nie tak szybko. Nie wróciłem tu po to, żeby sprawiać kłopoty.

- Nie obchodzi mnie, po co wróciłeś. Wynoś się stąd. - Flanagan popatrzył na okaleczone ucho Ryana. - Widzę, że inni mają na twój temat podobne zdanie jak ja.

- Niektórzy.

- Ci bystrzejsi.

Ryan próbował wstać, ale pomieszczenie zawirowało mu w oczach i znowu upadł.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, staruszk.

- Niektóre kobiety łatwo jest ogłupić, ale ja przeżyłem już dużo.

- Daję ci słowo, że będę się trzymał z daleka.

- Twoje słowo nie jest nic warte. Zostawiłeś ją, żeby umarła. Przez trzy miesiące chorowała na szkarlatynę. Jezu Chryste, oprócz niej nikt mi nie został na tym świecie, a ty ją zostawiłeś chorą!

Ryan poczuł się tak, jakby otrzymał kopniaka w zębra. Julia chorowała na szkarlatynę? Zauważył jej drżące usta i zrozumiał, że to prawda. Wciąż kręciło mu się w głowie, ale usiadł, przytrzymując się krzesła, i wymamrotał coś pod nosem. Boże drogi, nie miał pojęcia.

- Proszę pana - zawołał David do Flanagana. Postawił na stole szklankę z wodą i podbiegł do Ryana. - To ja go tu zaprosiłem. Ten człowiek jest chirurgiem, służył w armii brytyjskiej, a teraz jest oficerem w policji konnej.

Flanagan spojrział na Ryana. Białe włosy i wąsy jaskrawo odcinały się od ogorzałej skóry.

- Nie czyni go to lepszym człowiekiem. Jest taki sam jak zawsze. Samolubny łajdak.

Ryan podniósł się z trudem. Brązowe oczy syna Brandona O'Shea podążały za każdym jego ruchem. Poczul głęboki wstyd. Jak miał przezwyciężyć dziesięcioletnie wyrzuty sumienia?

Flanagan nie odpuszczał. Nogą wskazał na drzwi.

- Widziałeś, co chciałeś zobaczyć, a teraz wstawaj i wynoś się. Nie jesteś wart nawet tego, żeby czołgać się po jej podłodze.

Rozdział piąty

Julia przez całe popołudnie krzątała się w drukarni. Czuła się upokorzona. Ci mieszkańcy miasta, którzy nie powinni wiedzieć, że coś ją łączyło z czarną owcą z potężnej rodziny Reidów, teraz mieli nowy temat do plotek.

A to, że dziadek dał mu w szczękę, było dodatkową wodą na młyn plotkarzy. Nowiny roznosiły się po mieście szybciej niż ogień po prerii. Julia słyszała za swoimi plecami szepty w banku, dokąd zniosła gazety, czuła na sobie spojrzenia na targu, gdzie wymieniła skrzynkę skrawków blachy na dwie rzepy, a potem, wieszając pranie na podwórzu za domem, musiała wymijająco odpowiadać na pytania sąsiadki, starej pani Perkins.

Nie chciała udzielać żadnych wyjaśnień, jeśli zaś chodziło o to, co zrobił dziadek, w duchu przyklasnęła mu z całego serca. Nie mogła jednak stosować uników wobec własnego syna. Gdy Pete zaczął zadawać pytania, nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć.

Właśnie przygotowywała się do wyjścia na kolację z panem Shapiro i czesała włosy przed lustrem w korytarzu, gdy Pete zatrzymał się tuż przy niej i zapytał:

- Kim był ten człowiek, którego dziadek uderzył?

- Znaliśmy go kiedyś, dawno temu.

Chłopiec wyciągnął błyszczącą szpilkę do włosów z chwiejącego się drewnianego stojaczka.

- Dziadek go nienawidzi - powiedział rzeczowo, ale Julia usłyszała w jego głosie zaciekawienie.

- Wiem. - Chcąc odciągnąć uwagę syna od tego tematu, poprosiła, by podał jej grzebień ze skorupy żółwia. Była to pamiątka po matce, jeszcze z Irlandii. Matka twierdziła, że grzebień przynosi jej szczęście, a Julia tego wieczoru bardzo potrzebowała

szczęścia. Zdecydowała się włożyć świeżo upraną granatową spódnicę i bluzkę w tym samym kolorze. Pan Shapiro również zwykle ubierał się w przytłumione kolory.

Pete włożył jej grzebień do ręki.

- A co on zrobił?

Jak miała to wyjaśnić dziecku? Przystąpiła z nogi na nogę i poczuła, że uciska ją gorset.

- Zachował się bardzo niegrzecznie wobec mnie.

- W takim razie ja też go nienawidzę.

Opiekuńczość chłopca zawsze wzbudzała w niej czułość.

- Nie mów, że go nienawidzisz. To okropne słowo.

- Ale to okropny człowiek, prawda?

Julia mocniej szarpnęła włosy.

- Prawda, mamó? - Pete nie ustępował.

- Tak.

- Czy to prawda, że on jest lekarzem?

Wsunęła grzebień we włosy i przykucnęła obok synka.

- To prawda.

- To dlaczego lekarz zachował się niegrzecznie?

- Posłuchaj, Pete... - Julia odłożyła grzebień na komodę i wyciągnęła ręce do chłopca. - To, że ktoś zajmuje wysokie stanowisko, dobrze się ubiera albo ma mnóstwo pieniędzy, nie znaczy jeszcze, że jest dobrym człowiekiem. Musisz być bardzo ostrożny przy takich ludziach. Czasami ci, którzy mają wszystko, mogą potraktować cię najgorzej. Syn chłonał jej słowa.

- A to, że ktoś inny ma podarte ubranie albo nie stać go fryzjera, albo urodził się brzydki, nie znaczy, że jest zły - ciągnęła. - Rozumiesz?

- Chyba tak...

Zaburczało jej w brzuchu. Chłopiec zachichotał.

- Zostawmy te ponure tematy i poszukajmy dziadka. Obiecał, że zagra z tobą w warcaby.

Uścisnęła syna, pocałowała go w policzek i podniosła się. Jeszcze raz zerknęła w lustro. Nie miała dużo czasu na przygotowania, nie zdążyła uczesać się fantazyjnie ani wymoczyć się w wannie, ale nie wyglądała najgorzej. Ogłoszenie okazało się zdumiewająco skuteczne - w ciągu jednego dnia przywiodło do niej tylu kandydatów. Ciekawa była, co przyniesie wieczór.

Dokładnie za pięć szóstą weszli do zatłoczonej restauracji. Pan Shapiro miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur i Julia uznała za dobry omen, że obydwójce wybrali ten sam kolor. Jej zdaniem pasowali do siebie doskonale. Pan Shapiro przyszedł punktualnie. Doceniała to, że nie kazał jej czekać. Ryan zawsze pojawiał się i znikał jak chciał, nie uprzedzając o tym nikogo.

- Poproszę stół dla dwojga - powiedział pan Shapiro do szefa sali. - W jakimś spokojnym miejscu, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

Skorzystała z okazji i wsunęła rękę pod jego łokieć.

Pan Shapiro wydawał się nieco zaskoczony taką bezpośredniością. Uśmiechnął się niewyraźnie i poklepał ją po dłoni, po czym szybko wyswobodził ramię i zatoczył ręką łuk, wskazując, że pójdzie pierwszy.

Julia poczuła się zbesztana. Szła ostrożnie po puszystym wschodnim dywanie, omijając siedzących gości, stoliki oświetlone świecami i zastawione importowanymi z Anglii sztuczkami, oraz pianistę grającego w rogu sali. W końcu dotarli do stolika oddzielnego przegrodą od reszty pomieszczenia. Wsunęła się na miejsce przy oknie i usiadła na wyściełanej skórą kanapie. Miała nadzieję, że pan Shapiro usiądzie obok niej, on jednak zajął miejsce naprzeciwko, po drugiej stronie stolika.

- Poproszę butelkę najlepszego czerwonego wina - zwrócił się do kelnera.

W tej samej chwili Julia dostrzegła o dwa stoliki dalej znajomą ciemną głowę. Ryan! Serce podeszło jej do gardła. Co on tu robi? Czy przyszedł ją szpiegować? Co za drań!

Aby się uspokoić, przebiegła wzrokiem kartę, którą podał jej kelner. Buraczki, krem z kurczaka, rosyjskie pierogi... Zaczęła jeszcze raz od początku, tym razem ze skupieniem. Buraczki, krem z kurczaka, rosyjskie pierogi, ciastka kukurydziane.

- Możemy na początek zamówić półmisek pieprznej wieprzowiny - powiedział pan Shapiro. - Ha! Nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem, bo przepieprzysz wieprza Pietrze.

Julia podniosła głowę i uśmiechnęła się uprzejmie. Jak na adwokata, miał dziwne poczucie humoru.

- Gdyby Piotr Pieprzyński przepieprzył wieprza, to właściciel wieprzowiny mógłby go podać do sądu, a wtedy mógłbym wziąć udział w bardzo interesującym procesie o przepieprzoną wieprzowinę. Cha cha cha...!

Julia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Śmiech pana Shapiro zaczynał przyciągać uwagę innych gości. Znowu spojrzała na kartę. Ciastka kukurydziane, dziki ryż z warzywami...

Kelner powrócił z butelką wina i dwoma kieliszkami.

- Bordeaux - rzucił w jej kierunku, jakby oczekiwał, że rozpozna tę nazwę. Lekko skinęła głową. - Homary cieszą się dzisiaj bardzo dużym powodzeniem. Szczerze polecam.

Julia nie była już pewna, czy ma ochotę na homara. Czerwone szkielety, które widziała na talerzach na wielu stolikach, nie wyglądały szczególnie apetycznie. Jak właściwie je się taką skomplikowaną potrawę?

- Może wezmę niedosmażony stek - powiedziała z nadzieją w głosie, ale pan Shapiro oświadczył:

- Homar dla nas obydwójga. Moja droga, musisz tego spróbować.

Uśmiechnęła się. Jego determinacja, by się o nią zatroszczyć, wzbudziła w niej tęsknotę za minionymi dniami.

- Dobrze, dziękuję.

- Do tego dziki ryż z warzywami i koszyk żytniego chleba - zarządził prawnik, a gdy kelner odszedł, dodał ściszym głosem: - Niewiele brakowało, a poprosiłbym o pieprzną wieprzowinę.

Julia zaryzykowała spojrzenie ponad jego ramieniem. Na szczęście Ryan jeszcze jej nie zauważył. Z twarzą zastygłą w maskę powagi słuchał pastora, który siedział naprzeciwko niego. Czarna koszula podkreślała kolor jego cery i harmonizowała z głęboką czernią włosów.

Dziwiło ją, że wybrał akurat Dickensa na towarzysza przy kolacji. Zauważyła też, że za każdym razem, gdy kelner przechodził za jego plecami, Ryan sięgał do pistoletu, ale po ataku dziadka chyba nie mogła go za to winić. Miała nadzieję, że jeśli będzie zachowywać się spokojnie, to on nie zwróci na nią uwagi.

Nagle jednak para siedząca przy przedzielającym ich stoliku podniosła się i odeszła. Ryan podniósł wzrok. Dolną wargę miał wyraźnie opuchniętą. Jego spojrzenie ogarnęło chichoczącego pana Shapiro i butelkę bordeaux, po czym zatrzymało się na jej piersiach. Julia miała ochotę zapaść się pod ziemię. Gorset wydał jej się naraz za ciasny.

Nawet jej się nie uklonił. Z irytacją wydeła usta i znów skupiła wzrok na panu Shapiro, nakrywając jego leżącą na stoliku dłoń swoją.

- Chciałam panu podziękować za zaproszenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł prawnik, ale natychmiast wysunął dłoń spod jej palców. Boże, jakież ten człowiek jest nieśmiały! - Mamy do omówienia niezmiernie poważną sprawę - ewentualność małżeństwa.

Julia westchnęła z zadowoleniem i twardo postanowiła sobie w duchu, że nie spojrzy więcej na Ryana Reida.

- Tak, proszę mówić.

- Jak pani wie, niedawno przybyłem do tego miasta. Jestem tu zaledwie od trzech tygodni, a ostatnie dwa miesiące mojego życia były dosyć trudne.

- Dlaczego?

- Bo moja Elizabeth zmarła.

- Elizabeth?

- Moja żona.

- Och, Boże, tak mi przykro. Nie wiedziałam, że był pan żonaty.

- Przez piętnaście szczęśliwych lat.

- I mówi pan, że pańska żona zmarła dwa miesiące temu?

- Tak. - Pan Shapiro pochylił się nad stołem. - Nie szukam kogoś, z kim mógłbym dzielić... wszystko... w każdym razie jeszcze nie teraz. Jej śmierć była dla mnie ciężkim przeżyciem. Mówiąc bez ogródek, nie szukam kogoś, z kim mógłbym dzielić... - zniżył głos niemal do szeptu - sypialnię.

Julia zaniemówiła.

- Widzi pani, potrzebuję pomocy w gotowaniu i sprzątanu. To wstyd, że spędzam więcej czasu w restauracjach niż we własnej jadalni. Elizabeth byłaby wstrząśnięta, gdyby wiedziała, że nie ma kto o mnie zadbać...

Julia jęknęła w duchu, słuchając, jak pan Shapiro wylicza listę rzeczy, które robiła dla niego Elizabeth. Właściwie nie musiał mówić nic więcej, bo była już pewna, że jej odpowiedź będzie odmowna. Miała już jedno dziecko, którym musiała się opiekować, i nie potrzebowała kolejnego.

- No cóż - powiedziała, starając się nadać głosowi pogodne brzmienie. Nie zamierzała od razu psuć sobie wieczoru, w końcu czekał ich jeszcze posiłek, na który pan Shapiro z pewnością mógł sobie pozwolić.

- Codziennie rano czyściła mi buty, bez względu na to, czy były brudne, czy czyste. Proszę spojrzeć, pani O'Shea, jak te buty wyglądają teraz.

Prawnik wysunął nogę spod stołu. Nie chcąc wydać się niegrzeczną, Julia odwróciła się w tę stronę.

- To prawda, są zakurzone - przyznała.

- Widzi pani? - zatroskał się pan Shapiro. - Czy zauważa pani kurz w załamaniach?

- Tak, tak, widzę... Prawdę mówiąc, przydałoby im się porządne czyszczenie.

- Jest pani niezmiernie spostrzegawczą kobietą.

Julia podniosła głowę i ponad pustym stolikiem napotkała spojrzenie Ryana. Jego uśmiezek do reszty zniszczył jej dobry nastrój. Poczula, że się czerwieni.

Rzuciła panu Shapiro promienny uśmiech, udając, że jest bez reszty zaabsorbowana konwersacją z nim.

Siedząc nad kremem z kurczaka, Ryan uznał, że Julia ma zdumiewający gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

Ten Shapiro wyglądał na mięczaka. Podobno był prawnikiem, ale wydawał się nudny, nieciekawym i skupionym na własnych kłopotach. Julia prawie się nie odzywała, przez cały czas słuchała jego wywodów, a to mogło prowadzić tylko do jednego - do zupełnego znudzenia rozmową. Ryan ciekaw był, ile jeszcze czasu minie, nim jej spojrze-

nie stanie się szkliste, ale sądził, że najdalej za dwie minuty uprzejmy uśmiech zmieni się w wymuszony.

Pastor tymczasem przekazywał mu wszystkie nowiny z życia rodziny Reidów, za co Ryan był mu niezmiernie wdzięczny. Życzliwość okazana mu w dniu, gdy spotykał się przede wszystkim z atakami, dodała mu nieco otuchy. Być może pomysł powrotu do domu nie był zupełnie chybiony.

- A twoja siostra Shawna wyszła za właściciela irlandzkiego pubu, Quigleya. To męczyzna potężnej postury. Kiedyś również był policjantem, ale potem przytrafił mu się wypadek. Uszkodził sobie kolano i nie mógł już jeździć konno. To zakończyło jego karierę.

Trudno było uwierzyć, że mała Shawna jest już dorosła i ma dwóch synów. Wszyscy z jego rodzeństwa, włącznie z Travisem i Mitchem, podczas nieobecności Ryana zakładali własne rodziny. On zaś, choć był najstarszy, nie dorobił się żony ani dzieci.

- A właściciel browaru zmarł zeszłego roku. Nie wiem, czy go pamiętasz?

Narodziny, śmierci, wylewy. Im dłużej kaznodzieja mówił, tym bardziej Ryan czuł się osamotniony. Gdy tamten wreszcie zamilkł na chwilę i zajął się sałatą, Ryan ugryzł kromkę chleba. Poczł ból spuchniętej wargi, skrzywił się i zaczął rozmyślać nad ostatnim popołudniem.

Zgłosił się w forcie do komisarza Ridgewaya. Rozmowa poszła gładko, choć Ryan nie czuł się tam swobodnie. Z ulgą dowiedział się, że Calgary jest spokojnym miejscem. Nie było tu żadnych zatargów z Indianami, gangów, bandytów wyjętych spod prawa ani epidemii. W tej chwili policja miała tylko jeden problem, ten sam, o którym mówili wszyscy w mieście: suszę i pożary. Susza spowodowała już śmierć dziesiątek sztuk bydła i owiec. Z braku deszczu ginęły pola pszenicy.

Ale spokój oznaczał również, że umiejętności medyczne Ryana nie na wiele się tu przydadzą. W forcie był już jeden lekarz, doktor John Calloway, który powitał Ryana życzliwie. Chorymi w mieście zajmowała się doktor Virginia Waters. Ryan nigdy wcześniej nie pracował z lekarzem-kobietą, ale złożył jej kurtuazyjną wizytę i poznał przy tej okazji jej starego, ślepego wuja, który kiedyś również leczył mieszkańców Calgary. Oni też nie mieli wielu pacjentów.

Tego dnia jego największym dokonaniem było przeniesienie bagaży z hotelu Preria do koszar oficerskich w forcie. No i był jeszcze list, który odebrał w banku i który bardzo go rozczarował. Przejeżdżając przez Toronto, Ryan kazał uzupełnić struny w skrzypcach Adama. Coś go podkusiło, by zlecić również wycenę instrumentu. List od antykwariusza był jednak pełen błędów. Po pierwsze, źle napisano jego nazwisko - „Reed” zamiast „Reid”. Już samo to było irytujące. Ponadto w miejscu, gdzie w ciągu liczb powinien znajdować się przecinek, postawiono kropkę. W dodatku antykwariusz napisał, że wysłał sprzedawcę ze swego biura na zachodzie, by się z nim skontaktował. Bez jego zgody.

W efekcie tej profesjonalnej wyceny Ryan miał jeszcze mniejsze pojęcie o wartości skrzypiec niż wcześniej.

Wrócił wzrokiem do Julii. Granatowa, sztywno wykrochmalona bluzka kontrastowała z jej dziewczęcą figurą i ciepłym spojrzeniem. Nadal słuchała prawnika, który rozwodził się nad czymś w nieskończoność.

Pastor siorbnał herbatę i również popatrzył na drugą stronę sali.

- Ależ to pan Shapiro! Musimy się do nich dosiąść.

- A po co? - zdumiał się Ryan.

- Ten biedny człowiek niedawno stracił żonę. Czuje się samotny i z pewnością chciałby, żebym pobłogosławił jego posiłek.

- Czy to nie może zaczekać?

Duchowny podniósł z kolan kraciastą serwetkę i rzucił ją na stół.

- Doktorze Reid, ci ludzie pewnego dnia mogą zostać pańskimi pacjentami. Powinien ich pan poznać, prawda?

Ryan spieszył się.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę, ale wydaje mi się, że nie powinniśmy im przeszkadzać. Pani O'Shea szuka męża.

- Bzdura! I co z tego? Nigdy nie pojmę tych współczesnych młodych kobiet. Jakże to tak? Spotyka człowieka, który stracił żonę zaledwie przed dwoma miesiącami, i od razu rzuca mu się w ramiona? Nie, świat, w którym ja dorastałem, nie tak wyglądał! Cóż, na Boga, strzeliło jej do głowy?

- Przed dwoma miesiącami?

Pastor z dezaprobatą klasnął językiem.

- Napisała to ogłoszenie tak, jakby chciała kupić koguta na targu. Dżentelmen, stałe zatrudnienie. Szkoda jeszcze, że nie podała wymagań co do wagi i wzrostu. Naszym obowiązkiem jest naprowadzić ją na właściwą drogę.

- Nie sądzę... - zaczął Ryan, ale Dickens już przywołał kelnera.

- Proszę przenieść nasze talerze na tamten stół. Chcemy się przysiąść do znajomych.

Ryan podniósł się z krzesła, nie wiedząc, co zrobić. Miał tylko dwie możliwości: mógł szybko wymyślić jakąś wymówkę i uciec z restauracji albo pójść za kaznodzieją. Zdecydował się na to drugie, ale z niezrozumiałych powodów czuł się winny jak uczeń.

- Pani O'Shea, panie Shapiro - mówił wielebny. - Pozwólcie, że przedstawię wam doktora Ryana Reida. Wydaje mi się, pani O'Shea, że spotkała go już pani w drukarni.

Prawnik podniósł się i wyciągnął rękę. Julia otworzyła usta ze zdziwienia, znów je zamknęła, po czym odgarnęła z policzków nieistniejące kosmyki włosów, spoglądając na Ryana z ledwo hamowaną wrogością.

- Miło mi pana widzieć - powiedziała w końcu do wielebnego. - Życzę przyjemnego wieczoru.

Jeśli jednak miała nadzieję, że uda jej się łatwo pozbyć niechcianego towarzystwa, to była w błędzie. Pastor usiadł obok niej i wskazał Ryanowi miejsce.

- Chętnie się do was przyłączymy. Rozumiem, że zastanawiacie się nad świętym sakramentem małżeństwa, a wobec tego z radością udzielę wam dobrej rady. Doktor zaś jest w mieście nowym przybyszem, a poza tym wszystko, co się przy nim mówi, pozostaje kwestią najściślejszego zaufania.

Ryan wciąż stał. Miał jeszcze nadzieję, że uda mu się jakoś stąd uciec.

- Obawiam się, że przeszkadzam, więc...

- Ależ skąd. - Pan Shapiro poklepał skórzaną kanapę obok siebie. - Mam pewien problem ze stopą i przyda mi się znajomość z lekarzem. A pani O'Shea właśnie wspomniała o swoich kłopotach z niestraw...

- Nic mi nie jest. To już minęło.

Julia patrzyła na Ryana jak na coś, co przykleiło jej się do buta, i to zupełnie wystarczyło, by skłonić go do pozostania. Wsunął się na kanapę obok prawnika, popatrzył prosto w jej zimne, niebieskie oczy, pełne w tej chwili trucizny, i ceremonialnie rozłożył serwetkę na kolanach.

- Gdzie dokładnie panią boli, pani O'Shea?

Nie odpowiedziała.

- Przy przełykaniu?

W dalszym ciągu milczała.

- Czy ma pani wrażenie, że serce pani bije nieco zbyt mocno?

- Tak. Poczułam się niedobrze, ale nie jestem pewna, czy powinnam o tym opowiadać w towarzystwie.

- W tej sprawie proszę nie zważać na delikatność. Proszę nam powiedzieć, cóż takiego stało się przyczyną pani dolegliwości.

Usta Julii zacisnęły się w cienką kreskę.

- Jestem głęboko przekonany, że pan Shapiro, jako kandydat na pani męża, chciałby wiedzieć, co szkodzi jego narzeczonej.

- Tak, moja droga, oczywiście - zaszemrał prawnik.

- Kogut - wymamrotał pastor do Ryana. - Kogut na targu.

- To nie ma znaczenia - powiedziała Julia pospiesznie - bo już mi przeszło.

- Doktor Reid zaciągnął się do policji konnej - oznajmił duchowny, gdy czekali, aż kelner przyniesie im główne danie.

Shapiro i Julia jedli ryż z warzywami. Ryan zauważył, że prawnik pochłaniał większość potrawy, nie zostawiając zbyt wiele dla swej towarzyszki.

- Coś takiego... - Pan Shapiro zerknął na obcięte ucho Ryana. - I co tam słyhać w forcie?

- Nic szczególnego.

- Co zamierzacie zrobić z tymi pożarami?

- Musimy oszacować sytuację. Dwóch zwiadowców ma wrócić jutro rano, wtedy będziemy mieli więcej informacji.

Ryan zauważył, że na wzmiankę o zwiadowcach w oczach Julii błysnęło zainteresowanie.

- Rozumiem - stwierdził Shapiro. - Martwi się pan? Wszystkie oczy skupiły się na Ryaniu, który powtórzył to, co wcześniej powiedział mu komisarz:

- Mamy dość ludzi, by zająć się wszystkim jak należy. Te pożary czasem gasną samoistnie, gdy natrafiają na rzekę.

- Tak - odezwała się Julia. - Ale z powodu suszy wiele strumieni wyschło.

Shapiro pokiwał głową pomiędzy jednym kęsem a drugim.

- Doktor ma rację. Nie ma sensu się martwić dopóty, dopóki nie będziemy mieli jasnego obrazu sytuacji.

Ryan nie skomentował tego. Zbliżył się do nich kelner, zonglując w powietrzu czterema talerzami. Na trzech znajdował się homar, a na jednym wołowina.

Julia popatrzyła na stworzenie w czerwonej skorupie, a potem na Ryana.

- Ty nie jesz homara?

- Nie. To zbyt kłopotliwa potrawa jak na mój gust. Wolę niedosmażony stek. Ale wy sobie, nie przeszkadzajcie, bardzo proszę.

Zaczekał, aż pozostali złączą jeść. Wielebny zabrał się do ogona, Shapiro zaś oderwał szczypce i rozgniół je gołymi rękami. Julia sięgnęła po kromkę ciemnego chleba i posmarowała ją masłem, przyglądając się, co robią inni. Ryan pomyślał, że widocznie nie jest głodna. Odkroił kawałek steku i wsunął do ust.

- Doskonały - mruknął.

Gdy podniósł wzrok, Julia patrzyła na niego, również poruszając szczęką. Oderwała od niego wzrok i posmarowała swój chleb grubiej masłem.

- Mam nadzieję - zwrócił się do nich pastor - że jeśli zdecydujecie się na ślub, to dacie sobie wystarczająco dużo czasu w narzeczeństwie, żeby się poznać.

Julia rozkaszała się. Ryan nalał jej szklankę wody.

- Proszę, wielebny, czy moglibyśmy porozmawiać o tym później? - wykrztusiła.

- Bardzo często ludzie tacy jak pani mówią, że zajrzą do mnie później, żeby porozmawiać o jakimś kłopotcie, ale nigdy nie wracają. Nie ma to jak chwila obecna, młoda

damo. A więc, panie Shapiro, czy przeprowadzi się pan na zaplecze drukarni pani O'Sha, czy też ona przeniesie się do pańskiego domu?

Julia zaczerwieniła się z zażenowania. Odłamała jeszcze kawałek chleba, zjadła go z taką miną, jakby była wygłodzona, po czym wpatrzyła się w swojego homara. Ryan pochwycił jej spojrzenie. O, tak - pokazał jej ruchem sztućców, wskazując, że powinna rozłupać ogon. Spojrzała na niego z desperacją, ale zrobiła to, co pokazał, i zobaczyła przed sobą miękkie, białe mięso. Wydawała się zbyt szczupła. Ryan był zadowolony, że widzi przed nią talerz pełen jedzenia.

- W moim domu jest znacznie więcej miejsca niż u Julii - mówił prawnik. - Co prawda trudno go nazwać domem, bo brakuje tam kobiecej ręki. Trzeba powiesić zasłony po przodkach, rozpakować porcelanę. Nie wyrzuciłem niczego, co należało do Elizabeth, rozumie pan? Przyznam się również, że mojej pościeli przydałoby się porządne pranie.

Po tej niedyskrecji Shapiro, z kraciastą serwetką zatkniętą za kołnierzyk, oderwał od swojego homara długie, cienkie szczypce i wyssał je, aż strużka soku spłynęła mu po brodzie. Ryan pomyślał, że prawnik wygląda jak mors dobierający się do ofiary.

Duchowny jadł równie głośno, ale schludniej.

- Doskonały posiłek. Doskonały - powtarzał.

Julia siedziała z głową pochyloną nad talerzem.

W końcu wzięła do ust nieco mięsa z ogona homara i zaczęła żuć. Żuła i żuła...

- Smakuje ci? - zapytał Ryan.

Wielebny i prawnik odwrócili głowy w jej stronę, jednocześnie rozłupując skorupy swoich homarów. Julia pobladła.

- Bardzo dobre, tylko ma nieco dziwną konsystencję. Trochę jak buty gumowe.

Ryan próbował ukryć uśmiech.

- No cóż - podjął kaznodzieja. - Przejdźmy do sedna sprawy. Świętość sakramentu małżeństwa obejmuje przywilej intymności między mężczyzną a kobietą. Czy zamierza-
cie mieć dzieci?

Julia wstrzymała oddech, podniosła serwetkę do ust i podniosła się.

- Proszę mi wybaczyć. Nie czuję się dobrze i muszę wrócić do domu. Bardzo proszę, panowie, nie przeszkadzajcie sobie w jedzeniu. Zobaczymy się innym razem, panie Shapiro. Dziękuję za kolację.

Trzej mężczyźni podnieśli się i patrzyli, jak Julia biegnie w stronę wyjścia, potrafcząc siedzących gości.

- Cóż jej właściwie dolega? - zdziwił się pan Shapiro z kraciastą serwetką zatknietą za kołnierzyk niczym żabot.

Pastor mrugnął do Ryana, wciąż wysysając szczypcę homara. A więc ten sukinsyn wypłoszył ją stąd celowo. Ryanowi zrobiło się przykro.

- Dowiem się, czy niestrawność bardzo jej dokucza.

- Dziękuję, doktorze! - zawołał za nim Shapiro. - Proszę pójść i sprawdzić, co dolega mojej przyszłej żonie.

TTLR

Rozdział szósty

- Po raz pierwszy jadłem homara, gdy oglądałem ich połów w Oceanie Indyjskim. Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę ugotowano te piękne stworzenia. - Ryan zrównał się z Julią na chodniku. Zachodzące słońce chowało się właśnie za dachami sklepów, otaczając ją pomarańczowym blaskiem, w którym jej kasztanowe włosy nabierały fascynującego odcienia. Za nią, osiemdziesiąt mil na zachód, rozpościerały się poszarpane, ośnieżone szczyty Gór Skalistych.

- Nie obchodzi mnie, kiedy po raz pierwszy jadłeś homara. Proszę, daj mi spokój.

Jej wypchana torba w greckie wzory wydawała się cięższa niż w restauracji. Czyżby zabrała ze sobą...? Nie. Ryan odepchnął od siebie tę myśl i nasunął kapelusz niżej na oczy, próbując zignorować pulsowanie w opuchniętej wardze.

- Czy naprawdę doskwiera ci niestrawność? Może masz awersję do owoców morza? To może być niebezpieczne. Widziałem kiedyś, jak pewien człowiek w Indiach zadławił się...

- Przysiadanie się do naszego stolika było bardzo niegrzeczne.

- Owszem, zauważyłem, że byłaś zauroczona panem Shapiro. Sposób, w jaki wysłał te szczypcy, z pewnością bardzo przemawiał...

- Nie masz prawa go oceniać.

- Ależ skąd. To tylko obserwacja.

- Zamierzam spotkać się z nim jutro.

- Czy masz więcej takich jak on w kolejce?

- To nie twoja sprawa.

- Na twoim miejscu szukałbym silniejszego mężczyzny. Takiego, który potrafi porąbać sąg drewna, stojąc po kolana w śniegu.

- Doprawdy? Czy właśnie takiego mężczyznę wybrałbyś, gdybyś był kobietą?

Ryan zatrzymał na niej spojrzenie. W tym granatowym stroju wyglądała, jakby właśnie wyszła z kościoła.

- Zupełnie szczerze mogę powiedzieć, że nikt jeszcze nie zadał mi takiego pytania. Zastanówmy się. Jakiego mężczyzny bym szukał, gdybym był kobietą? - Odsunął kape-

lusz na tył głowy i roześmiał się cicho. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co kobiety widzą w mężczyznach. Moim zdaniem jesteście stadem paskudnych mułów.

- Wszystko musi być po waszej myśli.

- Z tym również bym się zgodził.

- Chcecie nas tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebujecie - wyliczała Julia.

- Przecież mówiłem, że jesteście jak muły.

- Większość z was ma tylko jedno na myśli. - Skrzywiła się i dodała: - Pan Shapiro jest inny. Właściwie, może powinnam przyjąć jego propozycję, choćby po to, by nie musieć spędzać całego czasu w syp...

Nie dokończyła i mocno zacisnęła usta. To, co powiedziała, brzmiało zupełnie nieprawdopodobnie.

- On cię nie chce w łóżku?

- Mniejsza o to. - Wiatr rozwiewał jej włosy. - To nie jest odpowiedni temat do rozmowy.

- Między kim? Między tobą i mną czy też między tobą i twoim przyszłym mężem?

W odpowiedzi tylko prychnęła i wydłużyła krok. Ryan roześmiał się.

- Mój Boże! Od pięciu lat nie było w twoim życiu żadnego mężczyzny, prawda?

- To nie twoja sprawa.

- Intymność jest ważna. Dla kobiety w twoim wieku zupełny brak aktywności nie jest zdrowy. Tłumisz...

- A ty jesteś paskudnym mułem.

- To już przecież ustaliliśmy. Ale nie zamierzasz chyba wyrzec się tej części siebie, która przydaje ci człowieczeństwa i sprawia, że jesteś pełną osobą. Może nie wierzę w małżeństwo, ale wierzę w namiętność, i wierzę, że namiętność między kobietą i mężczyzną jest święta.

- Nie chcę o tym z tobą rozmawiać.

Przypadkiem potrąciła torbą jego udo. Zdawało mu się, że poczuł zapach świeżego żytniego chleba.

- Nie wychodź za tego mężczyzny. Wszystko, co w tobie piękne, zmarnowałoby się. Wybierz kogoś bystrzejszego, kogoś, kto sprawi, że twoje serce zacznie bić szybciej

na myśl o sypialni. - Tak jak jego serce było szybciej podczas ich wspólnie spędzonej nocy. - Pamiętasz? - szepnął.

- Tak. Pamiętam, jak było z Brandonem.

Nie był przygotowany na te słowa i poczuł się boleśnie zraniony.

Szli dalej. Żółte światło przesuwawało się po skraju jej granatowej spódnicy, omywało jej twarz i rzucało cienie na szyję. Zauważył, że zdjęła na wieczór aksamitną obrózkę.

Naraz usłyszał jakiś dźwięk i natychmiast obrócił się na pięcie, z ręką na kolbie pistoletu.

- Dlaczego to robisz?

- Co?

- Przy każdym dźwięku sięgasz po broń.

- Staję się nerwowy, gdy pomyślę, że znów mogę dostać w twarz.

- Dziadek nigdy nie potrafił ukrywać uczuć.

- Zupełnie inaczej niż jego wnuczka.

- Co to ma znaczyć?

- Trudno mi cię zrozumieć, Julio. Kiedyś wystarczyło mi spojrzeć na ciebie, by wiedzieć, co czujesz, a teraz, nawet gdy mówisz, nie jestem pewien, co myślisz.

- To dobrze.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o synu?

Nie odpowiedziała. Skręcili w mroczną uliczkę prowadzącą na tyły jej domu.

- Czy masz więcej dzieci?

- Tylko Pete'a.

- Wygląda zupełnie jak Brandon.

- Tak. Jestem z niego bardzo dumna.

- Dlaczego mi o nim nie powiedziałaś? - powtórzył.

- Bo nie chciałam, żebyś jego również skrzywdził.

Ryan westchnął.

- Gdy wyjeżdżałem, nie miałem pojęcia, że jesteś chora - powiedział jak najłagodniej. - Serce mi się ściska na tę myśl. Bardzo mi przykro.

- To było dawno temu.

- Szkarlatyna to jedna z tych chorób, które potrafią zupełnie wyniszczyć organizm.
- Z pewnością jako lekarz dobrze o tym wiesz, ale...
- Miałaś wysoką gorączkę? Bolało cię gardło?

Skinęła głową w milczeniu.

- Ta choroba może zaatakować serce. Nie miałaś żadnych problemów?

- Ryan, czuję się dobrze.

- Czy to było bardzo bolesne? Wymioty i bóle w podbrzuszu...

- To wszystko dawno minęło - przerwała mu. - Nie mam pojęcia, gdzie to złapałam. Żeby uspokoić twoje zawodowe zainteresowanie: nie zaraziłam nikogo. I chcę cię jeszcze zapewnić, że przeszłość nie jest już ważna.

Doskonale rozumiał, co chciała mu powiedzieć. On nie był już dla niej ważny. Znaleźli się obok jej domu. Julia weszła na schodki i stanęła na zniszczonej werandzie, dwie stopy nad nim.

- Chciałbym cię o coś zapytać. - Ryan czuł się nieswojo na jej terenie. Odsunął kapelusz na tył głowy, żeby widzieć ją całą. - Gdybyś wyjechała skądś na długo, zostawiając rodzinę i przyjaciół, a w dodatku może trochę wstydzilibyś się tego, w jaki sposób ich zostawiłaś... i gdyby oni nie chcieli przyjąć twoich przeprosin... jaki twoim zdaniem byłby najlepszy sposób, żeby rozmawiać z ludźmi, których być może kiedyś bardzo skrzywdziłaś?

Przycisnęła wypchaną torbę do piersi i popatrzyła na niego.

- To zależałoby od nich. Gdyby uważali, że nie warto mi wierzyć, musiałabym najpierw odzyskać ich zaufanie. Ale nie u wszystkich można odzyskać zaufanie. Czasem, gdy się je raz straci, jest stracone na zawsze. - Mówiła cicho, lecz jej słowa godziły go boleśnie. - Przypuszczam, że kierowałabym się ich reakcją na mój widok. Gdybym dostała w twarz albo gdyby ktoś powiedział mi wprost, żebym nie zawracała mu głowy, to starałabym się okazać takiemu człowiekowi odrobinę szacunku i trzymać się od niego z daleka.

Po tym oświadczeniu zniknęła w mroku domu, zatraskując mu przed nosem siatkowe drzwi.

Obudziła się zalana blaskiem porannego słońca, które wpadało przez okno sypialni. Zastanawiała się, co przyniesie jej spotkanie z sierżantem Holtem MacAllisterem, i była pełna nadziei, że nieprędko zobaczy Ryana.

Przy śniadaniu unikała pytań o kolację z panem Shapiro. Powiedziała tylko, że jego żal po stracie pierwszej żony jest jeszcze zbyt świeży, toteż nie ma mowy o małżeństwie. Ta odpowiedź zadowoliła dziadka, ale nie Pete'a.

- Jak myślisz, kto wygra? - dopytywał się.

- Tu nie ma wygranych ani przegranych - odrzekła, podsuwając mu dwie kromki żytniego chleba, które poprzedniego wieczoru przyniosła z restauracji. - Chciałabym znaleźć przyjaciela, na którego obydwójce będziemy mogli liczyć w potrzebie.

- Na przykład wtedy, kiedy potrzebny jest ktoś do podnoszenia ciężkich skrzyń z farbą?

- Potrzebuję czegoś więcej niż tylko fizycznej siły.

- Na przykład, kiedy masz ochotę pójść potańczyć?

- To też, ale przede wszystkim chciałabym znaleźć kogoś, kto zawsze byłby po naszej stronie, tak jak dziadek, i kto zatroszczyłby się o nas, jeśli będzie burza albo jeśli ktoś z nas zachoruje, i z kim moglibyśmy dobrze się bawić, na przykład popływać w rzece w ładny, słoneczny dzień.

Pocałowała syna w policzek, pomogła mu umyć zęby proszkiem i odprowadziła go do domu najstarszej siostry Brandona. Anna, która zawsze okazywała Pete'owi wiele uczucia, powitała go ciepło, a jego kuzyn Max czekał już z rozłożoną planszą do warcabów. Julia prawie bez wyrzutów sumienia mogła odejść i zająć się swoimi sprawami.

Odwiedziła sklepik państwa Rossmanów i wraz z nimi wybrała się na stację kolejową. Pociąg z Gór Skalistych miał przyjechać o dziewiątej.

Dziadek zgodził się przedstawić Todda ciotkom Davida oraz przekazać listy odmowne trzem innym kandydatom. Jeden z nich odnosił się niegrzecznie do Pete'a, drugi był wdowcem z siedmiorgiem dzieci i wyglądało na to, że potrzebuje przede wszystkim niańki, a trzeci, górnik, nie kąpał się chyba od kilku miesięcy. Jeśli liczyć pana Shapiro, którego Julia w tej chwili starała się unikać, Holt miał być szósty z kolei. Nie wiązała z nim wielkich nadziei, Rossmanowie byli jednak porządnymi ludźmi, toteż ich krewny, o

ile tylko nie wyglądał zbyt młodo, mógł się okazać interesującą możliwością. W każdym razie miał szansę dotrzymać kroku energicznemu siedmiolatkowi.

Pociąg w końcu nadjechał. Pani Rossman, niska, okrągła kobieta o ogorzałej cerze i przyjaznym obejściu, pomachała do siostrzeńca, który wyskoczył z pociągu z workiem na ramieniu. W tłumie na peronie nie od razu zauważył wuja i ciotkę. Jasne, kędzierzawe włosy opadały mu na czerwony kołnierz munduru. Był nieco zarośnięty i zaniedbany, zapewne dlatego, że w ciągu kilku tygodni spędzonych w lasach nie miał okazji, żeby się wykapać i ogolić. Te niedoskonałości jednak wydały się Julii atrakcyjne. Zawsze pociągali ją mężczyźni pracujący fizycznie; mieli silny charakter i można było na nich polegać. Mundur policji konnej i broda dodawały Holtowi powagi, niemniej jednak Julia z pewnym niepokojem zauważyła, że rzeczywiście wygląda młodziej od niej.

Choć na peronie stało jeszcze kilku umundurowanych policjantów, dla niej byli oni tylko czerwoną plamą. Cała jej uwaga skupiona była na Holcie. Drugi zwiadowca, rudowłosy młody mężczyzna, poprowadził go w stronę towarzyszy.

Pani Rossman pociągnęła Julię za rękaw.

- Chodźmy tędy, złapiemy go na końcu peronu.

Pan Rossman ruszył za nimi. Julia poprawiła aksamitny kołnierzyk i przerzuciła włosy przez ramię. Holt wreszcie ich zauważył i podszedł do nich.

- Holt! Cieszę się, że wróciłeś cały i zdrowy. - Pani Rossman wspięła się na palce i uścisnęła siostrzeńca. - Twój wuj i ja chcielibyśmy przedstawić cię pewnej wyjątkowej osobie.

Julia uśmiechnęła się nerwowo. Holt cofnął się o krok, by się jej przyjrzeć, i w jego oczach błysnęło uznanie.

- Sierzancie - przerwał im jeden z policjantów, przeciskając się przez tłum - dobrze, że pan wrócił. Czekamy na raport o pożarach.

Serce Julii zatrzepotało gwałtownie. Rozpoznała ten głos. To był Ryan, również w mundurze. Górował nad pozostałymi policjantami o dobrych kilka cali. Popatrzył na nią ze zdumieniem. Boże, dlaczego musiała go tu spotkać? Czy to miał być jakiś okrutny żart losu? Zawsze pojawiał się, gdy rozmawiała z kandydatami na mężów.

Holt skinął mu głową.

- Zaraz tam przyjdę.

Ryan przeniósł wzrok z Julii na Holta i na jego twarzy pojawił się zadowolony z siebie uśmiech. Skinął jej niedostrzegalnie ręką, co miało oznaczać, że jego zdaniem jest to dobry wybór, po czym pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Nie jest trochę za młody?

- Cicho bądź - odszepnęła, zirytowana ponad wszelkie wyobrażenie. - Może dzięki temu przestanę tłumić naturalne instynkty!

- W sypialni doświadczenie jest lepsze niż młodość. Jak zawsze dobrze wiedział, co powiedzieć, by wywołać u niej rumieniec.

- A teraz chcielibyśmy przedstawić cię pani Julii O'Shea - oznajmił pan Rossman bez odrobiny wycucia.

Spłoszona Julia wyjąkała przywitanie i wyciągnęła rękę do chłopaka, modląc się, by Rossmanowie nie zaczęli teraz wyjaśniać wszystkim obecnym, że szuka męża przez ogłoszenie.

- Miło mi panią poznać - powiedział Holt, ujmując jej rękę w obie dłonie.

Jego uśmiech był ciepły i pełen wdzięku. Zerknął na ciotkę, ale nie powiedział nic więcej. Widocznie wyczuł, że potrzebna jest tu rozmowa na osobności.

Dlaczego właściwie Julia zgodziła się spotkać z nim na stacji? Idąc za policjantami, pomyślała, że chyba dała się ponieść oczekiwaniom po katastrofalnym wieczorze z panem Shapiro. Może chciała udowodnić Ryanowi, że potrafi znaleźć męża, który będzie ją w zupełności zadowalał, a może też w skrytości ducha chciała zobaczyć mężczyznę, który mógłby zainteresować się kobietą o siedem lat od niego starszą.

Stojący na skraju peronu Ryan był rozbawiony wyborem Julii. Cóż mogło pociągać dojrzałą kobietę w tak młodym chłopcu? Był pewien, że nic z tego nie wyjdzie.

Teraz jednak musiał się zająć obowiązkami. Ponieważ jego umiejętności medyczne nie były w tej chwili potrzebne w formie, poprosił, by przydzielono go do jakiejś służby, dzięki której mógłby poznać przynajmniej część podległych mu policjantów i zająć się czymś pożytecznym. Komisarz wysłał go więc na stację, na spotkanie ze zwiadowcami.

Podeszli do wagonu, w którym wieziono konie. Po drugiej stronie peronu zatrzymał się pociąg ze wschodu i wysiadł z niego mężczyzna o tak dziwnym wyglądzie, że

Ryan natychmiast zwrócił na niego uwagę: niski i krępy, w garniturze w żółtą kratę i z włosami związanymi w kucyk. Przyjezdny przywołał bagażowego i kazał się zaprowadzić do najbliższego hotelu.

Bagażowy wymamrotał coś, czego z tej odległości Ryan nie dosłyszał.

- Tak - oświadczył mężczyzna - z Antyków Świata.

Ryan jęknął w duchu. A więc to był rzeczoznawca.

Zapewne uprościłby sobie życie, gdyby po prostu podszedł i przedstawił mu się, ale nie miał cierpliwości do niekompetentnych ludzi. Nadal był zirytowany, że firma przysłała tu pośrednika bez jego zgody i że zrobiła tyle błędów w liście. Uznał, że na razie zajmie się pilniejszymi sprawami.

Policjanci zgromadzili się na końcu peronu, tuż przy wyjściu. Holt i Evan trzymali za uzdy swoje konie. Obok Holta stała Julia oraz Rossmanowie.

- Jak szybko rozszerzają się pożary? - zapytał Ryan.

- Jest o wiele gorzej, niż się obawialiśmy, sir - odrzekł Evan.

Cała grupa uważnie przysłuchiwała się tej rozmowie.

- To znaczy jak szybko?

- Niektóre pożary już się połączyły ze sobą. Szczególnie jeden z nich jest groźny - wyjaśnił Holt. - Na początku było to tylko kilka akrów suchej prerii, a teraz pożar obejmuje już kilkaset. Wiatr i susza pomagają mu się rozprzestrzeniać. Tamtejsi ludzie uważają, że zaczął się od uderzenia pioruna.

- Jak blisko udało wam się podejść?

- O jeden dzień konnej jazdy od Canmore, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt mil.

Ale najgorsze jest to, że wiatr jest niekorzystny. Przez cały czas wieje od gór w stronę Calgary.

Ryan poczuł na plecach zimny dreszcz. Pożary zmierzały w ich kierunku.

Rozdział siódmy

Od wschodu słońca zaczęło się wyczekiwanie. Ryan nie cierpiał czekać, ale wszyscy właśnie to radzili. Zaraz po śniadaniu odnalazł komisarza Ridgewaya.

- Sir, sądzę, że powinniśmy się zastanowić nad możliwościami działania. Według zwiadowców, jeden z pożarów rozszerza się mniej więcej wzdłuż linii kolejowej. Moglibyśmy przygotować ludzi i konie do obsługi wagonu-cysterny. - Wiedział, że cysterna wody nie wystarczy, by ugasić pożar tej wielkości, ale może udałoby się zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia, kopiąc rowy i nasączając ziemię wodą. Brytyjczycy zdołali kiedyś dokonać czegoś podobnego w Afryce.

Komisarz wysłuchał go uważnie, żując niezapalone cygaro. Za jego plecami słońce wschodziło nad prerią. Ciepły wiatr wpadał Ryanowi pod koszulę i owijał mu bryczesy wokół nóg. Horyzont na zachodzie przesłaniały skaliste szczyty.

- Posłuchaj, synu, co roku jest to samo. Pożary prerii wybuchają i gasną same z siebie, gdy nadchodzi deszcz. Dwa już przycichły.

- Ale mamy wielką suszę.

- To jest preria. Tu zawsze jest susza. Przyznaję, że w tym roku trwa dłużej niż zwykle, ale to, co proponujesz, to duża operacja. Zaczekajmy jeszcze parę dni, a sam się przekonasz, że ogień przygaśnie. Tymczasem możesz zapoznać się bliżej z drugim lekarzem. John jest zachwycony, że sztab wreszcie kogoś mu przysłał.

W pół godziny później, w szpitaliku fortowym, wciąż niespokojny Ryan bandażował skręconą kostkę konstabla. Wysoki i energiczny doktor John Calloway przypatrywał się temu uważnie.

- Gazę i opatrunki znajdziesz w tej szafce. - Otworzył drzwiczki. - Maści i leki płynne trzymamy przy północnej ścianie. To najchłodniejsze miejsce w tym skrzydle. Cieszę się, że mam tu jeszcze jedną parę rąk.

- Nie narzekam na to, że szpital jest pusty, ale chciałbym mieć coś więcej do roboty.

- Tylko poczekaj, a zobaczysz, jaki tu czasem bywa ruch.

Pacjent wykuśtykał z gabinetu, wspierając się na kulach. John popatrzył na Ryana.

- Jesteś bardzo podobny do swoich braci, tyle że starszy i wyższy. No i brakuje ci połowy ucha. - Zaśmiał się. - Nie wiedziałem, że Mitch i Travis mają jeszcze jednego brata.

To oznaczało, że nigdy o nim nie wspominali. Ryan poczuł się samotny. Ale właściwie dlaczego mieliby o nim wspominać?

- Jak pan sądzi, kiedy oni wrócą?

- Pewnie za kilka dni.

Ponieważ Ryan nie miał nic lepszego do roboty, poszedł do więzienia, by się zapoznać ze strażnikami. Idąc przez wyschniętą trawę dziedzińca, usłyszał za plecami czyjś głos:

- Sir, proszę zaczekać!

Dłoń Ryana odruchowo powędrowała do kabury. Obrócił się na pięcie i wycelował pistolet w pierś wołającego, na wypadek gdyby to był ktoś, kto żywił do niego jakieś zadawnione urazy.

To był ten sam niski człowiek w garniturze w żółtą kratę, którego widział poprzedniego dnia na stacji kolejowej. Nieznajomy zakaszlał i poprawił okulary w złotej oprawce.

- Sir, nie mam złych zamiarów. Nazywam się Harrison Hobbs.

Towarzyszył mu David Fitzgibbon razem ze swoją małpką. Ryan mruknął coś pod nosem i wsunął pistolet do kabury.

- Nie powinien pan tak zachodzić ludzi od tyłu, bo ktoś może odstrzelić panu głowę.

David opuścił przenośny aparat fotograficzny i dotknął czapki w pozdrowieniu. Ryan skinął mu głową.

- Pan Fitzgibbon był tak miły, że mnie tu przyprowadził - wyjaśnił Hobbs. - Czy mam przyjemność rozmawiać z doktorem Ryanem Reidem?

- Czy ma pan na myśli Reida przez „e” czy przez „i”?

- Słucham?

- Pańska firma, Antyki Świata, zrobiła błąd w moim nazwisku.

- Skąd pan wie, że jestem z Antyków Świata?

- Po prostu zgadłem. - Ryan popatrzył na kamizelkę pośrednika. - Z pańskiej kieszeni wystaje wizytówka, na której jest to napisane.

Hobbs roześmiał się. Górne zęby miał długie i ostre, a długi, brązowy kucyk opadał mu między łopatki niczym ogon wiewiórki. Przypominał przyjaźnie usposobionego gryzonia i wydawał się nad wyraz pogodnym człowiekiem.

- Przepraszam za ten błąd, sir. Z pewnością jednak wartość skrzypiec zrobiła na panu spore wrażenie. - Naraz urwał i zwrócił się w stronę Davida, jakby uświadomił sobie, że nie powinien rozmawiać o pieniądzach w obecności osób trzecich.

- Jakich skrzypiec? - zapytał David.

Ustawił się naprzeciwko Ryana i pstryknął zdjęcie. Lampa magnezowa błysnęła, pokrywając mu buty popiołem i sadzą.

Ryan podniósł rękę.

- Wystarczy już zdjęć! - Zwrócił się do Hobbsa: - Suma została zapisana błędnie. O jedno zero za dużo, a zamiast kropki powinien być przecinek.

- Otrzymałem kopię listu, który został wysłany do pana, i sędzę, że nie ma tam żadnego błędu. Ale właśnie dlatego przyjechałem. Chciałbym zobaczyć te skrzypce. Specjalizuję się w instrumentach strunowych. Zaledwie w zeszłym miesiącu pewien mnich, który przybył tu z Alp Szwajcarskich, przywiózł ze sobą wiolonczelę. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom...

Mówił coś dalej, ale Ryan nie słuchał. Patrzył na niego, oszołomiony. Sto osiemdziesiąt osiem tysięcy dolarów?! Z pewnością mieli na myśli sto osiemdziesiąt osiem dolarów, tylko przez pomyłkę napisali o dwa zera za dużo albo pomylili kropkę z przecinkiem. W końcu w jego nazwisku również popełnili błąd, miał więc podstawy, by przypuszczać, że cena została mylnie zapisana. Nawet sto osiemdziesiąt osiem dolarów to była wartość domu.

Hobbs mówił dalej:

- Najlepsze drewno lutnicze. Przypuszczam, że z Karpat rumuńskich. Styl typowy dla jednego z uczniów Amatiego. Instrument zapewne wykonano we Włoszech, choć może to być również dzieło mistrza niemieckiego.

Sto osiemdziesiąt osiem tysięcy dolarów. Czy Adam wiedział, ile warte są te skrzypce? Na litość boską, zabrał je ze sobą na wojnę!

Hobbs był w transie.

- Bogaty, dojrzały dźwięk tego instrumentu dociera do wszystkich zakamarków sali koncertowej.

Naraz małpa zapiszczała i zeskoczyła z ramienia Davida. Z chodnika przy budynku oficerów machała do nich kobieta, która przyszła w odwiedziny do żony komisarza.

- Hop, hop, David, dzień dobry!

- Nie teraz, proszę! - jęknął David.

Kobieta jednak nie dawała się łatwo zbyć. Wyciągnęła rękę, żeby małpa mogła na nią wskoczyć.

- Chciałam ci zadać jeszcze jedno pytanie dotyczące fotografii. Zastanawiałam się nad składem chemicznym wywoływaczy.

- Zaraz tam przyjdę, żeby z tobą porozmawiać.

- Kto to taki? - zapytał Hobbs, patrząc z uznaniem na ładną twarz i masę kasztanowych włosów opadających na ramiona kobiety.

- Panna Clarissa Ashford - wyjaśnił David - rozpieszczona córka jubilera. W zeszłym roku wygrała na loterii fantowej przyjemność spędzenia dwudziestu czterech godzin w moim towarzystwie i od tamtej pory wydaje jej się, że należę do niej.

- Jest piękna - szepnął Hobbs.

- Słyszał pan kiedyś o żabkach drzewnych, które żyją w Ameryce Południowej? Są piękne, czerwono-zielone, ale wypełnione trucizną. - David mocniej pochwycił aparat. - Muszę uciekać.

- Proszę, poczekaj! - zawołała za nim zaskoczona panna Ashford.

Małpka zaskrzeczała i również pobiegła za reporterem, który wycofywał się niezręcznie, obciążony sprzętem. Hobbs znów zwrócił się do Ryana, jakby nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło.

- Czy mógłbym zobaczyć te skrzypce, sir? Nie mogę się już doczekać. Nie cierpię czekania, a pan?

Z dnia na dzień sierżant MacAllister pociągał Julię coraz bardziej. Dowiedziała się, że miał dokładnie dwadzieścia sześć lat, co sprawiało, że bliżej mu było do trzydziestki niż do dwudziestki. Był tylko o sześć lat od niej młodszy, a ponieważ urodził się na wiosnę, ona zaś jesienią, przez kilka miesięcy w roku było to tylko pięć lat.

Przez trzy dni usiłowała usprawiedliwiać przed sobą tę różnicę wieku, aż w końcu zdecydowała się ją zignorować.

Holt przyszedł po nią w sobotę wieczorem. Wybrali się na spacer, podczas którego opowiadał jej o swojej rodzinie na wschodzie. Była zachwycona, gdy wyraził podziw dla jej inteligencji, która pozwoliła jej wydawać własną gazetę. W niedzielę rano po mszy czekał na nią i na Pete'a przy drzwiach kościoła i towarzyszył im do domu, prowadząc z jej synem ożywioną rozmowę o żabach i koniach. Poruszała ją jego szczerość. A potem, w poniedziałek, znalazł czas, by pomiędzy obowiązkami w formie zajrzeć do jej drukarni i przynieść jej koszyk własnoręcznie zerwanych dzikich róż.

Niestety, nie mogła odebrać podarunku osobiście. Akurat wtedy obchodziła klientów, zbierając opłaty za ogłoszenia. Odwiedziła też rodzinę Sweeneyów, żeby zamieścić na stronie towarzyskiej informację o narodzinach ich trzeciego syna, a potem zajrzała do stajen i dowiedziała się, że poprzedniego wieczoru skradziono trzy siodła.

Wieczorem Holt znów oddał jej przysługę i przysłał z restauracji po sąsiedzku rosbef z warzywami. Było tego tyle, że wszyscy troje najedli się do syta i zostało jeszcze na kolację dla Pete'a na następny dzień. Holt nie dołączył wizytówki ani żadnego bileciku, ale była pewna, że to od niego. Jego podarunki dowodziły, że jest troskliwym i zrównoważonym mężczyzną.

Pan Shapiro również zajrzał do niej ponownie. Julia powiedziała mu delikatnie, lecz jednoznacznie, że nie pasują do siebie. Był rozczarowany. Przyznał bez ogródek, że liczył na to, iż Julia poprasuje mu koszule. Odrzekła, że niestety będzie je musiał nosić pomięte.

Sytuacja z Holtem rozwijałaby się gładko, gdyby nie to, że następnego dnia, we wtorek, Julia wybrała się do fortu, by podziękować młodemu adoratorowi za róże, i wpadła na Ryana. Ten natychmiast zatrzymał wzrok na różyczce, którą wyjęła z bukietu i wsunęła sobie za wstążkę od kapelusza.

- Czy na jego widok serce bije ci mocniej?

Julia spojrzała na niego chłodno.

- To znaczy, gdy cię całuje - wyjaśnił. - Czy miękną ci kolana?

- To bardzo wulgarnie określenie. Ale czegoż innego można się po tobie spodziewać?

- Rozumiem. To znaczy, że nie.

- To, co się ze mną dzieje w jego obecności, to nie twoja sprawa.

- Nie denerwuj się tak. Skoro cię jeszcze nie pocałował, może się zbierze na odwagę do końca tygodnia.

Niektórzy młodzi mężczyźni są dość nieśmiali wobec dojrzałych kobiet.

- Uff! - sapnęła Julia z desperacją.

Szarpnęła wodze konia, który ciągnął jej wózek, i ruszyła.

- Powiem mu, że tu byłeś - zawołał za nią Ryan ze śmiechem.

Ten człowiek miał o sobie Bóg wie jakie wyobrażenie, a najbardziej denerwujące było to, że się nie mylił. Holt nie zdobył się jeszcze na odwagę, by ją pocałować.

- Proszę, przekaz Holtowi, że chciałam mu podziękować za róże i kolację - odkrzyknęła.

- Powiem, że dziękujesz mu za róże, ale kolację to ja przysłałem.

Zatrzymała wózek i obróciła się.

- Co to ma znaczyć? - wybuchnęła. - Dlaczego przysłałeś mi jedzenie?

Ryan wymownie spojrzał na jej znoszone ubranie.

- Chciałem w ten sposób powiedzieć, że przykro mi, że nie smakował ci homar.

Policzki zaczęły ją palić, jakby ktoś wbijał w nie tysiące drobnych igiełek.

- Dlaczego nie dołączyłeś żadnej karteczki?

- Bo chciałem, żebyś zjadła z przyjemnością, bez żadnych zobowiązań. Czy tak było?

Powoli skinęła głową.

- Dziękuję.

Westchnął z takim zadowoleniem, że jej zażenowanie nieco zmalowało. Być może zauważył, że nie wie o niej tak doskonale, jak pragnęłyby to pokazać. Szarpnęła lejce i zostawiła go za sobą.

W środę artykuł o powrocie Ryana do miasta był już niemal gotowy do druku. Julia zamierzała przekazać go Davidowi i umyć ręce od całej tej sprawy.

W głowie zakiełkował jej pomysł na kolejne materiały o rodzinie Reidów. Pomimo niechęci, jaką żywiła do Ryana, był on już trzecim synem rodziny, który zaciągnął się do policji konnej. Takie rzeczy interesowały wielu ludzi. A gdyby tak opublikować na stronie towarzyskiej serię optymistycznych artykułów o mężczyznach i kobietach wnoszących cenny wkład w życie społeczności? Mogłaby zacząć od nowego nauczyciela, który właśnie przybył z Vancouver i umiał mówić czterema językami. Albo od szewca, który w dzieciństwie stracił dłoń w wypadku podczas sianokosów, a mimo to robił najlepsze kowbojskie buty po tej stronie Gór Skalistych.

Patrząc na ostateczną wersję opowieści o Ryaniu, pomyślała jednak, że ta historia nie była inspirująca. Miała raczej negatywny wydźwięk.

David podniósł się zza biurka i stanął obok niej.

- Miałaś rację, jeśli chodzi o ten artykuł o czarnej owcy. To nam bardzo podniesie sprzedaż.

Poczuła wyrzuty sumienia.

- Muszę go jeszcze przejrzeć. Wciąż jest...

- Jest dobry taki, jaki jest.

- Ale pierwszy akapit jest zbyt ostry.

- Przecież to sama prawda. Każde słowo.

- Nie chcę sprzedawać gazety w ten sposób.

- Poprawiałaś ten artykuł przez trzy dni. Nigdy nie widziałem, żebyś popadała w takie rozterki nad jakimkolwiek tekstem. Co chciałabyś jeszcze napisać, czego do tej pory nie napisałaś?

- Sama nie wiem - westchnęła.

- W takim razie zostaw ten artykuł w spokoju. Jest dobry.

Skoro był dobry, to dlaczego dłonie, w których go trzymała, drżały? Jeśli był uczciwy, to dlaczego zastanawiała się nad każdym słowem, w nieskończoność rozważając, czy jest sprawiedliwe?

- Szkoda, że nie wiemy więcej o tych jego skrzypcach - powiedział David, patrząc na wóz, który przetaczał się za oknem. - Moglibyśmy o nich wspomnieć.

- A co jest szczególnego w tych skrzypcach?

- Jakiś pośrednik handlu antykami ściga go po mieście. Widziałem, jak wszedł za nim do pubu. - David wskazał głową na irlandzki pub Quigleya, stojący przy tej samej ulicy. - Mam przecucie, że ten instrument wart jest sporo pieniędzy.

- Naprawdę? - To było dziwne, ale może rzeczywiście warto wzmianki w artykule. W każdym razie to była optymistyczna informacja. Julia sięgnęła po słomkowy kapelusz, poprawiła dekolt bluzki i poszła do drzwi.

- Wobec tego muszę się zobaczyć z Ryanem.

Irlandzki pub Quigleya nie należał do miejsc, jakie Julia często odwiedzała. Normalnie nigdy nie weszłaby tam sama, ale teraz była przyparta do muru.

Pub należał do siostry Ryana Shawny i jej męża, Toma Quigleya. Ponieważ żadnego z nich nie było w mieście - Shawna wyjechała do krewnych na południu, a Quigley pędził bydło - Julia uznała, że może tam wejść bezpiecznie, nie ryzykując, iż natrafi na jakiegoś członka rodziny, który będzie patrzył na nią z góry.

Pchnęła drzwi z kolorowymi szybkami i przestąpiła próg hałaśliwego pomieszczenia. Przy barze siedział cały rząd policjantów. Byli oczywiście po służbie, w dżinsach i jasnych koszulach, ale rozpoznała ich twarze. Zaskoczył ją jedynie widok dwóch mężczyzn zajmujących miejsca przy stoliku w kącie.

Holt MacAllister, roześmiany, pił w towarzystwie Ryana Reida. Zdumiona Julia obróciła się na pięcie w stronę wyjścia.

- Julio! - zawołał Holt.

Jęknęła w duchu i zatrzymała się.

- Tutaj!

Obydwaj mężczyźni wstali, gdy podchodziła do stolika. Ryan zeszywniał i zatrzymał wzrok na dekolcie jej bluzki.

- Wpadliśmy z doktorem na drinka. - Holt przysunął jej krzesło od sąsiedniego stolika. - Proszę, dołącz do nas. Doktor Reid właśnie opowiadał mi o Anglii. Czy wiesz, że był w Afryce?

Zachwyty w głosie Holta skojarzył jej się z synem. Widocznie opowieści o przygodach przemawiały do wyobraźni wszystkich młodych mężczyzn.

Usiadła, czując ściskanie w żołądku. Ryan miał na sobie świeżo wyprasowaną białą koszulę i znoszone niebieskie dżinsy. Na tle koszuli jego skóra wydawała się ciemniejsza, a ramiona szersze. W miękkim blasku lampionu wiszącego na ścianie za jego plecami nie potrafiła dostrzec wyrazu jego oczu. Od sąsiedniego stolika napływał dym z cygar.

Holt przywołał barmankę i zamówił kolejnego guinnessa dla nich dwóch oraz szklankę cydru jabłkowego dla Julii. Rozejrzała się dokoła. Pub przyciągał najrozmaitszych ludzi, od oficerów policji poprzez pomocników z rancza aż po lokalną elitę. Dalej znajdowała się jeszcze jedna sala, jadalnia z aksamitnymi kotarami i mahoniową podłogą, pełna ludzi, którzy jedli późny lunch, zapewne przyrządzony przez francusko-kanadyjskiego szefa kuchni, którego Quigleyowie zatrudnili przed kilkoma laty.

Julia nie była tu jedyną kobietą, ale jedyną w sali barowej. Jakie to dziwne - pomyślała. Kiedyś sama prowadziła bar, i to dwukrotnie większy, ale teraz czuła się tu nie na miejscu. W dodatku dwie spośród par siedzących w jadalni spoglądały w jej kierunku, szepcząc coś do siebie. Pewnie plotkowały o niej i o Ryanie. Albo, nie daj Boże, mogły to być świeże plotki na temat jej i Holta.

Odwróciła wzrok i skupiła się na ludziach siedzących w barze. Szukała wzrokiem mężczyzny, który mógłby być handlarzem antyków, tego, o którym wspomniał David, ale nie wyglądało na to, by ktokolwiek z obecnych interesował się Ryanem.

Holt odwrócił się od barmanki i zaskakując Julię, pochylił się i pocałował ją w policzek. Poczowała, że się czerwieni. To był pierwszy pocałunek i w dodatku Ryan musiał być świadkiem. Zerknęła na niego z ukosa. Patrzył na nią w ten swój bezpośredni, metodyczny sposób. To spojrzenie zwykle zaczynało się gdzieś na wysokości brzucha, a potem wędrowało do góry, aż do jej oczu, i zawsze wprawiało ją w złość.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał Holt.

Julia zaczęła się płatać.

- Przyszłam, bo usłyszałam, że jesteś tutaj i że są tu też pewne osoby, z którymi chciałam porozmawiać.

Holt wydawał się zaskoczony.

- Zawsze mi miło cię widzieć. Właśnie rozmawiałem z doktorem o pożarach.

- Czy sądzą, że sytuacja się pogarsza? - zapytała ze szczerym zainteresowaniem.

- Na to wygląda - przytaknął Ryan. - Wartownicy z wieży strażniczej donoszą, że wszystkie pożary połączyły się w jeden, który rozszerza się coraz bardziej.

To nie brzmiało dobrze.

- I co zamierzacie z tym zrobić?

Holt skinął głową w stronę Ryana.

- Doktor organizuje grupę ochotników, którzy spróbują zwalczyć ogień.

- Doprawdy? Ale przecież jest lekarzem - zdziwiła się szczerze Julia. - Czy nie powinien raczej zajmować się pacjentami?

- Żaden pacjent go nie chce. - Holt zaśmiał się. - W forcie wszyscy przywykli do doktora Callowaya, a kobiety i dzieci w mieście boją się go z powodu wyglądu i repu... - Urwał i uniósł szklanekę. - Znów to zrobiłem. Czasem zapominam, kiedy powinienem trzymać usta zamknięte.

Napił się piwa. Wyraźnie uważał sytuację za zabawną, ale na twarzy Ryana nie było widać uśmiechu.

- Zwalczanie pożarów nie polega tylko na bezpośredniej walce z ogniem - wyjaśnił jej. - Potrzebujemy dużo ludzi i zapewne przyda się również lekarz do leczenia poparzeń.

Julia zadrżała. Nie pomyślała o tym wcześniej.

- Doktor był komendantem w armii brytyjskiej - podjął Holt. - Dlatego umie dowodzić ludźmi w bitwie, a także ich leczyć. Gdy już wyuczył się na lekarza, zorganizował szpital polowy na froncie podczas buntów w Afryce. Ma wystarczające doświadczenie, żeby dowodzić walką z ogniem.

- Och! - mruknęła Julia. Życiorys Ryana bardzo imponował Holtowi, w niej jednak wzbudzał lęk. Obawiała się o bezpieczeństwo mieszkańców miasta, którzy podejmą walkę z żywiołem.

Barmanka postawiła przed nią szklanę z cydrem.

- Muszę już iść - rzekł Ryan po chwili ciszy. - Zostawię was samych.

Julia zerwała się na nogi.

- Proszę, nie odchodź!

Zaskoczony Holt przeniósł wzrok z niej na doktora. Ryan nie odezwał się, tylko znów popatrzył na nią w ten swój denerwujący sposób.

- Holt, przyszedłam tu w sprawach zawodowych - wyjaśniła. - W jutrzejszej gazecie ma się ukazać rozmowa z doktorem Reidem, która dotyczy właśnie jego podróży. Przepraszam cię, ale muszę mu zadać jeszcze kilka pytań na temat walki z ogniem oraz skrzypiec.

Na wzmiankę o skrzypcach mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku, ubrany w garnitur w żółtą kratę i palący śmierdzące cygaro, odwrócił głowę. Julia zastanawiała się, czy to jest właśnie handlarz antyków.

- Nie mam już czasu odpowiadać na kolejne pytania, Julio. Czeka mnie parę rzeczy do zrobienia i nie chcę też rozmawiać o moim życiu prywatnym - rzekł Ryan i odszedł, pobrząkując ostrogami.

Julia również wstała i pospiesznie wymamrotała przeprosiny w stronę Holta. Praca jest pracą, musiał to zrozumieć.

- Czy mam cię odprowadzić? - zawołał za nią.

- Dziękuję, nie trzeba.

Wyszła za Ryanem przez tylne drzwi i znalazła się na alejce. Popołudnie było upalne. Ostre jak brzytwa cienie padały na ściany domów. Ptaki ćwierkały głośno ze szczytów dachów.

Ryan chyba usłyszał jej kroki na żwirze, bo zapytał, nie odwracając się:

- MacAllister pozwolił ci wyjść za mną?

- Oczywiście. Wyjaśniłam mu...

- Gdyby kobieta, o którą ja bym się starał, wstała i wyszła za innym mężczyzną, to żadne wyjaśnienia by nie wystarczyły. Sądzę, że właśnie tym się od niego różnię.

- Holt może jest od ciebie o wiele młodszy - wybuchnęła Julia, zatrzymując się w miejscu. - Ale z pewnością jest dojrzały. Nie ma w nim ani odrobiny zazdrości!

Ryan obrócił się na pięcie.

- Nigdy bym ci nie pozwolił biegać za innymi mężczyznami. Nie mógłbym na to patrzeć spokojnie.

Cóż to za absurd? Przecież nie biegała za nim. I dlaczego tak łatwo było go rozgniewać? Miała tego dość!

- Och, doprawdy? Pozwalałeś, żeby Brandon uganiał się za mną, i patrzyłeś na to spokojnie!

Skrzywił się, jakby uderzyła go w twarz. W głowie Julii zadźwięczał dzwonek alarmowy. Naprawdę nie zamierzała zbaczać na te tematy.

Podszedł o krok bliżej i powiedział zdławionym głosem:

- W takim razie kim ty jesteś? Czy wiesz, jak nazywa się kobietę, która flirtuje z dwoma mężczyznami jednocześnie?

Zaniemówiła. Równie dobrze mógłby ją nazwać dziwką. Poczowała, że do oczu napływają jej łzy upokorzenia, ale dumnie ściągnęła ramiona i rzekła odmierzonego tonem:

- Tak, wiem. O kobietach takich jak ja, umiejących przejrzeć na wylot mężczyznę, który je krzywdzi, mówi się, że są bystre.

Nie obchodziło jej już, czy artykuł o nim może wydawać się nieźyczliwy. Nie obchodziło jej, jak bardzo go to zrani.

- Zawsze potrafiłeś podciąć mi skrzydła - szepnęła, zwracając się w stronę drzwi, przez które wyszła. - Zadajesz cierpienie wszystkim dokoła z równą łatwością, z jaką innym przychodzi uśmiech. Jesteś łajdakiem.

Popatrzył na nią twardo, po czym dopadł do niej tak nagle, że wciągnęła oddech. Niczym lalkarz poruszający marionetką przesunął ją do tyłu, aż oparła się o ścianę.

- Ten mężczyzna w pubie, który wkrótce może zostać twoim kochankiem, nie potrafiłby cię ochronić przed wilkami - powiedział, wgniatając ją w ścianę.

- Sama potrafię się obronić.

- Naprawdę? Czy sądzisz, że gdyby MacAllister zobaczył mnie tu z tobą, gdyby zobaczył, jak dotykam twojej szyi, to mrugnąłby choć powieką?

- Wcale nie dotykasz mojej szyi. Odsuń się, zanim wyciągnę twój pistolet i zastrzelę cię.

Ale on właśnie to zrobił. Jego długie, chłodne palce dotknęły koronek przy jej dekolcie i powędrowały po nagiej skórze. Serce zaczęło jej dudnić jak afrykański bęben, a całe ciało pokryło się gęsią skórą. Wstrzymała oddech i odepchnęła jego rękę, lecz on już pochylał się nad nią. Zbyt wstrząśnięta, by się poruszyć, poczuła jego usta na swoich. Rozluźnił żelazny uścisk, jakby prowokował ją, by odsunęła się z własnej woli. Jednak ten pocałunek czymś różnił się od poprzedniego, tego w hotelu. Był łagodniejszy i bardziej przypominał pocałunki sprzed lat - ciepłe, uwodzicielskie i pełne czułości.

Przerażona Julia wyzwoliła się z jego objęć.

- Nie! - zawołała. - Nie!

Ryan jęknął i przycisnął czoło do ściany. Naraz drzwi pubu otworzyły się, a widok osoby, która z nich wyszła, zdziwił ich oboje.

Rozdział ósmy

Julia szybko odzyskała przytomność umysłu. Zdażyła w porę się odsunąć. Odgarnęła z czoła luźne kosmyki włosów, starając się nie sprawiać wrażenia osoby przyłapanej w ramionach łajdaka.

Z pubu wysunął się mężczyzna w żółtym garniturze.

- Doktorze Reid, chciałbym wreszcie przejść do negocjacji w sprawie tych włoskich skrzypiec. Sądzę, że suma, którą panu oferowałem, była w pełni... - Dopiero teraz zauważył Julię i urwał w pół zdania. Udawała, że nic się nie dzieje, choć on zupełnie jawnie wpatrywał się w jej rozchyłony dekolt i konwulsyjnie wykręcone palce.

Ryan przegarnął dłonią włosy, nie patrząc na Julię.

- Mniejsza o to, Hobbs. Widział pan już te skrzypce i powiedziałem, co myślę o pańskiej ofercie. A teraz proszę mi wybaczyć - zwrócił się do nich obojga - ale mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia przed odjazdem pociągu. Trzeba zorganizować ochotników.

Krótko skinął im głową i odszedł pustą alejką. Patrząc na jego arogancki krok, Julia miała ochotę go udusić.

Pan Hobbs stanął obok niej, również spoglądając w tym samym kierunku.

- To koniec - powiedziała. - Nic pan nie zdziała. Ten człowiek nigdy nie zmienia zdania.

Pośrednik zatrzymał na niej spojrzenie.

- Czy zechciałaby pani ze mną porozmawiać? Harrison Hobbs z Antyków Świata - przedstawił się, podając jej wizytówkę.

Może on mógłby jej powiedzieć coś o skrzypcach? Poprawiła bluzkę i odrzekła:

- Dlaczego nie?

Hobbs uprzejmie wyciągnął do niej ramię. Wsunęła dłoń w zgięcie jego łokcia i ruszyli w stronę głównej ulicy. Wyglądał dziwnie - niski i krępy, z długimi zębami, ale miał czarujący uśmiech i było w jego zachowaniu coś, co ją uspokajało.

- Mówiąc między nami, czy ma pani jakiś wpływ na doktora Reida, jeśli chodzi o sprzedaż tych skrzypiec? - odezwał się.

Julia wybuchnęła śmiechem.

- Panie Hobbs, nie mam na niego wpływu w żadnej sprawie.

Pośrednik poprawił okulary w złotej oprawce, znów zatrzymał wzrok na jej dekolcie i zawtórował jej śmiechem.

- No cóż, w takim razie jesteśmy jednakowo bezsilni - orzekł.

Julia nigdy nie przepuszczała okazji, by zdobyć poufne informacje, toteż pozwalała mu mówić i w ten sposób bardzo szybko poznała kilka faktów dotyczących skrzypiec Ryana. Na głównej ulicy wysunęła dłoń spod ramienia pana Hobbsa, zamierzając wrócić do domu, ale powstrzymał ją widok Ryana, który stał pośrodku tłumu złożonego z młodych mężczyzn. Hobbs również zwrócił na to uwagę.

- Wyjeżdżamy jutro rano o ósmej. Kto z was chce jechać? - zapytał Ryan i kilka rąk wyciągnęło się w górę.

- Czy policja też jedzie? - zapytał jakiś ostrożny farmer.

- Tak, proszę pana - odpowiedział Ryan. - Ale im więcej nas będzie, tym łatwiej nam przyjdzie wykonać zadanie. Mamy trzydziestu konstabli i chciałbym, by przyłączyło się do nas przynajmniej tyle samo cywilów. Pojedzie pan z nami?

Ranczer przymrużył oczy.

- Sam nie wiem.

- Nigdzie nie pojedzie. Potrzebny jest tutaj - wykrzyknęła młoda kobieta w zaawansowanej ciąży. Wsunęła rękę pod ramię farmera i odciągnęła go w stronę sklepików.

Julia nie mogła jej winić za to, że nie chce puścić męża na walkę z ogniem. W ciągu ostatnich pięciu lat Calgary już kilkakrotnie gnębiły pożary. Ponieważ miasto nie mogło sobie pozwolić na najnowszy typ wozy i sprzęt gaśniczy, policja w razie potrzeby przeciągała płócienne węże od rzeki, studni czy też innego najbliższego źródła wody. Niektóre z tych pożarów strawiły pojedyncze domy, inne były tak wielkie, że udawało się je opanować tylko z najwyższym trudem. Za każdym razem były też jakieś ofiary. Wszyscy wiedzieli, że to ryzykowna wyprawa, a nikt nie wiedział o tym lepiej niż ciężarna żona.

Szmerzy w tłumie stały się głośniejsze, a pytania bardziej bezpośrednie. Julia patrzyła na Ryana, który stał pośrodku całego tego zamętu spokojny i nieporuszony, i serce zaczęło jej bić szybciej. Jak długo ich nie będzie?

Jej obowiązkiem było wysłuchać wszystkiego uważnie i zamieścić najświeższe wiadomości w jutrzejszym wydaniu gazety. Oznaczało to, że czeka ją praca do późnej nocy. Trzeba było napisać artykuły, ustalić rodzaj czcionki i uruchomić prasę. Ale na dzień przed wyjściem kolejnego numeru nie było to nic nadzwyczajnego, dzięki temu jej gazeta zawsze zawierała najbardziej aktualne informacje.

Zorganizowanie frontu do walki z ogniem było wielkim przedsięwzięciem ze strony Ryana. Na szczęście mieli pojechać pociągiem i mogli zabrać ze sobą cały potrzebny sprzęt. Ryan wyznaczył ludzi odpowiedzialnych za namioty i za posiłki, a potem wyciągnął z kieszeni listę i zaczął sprawdzać, co zabiera ze sobą policja, a co muszą wziąć ranczerzy i przedsiębiorcy.

Naraz rozbłysła lampa aparatu Davida. Julia odwróciła się w jego stronę i ponad ramieniem reportera zauważyła kilku jeźdźców. To byli Reidowie: Joseph, Travis i Mitchell. Wrócili z wyprawy i zmierzali do pubu Quigleya, zapewne chcąc się czegoś napić i usłyszeć najnowsze wiadomości przed powrotem na ranczo. Za nimi jechały wozy wracających do domu poganiaczy bydła.

Joseph, Travis i Mitchell, wysocy, ciemnowłosi i pokryci kurzem, w skórzanych ochraniaczach na spodniach i kowbojskich kapeluszach, zsunęli się z koni i przywiązali je do słupka przed pubem, nie zwracając uwagi na Donovaną Ryana, który stał o dziesięć stóp od nich. Julia zauważyła jednak bladość na twarzy Ryana. Wiedziała, jak ważna była dla niego ta chwila.

Pierwszą myślą Ryana było to, że ojciec mocno się postarzał. Kiedyś był potężnym mężczyzną, ale od ich ostatniego spotkania sporo stracił na wadze. Choć wciąż był wysoki i dość masywny, włosy na skroniach miał zupełnie siwe, a twarz pokrytą zmarszczkami. Nie golił się od kilku dni i jego brodę pokrywała warstwa białego zarostu.

Z kolei młodsi bracia Ryana byli w kwiecie wieku. Wyżsi niż ojciec, muskularni, o ostrych, wyrazistych rysach i surowym spojrzeniu. Większość ludzi rozróżniała ich z trudem, Ryan jednak nie miał z tym kłopotu, zbyt dobrze ich znał.

Joseph zdjął kapelusz i pozdrowił kilka osób z tłumu, po czym zerknął na Ryana i w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania, a twarz spochmurniała. Rzucił kapelusz na ziemię.

- Jezu święty!

Ryan zacisnął zęby, usiłując okiełznać nagromadzone przez dziesięć lat emocje.

- Tato.

Travis patrzył na starszego brata z niedowierzaniem. Mitch, który zawsze był najbardziej uczuciowy i nie obawiał się głośno śmiać ani włóczyć godzinami za starszym bratem po lasach, szukając wyobrażonych sępów, teraz cofnął się i zmierzył go chłodnym wzrokiem.

- Cieszę się, że was widzę. - Ryan uśmiechnął się z nadzieją, że uda mu się przełamać lody.

Mitch pierwszy doszedł do siebie. Jego oczy zabłyśły, ale z żelazną samokontrolą pochylił się, podniósł kapelusz ojca z chodnika i popatrzył na drzwi pubu, jakby nic nadzwyczajnego się nie zdarzyło.

- Zdaje się, że przyszliśmy tu na drinka.

Ryan poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Mitch odwracał się do niego plecami. Do diabła, pomyślał, ten dzieciak mnie nienawidzi. Ale Mitch nie był już dzieciakiem, lecz dorosłym mężczyzną i zapewne miał swoje zdanie o tym, dlaczego starszy brat, bohater jego dzieciństwa, nieoczekiwanie wyjechał kiedyś z miasta.

Ryan zranił ich wszystkich.

- Dobrze was widzieć - powtórzył głosem ochrypłym od uczuć.

- Gdzieś ty się podziewał? - zapytał Travis z rezerwą. - Pięć miesięcy temu, gdy mama zachorowała, próbowaliśmy cię znaleźć.

- Słyszałem o tym - przyznał Ryan ze wstydem - i bardzo mi przykro.

- Nie. Daj mi skończyć - przerwał mu Travis, podnosząc rękę. - Mama miała udar i jej jedynym życzeniem było zobaczyć jeszcze raz najstarszego syna. Szukaliśmy cię wszędzie, stąd aż do Arktyki, ale nie mogliśmy cię znaleźć.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Ryan.

Nic więcej nie potrafił powiedzieć.

Joseph drżącą ręką wziął od syna kapelusz.

- Nie wydaje mi się, żebyś wiedział, co to słowo znaczy.

- Wiem, tato.

- Mówiłem im, że to szukanie nie ma sensu. Ostatnim razem, gdy cię widziałem, dałeś mi popalić tak, że wystarczy tego na całe życie.

Ryan uderzył wtedy ojca pięścią w twarz i przewrócił go. Teraz skrzywił się boleśnie.

- Tamtego wieczoru obydwaj mówiliśmy i robiliśmy rzeczy, których potem przyszło nam żałować.

- Na litość boską, to jest twój ojciec! - wybuchnął Mitch. - Twój ojciec!

Ryan wziął głęboki oddech. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się to wszystko naprawić.

- Gdzie jest mama?

- Wybrała się w odwiedziny do Killarneyów - wyjaśnił Travis. - Shawna też z nią pojechała, a także nasze żony i dzieci.

Spokojny i zrównoważony Travis nigdy nie tracił głowy. Ryan wiedział już od pastora, że podczas jego nieobecności jego brat ożenił się z sympatią z dzieciństwa. Niestety, dziewczyna zginęła w wypadku konnym. W jakiś czas później Travis wziął sobie drugą żonę, młodą kobietę o dobrym sercu, która miała już własne bliźniaki.

Tak wiele rzeczy zdarzyło się, gdy go tu nie było. Nawet Mitch miał już żonę - kobietę, która wygrała go na zwariowanej loterii fantowej. To było bardziej podobne do tego lekkomyślnego chłopaka, którego Ryan pamiętał, niż do ponurego mężczyzny, który stał przed nim i mierzył go twardym wzrokiem.

- Gdzieś ty był? - powtórzył Travis.

- Służyłem w armii brytyjskiej.

- Po co, u diabła?

Ryan wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego, że mnie chcieli. Ktoś mnie wreszcie chciał.

Ryan dopiero teraz zauważył, że zebrał się wokół nich tłumek gapiów. Mieszkańcy miasta zatrzymywali się, by popatrzeć na to spotkanie po latach. Nawet Julia tu była, sta-

ła obok Davida. Pochylił głowę. Było mu wstyd, że obcy muszą przyglądać się jego niezdatnym próbom pojednania z rodziną, ale nie mógł tak po prostu odwrócić się plecami i odejść.

- Co tu się dzieje? - Teraz Travis rozejrzał się po tłumie.

- Ryan organizuje grupę ochotników, którzy spróbują powstrzymać ogień - wyjaśnił jeden z ranczerów.

Ryan poczuł na sobie wzrok wszystkich trzech Reidów i wiedział, że patrzą na jego okaleczone ucho.

- On jest policjantem, tak samo jak wy - dodał ranczer - i lekarzem.

- Chyba żartujesz - mruknął Travis.

- Nie, sir. To prawda.

- Czy w całym Zjednoczonym Królestwie nie ma poczty? - zapytał ojciec. - Czy nie przyszło ci do głowy, że matka chciałaby wiedzieć, czy żyjesz, czy umarłeś?

Ryan znów się skrzywił.

- Czego teraz od nas chcesz? - ciągnął ojciec.

- Chciałem... Chciałem was zobaczyć. Chciałem zobaczyć, jak chłopcy urosli. - Popatrzył na braci. Byli tacy wysocy. - I zanim będzie za późno... chciałem przywitać się z matką i ojcem.

- To znaczy, zanim umrzemy. - Ojciec obracał kapelusz między palcami. - Nieśpieszno mi jeszcze do grobu, a ty możesz się wynosić, dokąd chcesz. Kiedy naprawdę byłeś tu potrzebny, bo matka pragnęła cię zobaczyć, wtedy nawet nie przyszło ci do głowy, żeby nas zawiadomić, gdzie jesteś. A teraz wracasz do domu, bo poczułeś jakieś wyrzuty sumienia. Nie obchodzi mnie to.

To były bolesne słowa.

- Teraz jesteś lekarzem - ciągnął ojciec - i to ma nam wystarczyć. Ale ja pamiętam, że zabiłeś człowieka, a potem uciekłeś z miasta i zostawiłeś nas z całym bałaganem. - Po tych słowach Joseph Reid pchnął witrażowe drzwi pubu i zniknął w środku.

Ryan poczuł gulę w gardle. Człowiek, którego zabił kiedyś nożem, zaatakował go pierwszy. Ryan nie zamierzał nikogo mordować, ale to się po prostu stało. Policja uznała, że było to działanie w samoobronie. Ten człowiek był włóczęgą i chyba nie miał rodziny.

Ryanowi nie udało się odnaleźć żadnego jego krewnego. Joseph Reid nazwał go wtedy bezużytecznym śmieciem, a Ryan dał mu pięścią w twarz. Powinien był powstrzymać furję. Ale teraz, z perspektywy czasu sądził, że nie udało mu się pohamować, ponieważ to ojciec miał rację.

Mitch westchnął ciężko i przesunął wierzchem dłoni po ustach.

- Gdy mama zachorowała, rozesłaliśmy po całej Albercie depesze z pytaniem, czy ktoś coś o tobie słyszał. Pisałem listy do Ontario. Shawna poszła do komisarza policji, żeby sprawdzić, czy on nie mógłby cię jakoś odnaleźć. Ale zniknąłeś z powierzchni ziemi. Nie rozumiem, jak mogłeś nam to zrobić. - Mitch potrząsnął głową i wszedł za ojcem do pubu.

Ile razy jeszcze Ryan miał powtarzać, że jest mu przykro?

Travis popatrzył na niego ze współczuciem, tak jak patrzy się na wróbla ze złamanym skrzydłem. On również najwyraźniej nie miał mu nic do powiedzenia.

- David - zawołał reportera - chodź z nami na drinka. Opowiesz, co się tu działo, gdy nas nie było. Chcę usłyszeć o tych pożarach. Co zamierza policja?

- Możesz zapytać Ryana - odrzekł David. - On teraz też jest w policji.

- No tak. Chyba potrzebuję trochę czasu, żeby przywyknąć do tej myśli. Chodź, postawię ci piwo.

Zostawili Ryana na ulicy, a sami zniknęli w pubie.

Rozdział dziewiąty

Była już prawie północ, gdy Ryan wyjął skrzypce z czerwonego, skórzanego futerału i położył je na swoim łóżku w oficerskiej sypialni.

- Dlaczego mi je dałeś, Adamie? - zapytał na głos. Pytanie odbiło się od drewnianych ścian i jak zwykle pozostało bez odpowiedzi.

Wyjął z futerału smyczek, przyłożył skrzypce do ramienia i podszedł do okna. Miał stąd widok na rzekę i żelazny most prowadzący do miasta, ale teraz widział przed sobą tylko morze ciemności rozproszonej światłem księżyca. Przesunął smyczkiem po strunach i pokój wypełnił się miękkim dźwiękiem. Całkiem dobrze radził już sobie z graniami gam. Nic skomplikowanego ani wyrafinowanego. Daleko było mu do swobody, z jaką Adam wykonywał klasyków, lecz tylko tyle potrafił.

Sama inspiracja nie wystarczała, by grać pięknie. Trzeba było włożyć wiele pracy w poznanie teorii. Adam był doskonałym skrzypkiem, w wyjątkowy sposób potrafił frazować lewą ręką. Prawdę mówiąc, Ryan absolutnie nie miał zadatków na dobrego skrzypka. Brakowało mu wyczucia rytmu, a palce nigdy nie trafiały we właściwą pozycję. Odłożył smyczek na sosnowy stolik, obrócił instrument w rękach i przesunął palcami po gładkim drewnie.

- Historia skrzypiec ma ponad czterysta lat - wyjaśniał mu wcześniej Harrison Hobbs. - Podobnie jak wszystkie klasyczne skrzypce, te również mają piękną, wysmukłą szyjkę. Podstrunnica, podstawek i strunnik są doskonale wykonane. Ten instrument jest tak cenny, jak przypuszczaliśmy. Został wykonany we Włoszech, przez mistrza Alessandra Baldassare. Proszę spojrzeć tutaj, wewnątrz pudła.

Ryan przesunął dłonią po gładkim, misternie rzeźbionym ślimaku. Zastanawiał się, skąd Adam miał te skrzypce?

- Gdyby coś mi się stało, kapitanie - powtarzał mu Adam wielokrotnie, gdy wieczorami grywał w namiocie medycznym - to chciałbym, żeby pan wziął sobie moje skrzypce.

Znajdowali się w pobliżu linii ognia i nie było sensu udawać, że któregoś z nich nie może spotkać śmierć.

- Ale czy nie wolałbyś ich zostawić rodzinie?

- Nie mam żadnej rodziny. Dlatego zaciągnąłem się do wojska.

- Żadnej?

- Nie, sir. Moja rodzina zginęła w pożarze w Londynie, gdy byłem mały. Nie miałem żadnego rodzeństwa, a ciotka, która mnie wychowała, była bezdzietna. Zmarła w zeszłym roku.

- Przecież wiesz, że nie umiem grać. Dlaczego chcesz mi je zostawić?

- Bo... - i to było coś, o co Ryan musiał pytać trzy razy, nim Adam w końcu odpowiedział - bo żałuję, sir, że nie jest pan moim ojcem.

Gdybyś tylko wiedział, Adamie, jak wyglądają moje stosunki z moim własnym ojcem, pomyślał i delikatnie ułożył skrzypce na powrót w futerale.

Zastanawiał się, czy Adam znał wartość instrumentu, gdy zabierał go ze sobą na front. Oczywiście, musiał znać. Adam miał tylko dwadzieścia lat, ale był doskonałym skrzypkiem. Znał wszystkich kompozytorów, którzy tworzyli po roku tysiąc dwusetnym. A jednak wydawało się, że materialna wartość skrzypiec była dla niego zupełnie nieistotna, ważne było tylko piękno dźwięku, który się z nich wydobywał.

- Adamie, chciałbym znów usłyszeć, jak grasz.

Po śmierci Adama Ryan długo poszukiwał jakichś jego żyjących krewnych. Nie znał wówczas wartości instrumentu, ale uznał, że z powodów sentymentalnych powinien trafić do kogoś z rodziny. Nie znalazł jednak nikogo.

To właśnie skrzypce sprawiły, że zdecydował się wrócić do Calgary i naprawić stosunki z własnym ojcem. Teraz, gdy już wiedział, ile skrzypce są warte, czuł się nieswojo, próbując na nich grać. Co powiedziałby Adam, gdyby Ryan sprzedał instrument? I co powinien zrobić z pieniędzmi? Oddać je na cele dobroczynne, spożytkować dla dobra miasta? Chciałby znaczną część z nich podarować matce. Ona potrafiłaby je sprawiedliwie rozdzielić między rodzinę i potrzebujące organizacje w Calgary. Czy Julia wybaczyłaby mu przeszłość, gdyby jej również oddał część z tych pieniędzy, chcąc ułatwić jej życie? A może uznałaby, że Ryan próbuje ją przekupić, i powzięłaby do niego jeszcze większą niechęć?

- Co mam z nimi zrobić, Adamie? Przyprowadziłeś mnie z powrotem do Calgary, ale powrót do domu niczego nie rozwiązał.

Wpatrywał się w piękne linie instrumentu. Gdyby mógł przedstawić Adamowi tylko jedną osobę ze swojego życia, to bez żadnych wątpliwości wiedział, że chciałby, by to była Julia.

- Czy linia kolejowa została zamknięta, tak jak prosiłem?

Stojąc pośrodku peronu, Ryan bezskutecznie próbował opanować irytację. Nie było w tym winy inżyniera kolejowego, że obudził się tego ranka zły. Sentymentalny nastrój z wczorajszego wieczoru już mu minął, teraz czuł gniew i urazę z powodu tego, jak wszyscy się do niego odnosili: Julia, jej dziadek, pół miasta, a także jego własny ojciec i bracia.

- Tak - potwierdził młody inżynier - zamknęliśmy linię.

- W obydwu kierunkach? Na wschód i na zachód?

- Tak, ale wzbudziło to wiele niezadowolenia.

- Już do tego przywykłem. Odkąd przyjechałem do tego miasta, przez cały czas spotykam się z niezadowoleniem. - Ryan rzucił brązowy kapelusz na stertę bagażu leżącą pośrodku ruchliwego peronu. Musiał zdecydować, co zrobić ze skrzypcami, które znajdowały się na samym dnie stosu, ale na razie miał co innego na głowie. - Na czym polega problem?

- Wczoraj późnym wieczorem przybył do miasta wiceprezes kompanii kolejowej. Zamierzał jutro pojechać pociągiem w Góry Skaliste. Bardzo lubi wypoczywać w hotelu Banff Springs. Chciał się wygrzać w gorących źródłach i wybrać na ryby.

- Turyści i urlopowicze w tej chwili interesują mnie najmniej. Próbuję zwalczyć pożar. Zamknęliśmy linię w obu kierunkach po to, żeby zapewnić wszystkim bezpieczeństwo.

Zostawił inżyniera i ruszył wzdłuż peronu. Zanosił się na wielką operację. Ponad tuzin wagonów gotowych było do odjazdu. Za parowozem znajdowała się cysterna wypełniona setkami galonów wody, a dalej wagony pasażerskie trzeciej klasy, w których ochotnicy mieli spać, wagon kucharza, wagon z zapasami żywności, wagon medyczny, wagon sztabowy i dwa wagony z końmi. Po drugiej stronie peronu stał drugi parowóz,

przygotowany, by następnego dnia dowieźć dodatkowy zapas wody i żywności oraz zapewnić wymianę informacji między fortem a Ryanem.

Wykrzyknął kilka wskazówek w stronę ludzi wprowadzających do wagonów konie, a potem do tych, którzy pakowali siekiery i szpadle. Wciąż był zirytowany i wiedział, że to z powodu tego, co zdarzyło się wczoraj. Skoro rodzina nie chciała go znać - trudno. Nie zamierzał więcej zawracać im głowy i nie chciał, by musieli się znów o niego martwić. Gdy już uda się opanować pożar, zamierzał pozostać w Calgary tylko po to, by spotkać się z matką. Chciał znów zobaczyć jej twarz i przeprosić ją za to, że nie było go przy niej, gdy pragnęła go zobaczyć. W głębi serca wiedział, że matka nie odrzuci jego przeprosin. Chciał spędzić z nią trochę czasu, może miesiąc lub dwa, a potem, jeśli matka będzie czuła się w miarę dobrze, poprosić o przeniesienie na północ. Fort w Edmonton potrzebował ludzi. To nie było daleko, zaledwie dwa lub trzy dni drogi od Calgary. Mógłby od czasu do czasu odwiedzać matkę, ale jego ciągła obecność nie wpływałaby destrukcyjnie na rodzinę.

Widok Julii na peronie nie poprawił mu nastroju. Stała przy otwartym oknie wagonu i rozmawiała z Holtem. Zapewne przyszła się z nim pożegnać. Obok jej asystent składał statyw aparatu fotograficznego.

Ryan zbliżył się do nich i swobodnie zaszalutował. Julia natychmiast puściła rękę Holta, jakby jego palce parzyły.

- Sir, zaraz pomogę w załadunku pozostałego sprzętu - zawołał Holt z wagonu. Wsunął swoje bagaże pod ławkę i zniknął w przejściu.

Zanim Julia zdążyła się odezwać, jakiś konstabl podbiegł do nich, wołając:

- Komendancie!

Ze względu na doświadczenie zdobyte w armii brytyjskiej, Ryan miał najwyższą rangę spośród wszystkich obecnych tu policjantów, wyższą niż Mitch, który był młodszym inspektorem, oraz Travis, który był starszym sierżantem. Poszedł jednak za radą komisarza i rozdzielił kompetencje: Mitch miał zajmować się bezpośrednio gaszeniem ognia, a Travis, wytrawny jeździec, opieką nad końmi. Obydwaj bracia byli podwładnymi Ryana, ale mieli przejąć dowodzenie, gdyby on musiał zaopiekować się rannymi.

Fakt, że musiał tak blisko współpracować z braćmi służbowo, choć w życiu osobistym dzieliła ich przepaść nie do przebycia, wydawał się ironicznym zrzędzeniem losu.

- Sir - powiedział konstabl, podchodząc do niego. - Chciał pan zobaczyć gazetę, gdy tylko wyjdzie.

- Dziękuję, Jackson. - Ryan pochwycił złożonego „Heralda Kalgaryjskiego”.

Julia jęknęła.

- Naprawdę lepiej by było, żebyś nie czytał tego teraz, kiedy...

- Dlaczego nie? - Przerzucił strony, szukając wiadomości towarzyskich.

- Masz w tej chwili mnóstwo innych rzeczy do zrobienia.

- Zdaje się, że gazeta wyszła dzisiaj wcześniej niż zwykle.

Poruszyła się nerwowo, unikając jego wzroku.

- Zwykle wychodzi około południa - wyjaśnił David. - Ale Julia wczoraj pisała do północy, a ponieważ ja również wyjeżdżam tym pociągiem, to wydrukowałem ją wcześniej. Flanagan będzie się zajmował dystrybucją przez cały dzień.

- Rozumiem. - Ryan utkwiał twarde spojrzenie w twarzy Julii.

Dlaczego była taka zdenerwowana?

Odnalazł rubrykę towarzyską, rzucił okiem na nagłówek i zrozumiał. „Skrzypce warte tysiące”. Obok artykułu znajdowały się dwie fotografie. Jedna, zrobiona poprzedniego wieczoru, przedstawiała Ryana przemawiającego do tłumu ochotników. Za jego plecami ojciec i bracia wchodzili do pubu. Ryan skrzywił się z niechęcią. Na drugiej fotografii zobaczył Hobbsa na tle kolekcji banjo.

Pierwsze zdanie artykułu brzmiało: „Ryan Reid, który przepadł bez śladu na dzieśnięć lat, wrócił do domu, przywożąc fortunę”.

Ryan powoli podniósł wzrok.

- Myślałem, że zamierzasz przedstawić wydarzenia z mojej perspektywy, Julio. Sądziłem, że nie zniżysz się do pisania o materialnej wartości moich skrzypiec i zerowania na powitaniu, jakie urządziła mi rodzina.

- W artykule prawie nic nie ma o reakcji twojej rodziny - wyjaśniła Julia cicho.

- To zdjęcie mówi wszystko.

- Ja na nim widzę co innego. Widzę ciebie pośród mieszkańców miasta, którym starasz się pomóc.

- A skrzypce? Dlaczego, do diabła, musiałaś się skupić na ich wartości?!

- Bo ludzie... Bo wszyscy są ciekawi takich rzeczy. Ludzie lubią czytać optymistyczne wiadomości.

- Od kiedy cię znam, zawsze skupiałaś się na pieniądzach - wypomniął.

Do jej oczu nabiegły łzy, podbródek zadrżał.

- Słucham?

Ryan zacisnął zęby. Nie byli sami. Choć bardzo pragnął wyładować frustrację, to nie była odpowiednia chwila. Czy mógł ją winić za to, że wyznawała takie, a nie inne wartości? Trafiła do więzienia wraz z ojcem z powodu niespłaconych długów, a potem musiała ciężko pracować na każdego centa, harując od świtu do późnej nocy.

Rzucił gazetę Davidowi i odszedł w obawie, że może powiedzieć o jedno słowo za dużo. Ku jego zdziwieniu, Julia pobiegła za nim.

- A co spodziewałaś się przeczytać?

Nie odpowiedział.

- Jak sądzisz, co ludzie chcieliby przeczytać?

Nadal nie odpowiadał.

- Dlaczego właściwie wróciłeś? - zapytała w końcu.

Podszedł do sterty bagaży i zaczął przerzucać torby.

Wiedział już, co zrobi ze skrzypcami.

- Żaden człowiek nie może spełnić całej listy wymagań - powiedział spokojnie.

- Jakiej listy?

- Listy wymagań, które określają twojego idealnego męża. Założę się, że Holt ma jakieś pieniądze, prawda? I założę się, że jest to jeden z punktów na twojej liście. Pieniądze. Tak czy nie?

- A jeśli tak? I jeśli on ma pieniądze? To co z tego?

No właśnie, co z tego? Znalazł swoje bagaże i zawołał na konstabla Jacksona, który szybko wrzucił niesione siodło do wagonu towarowego i podbiegł do niego.

- Tak, sir?

- Zaniesiesz dwa pakunki do miasta. Ale musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem.
- Wcisnął w ramiona konstabla futerał na skrzypce, obwiązany dwoma skórzanymi pasami i opatrzony kłódką. - Weź to i oddaj Clevelandowi Bosleyowi w banku. Powiedz mu, żeby przechował to w sejfie, dopóki nie wrócę. Nikomu nie wolno tego dotykać.

- Clevelandowi Bosleyowi, sir?

- Zgadza się.

- Zechce mi pan wybaczyć, ale sądziłem, że ten człowiek... - Jackson był wyraźnie zakłopotany. - To znaczy, słyszałem, że posprzeczaście się.

- To prawda. On mnie do gruntu nienawidzi.

- W takim razie dlaczego chce mu pan oddać coś tak wartościowego?

- Trzymaj! - Ryan rozpiął następną skórzaną torbę, podobnej wielkości co futerał, i wyjął plik banknotów. - Powiedz Bosleyowi, że ma wynająć dwóch dodatkowych strażników, którzy będą tego strzegli przez całą dobę. I niech wykupi jak największe ubezpieczenie, na wypadek gdyby ten przedmiot został skradziony.

- Wysyła pan to człowiekowi, który pana nienawidzi, sir?!

- Och, będzie bardzo zirytowany, gdy to dostanie. Właśnie dlatego jestem pewien, że bardzo się postara, by podczas mojej nieobecności nic złego nie przydarzyło się tej paczce.

Konstabl mocno przycisnął do siebie poobijany futerał. Julia potrząsnęła głową.

- A tę torbę - Ryan podał Jacksonowi torbę, w której znajdowały się pieniądze i kosztowności - zaniesiesz do dyrektora banku Imperial. Powiedz mu, żeby złożył ją w sejfie, razem z resztą mojej gotówki. To nie ma takiej wielkiej wartości, toteż nie trzeba dodatkowych strażników.

Przy tych słowach rzucił spojrzenie w stronę Julii. Odwróciła głowę. Czowała się winna. Gdyby nie napisała w gazecie o wartości skrzypiec, Ryan nie musiałby podejmować tak drastycznych środków ostrożności.

- Rozkaz, sir. - Konstabl zasalutował i odbiegł.

- Zaczekaj! - zawołał za nim Ryan. - Weź jeszcze jedną torbę i zanieś ją do mojej matki. Nie ma jej teraz w domu, ale zostaw na ranczu. Tam jest suknia, którą przywiozłem jej z zagranicy.

Julia popatrzyła na torbę, z której wysuwały się fałdy błękitnego płótna i czarnej atlasowej podszewki. Jackson skinął głową i zabrał wszystkie trzy pakunki.

- Julio! - zawołał kobiecy głos. - Tu jesteś!

Obydwoje z Ryanem obrócili się na pięcie i ujrzeli Clarissę Ashford, która zmierziała w ich stronę, ciągnąc za sobą bagaże.

- Clarissa! Dobrze, że już przyszedłeś.

- Dokąd ona się wybiera? - zdziwił się Ryan.

- Ze mną. - Julia wsunęła rękę do kieszeni spódnicy. - Obydwie jedziemy z tobą.

- Jeszcze czego! - warknął. - W tym pociągu nie ma miejsca dla kobiet.

TTLR

Rozdział dziesiąty

Julia nie była zdziwiona, że Ryan zabrania jej jechać, zdumiało ją tylko to, że zakładał, iż ona będzie bez dyskusji przyjmować od niego rozkazy.

Clarissa postawiła swój bagaż na ziemi, czekając na wynik debaty. Dokoła nich rżały konie, oddziały nawoływały się, starsi mężczyźni popijali wodę z manierek. Wzdłuż peronu przeszedł kucharz, ciągnąc za sobą skrzynię na kółkach. Julia poczuła zapach przypraw.

- Reporterzy muszą być wszędzie - powtórzyła.

Ryan niecierpliwie wsunął dłonie do kieszeni.

- To wyślij Davida.

- Chciałabym móc powiedzieć: jedź, David. Weź na siebie niebezpieczną część roboty, a ja będę pisać łatwe historyjki. Ty rozmawiaj z mężczyznami, którzy napadali na banki, mordowali poganiaczy bydła, podpalali domy, jedź na ochotnika do pożaru lasu, a ja zostanę tutaj i będę nalewać farbę do maszyny.

- I co w tym złego? Mężczyzna powinien chronić kobietę.

- To jest mój wkład w ten świat. Jestem właścicielką gazety. A ty nie powinieneś mi mówić, że nie mogę robić w życiu tego, co chcę.

- A co z twoim synem?

To był jedyny jej słaby punkt.

- Zostawiłam Pete'a u ciotki, z kuzynami. Bardzo ich lubi i jest tam bezpieczny.

Poza tym dziadek został w domu. Nie będzie mnie tylko przez jeden dzień.

Ryan rozluźnił się nieco.

- Jeden dzień?

- Słyszałam, że jutro ma tam dojechać drugi pociąg z dostawami, tak?

Skinął głową.

- Zamierzam nim wrócić. Dziś wieczorem rozejrzę się po obozie, napiszę o tym, co się tam dzieje, i wydrukuję to jako jednostronicowy dodatek do gazety. David będzie codziennie przysyłał pociągiem wiadomości i zdjęcia.

- Cała redakcja zajmuje się tylko tą jedną historią?

- W tej chwili w Calgary nic innego się nie dzieje. I nikt nie będzie chciał czytać o innych sprawach.

- A ty przy okazji możesz zarobić na tym pożarze trochę pieniędzy, prawda?

Pochmurnie spojrzała w jego ciemne oczy.

- Dlaczego zawsze musisz powiedzieć coś, co natychmiast zniechęca do ciebie innych?

- A dlaczego ty drukujesz rzeczy, które wpływają na życie innych? Skrzypce warte tysiące. Dziękuję ci za to, że poinformowałaś cały świat, iż warto je ukraść.

- Nie pomyślałam o tym. Wczoraj wieczorem było już bardzo późno, kiedy... Bez względu na to, co bym napisała, nie byłbyś zadowolony.

- Zdaje się, że zadowalanie mnie nie należy do twoich priorytetów.

Julia nieoczekiwanie roześmiała się.

- Przynajmniej raz muszę się z tobą zgodzić.

Ryan zaklął pod nosem. Clarissa odwróciła się z zażenowaniem.

- Nie zniosę już więcej twojej szczerości, Julio - wymamrotał. - Na litość boską, czy od czasu do czasu nie mogłabyś skłamać? Choćby po to, żeby mi poprawić humor.

Zza jego pleców wychynął David.

- Ma pan moje poparcie, komendancie. Zostawmy te kobiety.

- David! - Clarissa aż podskoczyła. Ciemne włosy fruwały jej wokół twarzy. - Wiesz przecież, jak bardzo chciałabym wam pomóc. Z największą przyjemnością będę trzymać ci aparat, spisywać to, co mi podyktujesz, i robić wszystko, co młodszy reporter może robić. Ani ty, ani Julia nie musicie mi za to płacić. Chciałabym po prostu czegoś się nauczyć!

- No właśnie. - David popatrzył na Ryana. - Komendancie, proszę jej zabronić jechać.

Julia czuła się zawiedziona. David nie doceniał łatwości, z jaką Clarissie przychodziła nauka fotografowania. Ostatniej jesieni podczas festynu dożynkowego dziewczyna wygrała spędzenie dwudziestu czterech godzin w jego towarzystwie. Całe miasto spodziewało się, że wykorzysta ten czas tak, jak robiła to najczęściej - a mianowicie, że włoży najlepszą suknię i zaciągnie Davida na jedno ze spotkań towarzyskich, na których

mogła imponować innym wyglądem i pieniędzmi. Nawet Julia była zdziwiona, gdy Clarissa poprosiła, by David zabrał ją do drukarni. W ciągu dwudziestu czterech godzin nauczyła się bardzo wiele o fotografii i pracy reportera. Powoli zaczęła się też zaprzyjaźniać z Julią.

Na początku Davidowi pochlebiało to, że Clarissa chce zostać jego uczennicą. Był zdumiony, że tak szybko opanowała mokrą metodę kolodionową przy wykonywaniu ferrotypów. Wkrótce jednak zaczął być zazdrosny o swoje terytorium. Irytowało go, że kobieta w kilka dni może osiągnąć umiejętności, którymi się szczycił. Zdaniem Julii należał do mężczyzn, którzy nie mogą znieść myśli, że kobieta może być w czymś równie dobra jak oni.

Postawiła torbę na ziemi i podeszła do Ryana i Davida.

- Jeśli któremuś z was przyjdzie choćby do głowy, by wysłać nas do zajęć, które waszym zdaniem są dla nas odpowiednie, jak na przykład przygotowywanie kolacji, to zwołamy pospolite ruszenie kobiet i jutro rano przyjadą ich do obozu setki.

David roześmiał się.

- Pospolite ruszenie kobiet. - Szturchnął Ryana łokciem. - W normalnych okolicznościach nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ścigały mnie setki kobiet.

Ryan nie zamierzał się ugiąć.

- Jeśli sądzisz, że pozwolę, by szantażowały mnie dwie kobiety...

- Lepiej dwie niż jedna - stwierdziła Julia łagodniejszym, bardziej kompromisowym tonem. - Jeśli Clarissa pojedzie ze mną, będziemy trzymać się razem i pilnować się nawzajem, dzięki czemu nie będziemy zawracać wam głowy.

Ryan jęknął głośno. Przez chwilę zastanawiał się nad decyzją. Julia wstrzymała oddech.

- Możecie pojechać i zostać tam do jutra rana - obwieścił w końcu. - A potem obydwie wróćcie do miasta. Ale absolutnie, pod żadnym pozorem nie wolno wam zabierać ze sobą tej małpy. Stawiam tu nieprzekraczalną granicę.

- Żadnych małp, sir. Zostawiłam ją z Pete'em. Obiecuję, że jej nie zabiorę.

Ryan, zachowując resztki dumy i godności, ruszył wzdłuż peronu, by wydać oddziałom rozkazy.

- Chciałbym zobaczyć to twoje pospolite ruszenie kobiet! - Holt uśmiechnął się do Julii z ławki po drugiej stronie przejścia. Od wyjazdu minęło już ponad pięć godzin. Pociąg był niewygodny i trząsł. Mimo otwartych okien w wagonie było duszno i wirował kurz. Julię cisnął gorset i wilgotne włosy przyklejały się jej do skroni.

- No właśnie! - wykrzyknął inny policjant. - Jestem za tym, żeby wrócić do miasta po kobiety.

Wszyscy dookoła wybuchnęli śmiechem. Julia również zaczęła dostrzegać humorystyczną stronę swojej groźby.

- Nie ma to jak grupa kobiet galopujących na koniach. Nic by mnie bardziej nie rozpałiło!

- Nawet nie muszą galopować jak dla mnie - wtrącił ktoś inny. - Wystarczy mi sam widok kobiety na końskim grzbiecie.

- Na oklep?

- Tak, ale czy na pewno chodzi ci o kobietę na koniu?

Czerwona jak burak Julia wpatrywała się w drewnianą podłogę, Clarissa poruszyła się niespokojnie. Kątem oka Julia dostrzegła, że Holt podniósł się i groźnie popatrzył na policjanta, który pozwolił sobie na nieprzyzwoitą uwagę.

Mężczyźni zamilkli. Pociąg sunął między wzgórzami pożółkłymi od suszy. Jechali doliną rzeki Bow. Na horyzoncie widać było poszarpane górskie szczyty pokryte śniegiem i lodem. Roztapiające się latem śnieżne czapy nawilżały sosny rosnące na niższych zboczach gór. Julia jeszcze nigdy nie widziała tak pięknej, soczystej zieleni.

Dwaj bracia Ryana siedzieli za nią, on sam jednak zajmował miejsce na drugim końcu wagonu. Pozwolił jej pojechać, ale najwyraźniej nie zamierzał zabawiać jej rozmową. Aż do tej pory zajęty był jednym z policjantów, który nadwreżył sobie ramię, ładując na dach wagonu dziesiątki pustych wiader na wodę. Kiedy pociąg ruszył, mężczyzna trzymał się wprawdzie za ramię, ale upierał się, że nic mu nie jest. Gdy jednak w godzinę później nadal krzywił się z bólu przy każdym szarpnięciu wagonu, Ryan uparł się, że musi go zbadać. Przykucnął przed nim, jakby był sługą, a nie komendantem. W jego postaci i wyrazie twarzy było coś, co sprawiało, że Julia nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Jego twarz złagodniała i starannie dobierał słowa. Cierpiący policjant, któ-

ry na początku badania był sztywny z bólu, wyraźnie się rozluźnił, do tego stopnia, że pochylił się do przodu i zaczął zadawać pytania. Po chwili Ryan zdjął mu koszulę i zaczął bandażować przedramię.

W twarzy Ryana Julia dostrzegła coś, co przypominało jej dawne lata. W oczach błyszczało zrozumienie, a dotyk wydawał się koić pacjenta. Pamiętała ten dotyk. Po raz pierwszy od powrotu Ryana dopuściła do siebie dobre wspomnienia. Pochylenie jego głowy, sposób, w jaki światło odbijało się od jego czarnych włosów, przypomniały jej noc, którą spędzili sami w barze. Ryan zamknął wtedy drzwi i zaoferował jej pomoc w sprzątaniu. Poznosił kufle i szklanki do zlewu. W pół godziny później Julia, zupełnie naga, leżała na jego skórzanym płaszczu na imponującym dębowym barze, Ryan zaś, również nagi, leżał na niej.

Od tego wspomnienia serce zabiło jej mocniej. Sięgnęła do torby i wyjęła świeżo wyprasowaną chusteczkę. Kremowe płótno z wyhaftowanymi inicjałami J.O., wydawało się nieskazitelnie czyste w porównaniu ze zmysłowymi wyobrażeniami, które przebiegały przed jej oczyma. Otarła chusteczką spocone czoło, zadowolona, że nikt nie potrafi odczytać jej myśli.

Nie mogąc się powstrzymać, zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie na Ryana. Ich oczy spotkały się i obydwójce w jednej chwili odwrócili wzrok. Ryan zakaszał i popatrzył na swoje buty, a Julia na przemykający za oknem krajobraz.

Wspinali się coraz wyżej. Na płaskiej prerii pociąg mógł osiągnąć szybkość czterdziestu mil na godzinę, ale z ciężkim ładunkiem, jaki wieźli, i w dodatku pod górę, robili najwyżej pięć mil.

Z ostatniego wagonu dobiegało rzenie koni. Pożar był coraz bliżej. Od czasu do czasu za otwartym oknem przepływały wstążki dymu. Zapach spalenizny tłumił aromat świerków i topoli.

Minęło jakieś dziesięć minut, nim Julia znów się wyprostowała. Nie patrzyła teraz w stronę Ryana, ale czuła na twarzy jego palące spojrzenie. Może zresztą była to tylko jej wyobraźnia? Powoli podniosła głowę. Patrzył na nią wprost, nie odwracając wzroku, jakby celowo chciał zburzyć jej spokój.

Spojrzała na swoje kolana, a potem na torbę.

- Dobrze się czujesz, Julio? - zapytała ją Clarissa szeptem.

- Tak, dziękuję.

- Jesteś okropnie czerwona. Może chcesz trochę wody?

- Nie. - Julia wytarła kark chusteczką. - Jakoś wytrzymam, dopóki nie dojedziemy.

Znów podniosła głowę. Ryan wciąż na nią patrzył, bez odrobiny wstydu czy wahania. W jego głębokich, ciemnych oczach błyszczały dziwne iskierki. Oddała mu spojrzenie, pochwycona w wir emocji i wrażeń.

Rytm pociągu zmienił się. Zwalniali. Rozległ się syk lokomotywy i pisk hamulców. Julia wyjrzała przez okno i zobaczyła gęste kłęby dymu.

TLR

Rozdział jedenasty

Pociąg zatrzymał się raptownie. Ryan natychmiast wyskoczył z wagonu, by uciec przed wzrokiem Julii. Zajmowanie się licznymi obowiązkami było o wiele łatwiejsze niż stawianie czoła jej niewypowiedzianym oskarżeniom.

- Holt, chodź ze mną. Reszta niech na razie zostanie w środku, dopóki nie wydam rozkazu - zawołał i skinął jeszcze na braci. Pociąg, obciążony ładunkiem żywych istot, wody i sprzętu, potrzebował aż sześciu godzin - dwukrotnie więcej niż zwykle - by dotrzeć do przełomu rzeki. Trzy wielkie odłamy granitu, każdy wysoki na pięćdziesiąt stóp, oznaczały miejsce, gdzie można było rozbić obóz. Według meldunków zwiadowców, ogień był wystarczająco daleko stąd.

- Niech to diabli! - Holt aż gwizdnął, wskazując na gęsty dym na horyzoncie. - Ogień znacznie się przesunął w ciągu tych dwóch dni. Dym jest gęściejszy i zajmuje większy obszar.

- Wiatr go roznosi - zauważył Ryan. - Przez ostatnie dwa dni wiało mocno, ale od kilku godzin przycichło. Zauważyliście, że drzewa po drodze prawie się nie poruszały?

- Tak - mruknął Holt.

- Wszystkie zwierzęta już stąd uciekły. Przez ostatnią godzinę nie widziałem nawet ptaka. Zauważyłem antylopę widłorogą nad rzeką dziesięć mil stąd, ale od tamtej pory nic.

- Jeśli wiatr zmieni kierunek, to nie będziemy musieli się martwić. Gdyby ogień skierował się na północ albo na północny wschód, to mógłby spokojnie palić się w dżungli.

- Jak sądzisz, jak daleko jesteśmy od skraju pożaru? - zapytał Ryan.

- Sądząc po dymie, powiedziałbym, że jakieś sześć do ośmiu mil.

Mitch i Travis stanęli obok nich.

- I co o tym myślisz? - zapytał Mitch, spoglądając na Ryana, który odpowiedział mu twardym wzrokiem.

- Sir - dodał Mitch. Nie było w jego tonie życzliwości, ale nie był również niegrzeczny. - Co pan myśli, sir?

Bez względu na to, jak bracia odnosili się do niego w osobistych kontaktach, w sytuacjach służbowych Ryan wymagał absolutnego szacunku.

- Myślę, że jesteśmy trochę za daleko od ognia i nie damy rady okrążyć go ze wszystkich stron. Odległość sześciu do ośmiu mil daje nam jednak dosyć czasu, by wykopać rowy i zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się pożaru w stronę miasta. Trzeba wykorzystać to, że wiatr się uspokoił. Powiedzcie wszystkim, że zatrzymamy się tutaj. Travis, dopilnuj, żeby konie trochę się poruszały. Mitch, zorganizuj trzy grupy do kopania i powiedz kucharzowi, że ludzie będą pracować przez godzinę, a potem jeść.

Obydwaj bracia odeszli, by wykonać rozkazy.

- Już czuję zapach smażonego boczku - odezwał się Holt. - Kucharz chyba zaczął pichcić godzinę temu.

- Komendancie - zawołał Travis. - Zauważyłem po drodze dużą polanę, o jakieś pięć mil stąd. Gdyby ogień zepchnął nas w dół, moglibyśmy tam zostawić konie.

Ryan skinął głową.

- Zawsze trzeba zachować kilka możliwości. Miejcie oczy otwarte i wypatrujcie brodów w rzece na wypadek, gdybyśmy musieli przekroczyć ją w pośpiechu. Sprawdźcie, czy wszyscy znają zasady bezpieczeństwa. To konieczne, zwłaszcza gdybyśmy zostali oddzieleni od pociągu i musieli uciekać konno. Dwóch ludzi na jednego konia. Niech każdy znajdzie sobie partnera.

Travis dał podwładnym sygnał, by wysiedli. Dziesiątki mężczyzn zaczęły wyskakiwać z pociągu. Mitch podbiegł do Ryana i wskazał na pobliski strumień.

- Widzi pan ten strumień? Możemy go wykorzystać jako pierwszą zaporę.

Ryan popatrzył w dół na trawiaste zbocze.

- Też mi to przyszło do głowy. Możemy wykopać jeszcze jeden długi rów o sto jardów za tym strumieniem i oczyścić przestrzeń między nimi ze wszystkich łatwopalnych materiałów, a potem zlać ziemię wodą, żeby ogień nie mógł przeskoczyć.

Mitch skinął głową. Ryan poczuł się swobodniej, widząc, że jego bracia skupili się na wykonaniu zadania i nie mieszały do tego nad wyraz skomplikowanej sytuacji rodzinnej.

- Inspektorze - zwrócił się do Mitcha. - Jest pan drugi w hierarchii.

- Wiem o tym.

- Jeśli cokolwiek mi się stanie albo jeśli będę zajęty obowiązkami lekarza, to pan będzie odpowiedzialny za walkę z ogniem.

- Zrozumiałem - Mitch odwrócił się na pięcie. - Wypakowujcie sprzęt - krzyknął do ludzi. - Jedzenie ma zostać w pociągu razem z kucharzem. Nie ruszajcie wagonu medycznego. Śpiwory i koce rozładujemy o zmierzchu, na razie tylko łopaty i siekiery.

Ryan zwrócił się do MacAllistera.

- Holt, powiedz inżynierowi, żeby dobrał sobie dwóch ludzi. Wszyscy trzej mają w dzień i w nocy pozostawać przy parowozie. Nie wolno im się oddalić bardziej niż na pięćdziesiąt stóp. Ich zadaniem będzie wycofać pociąg w razie nagłej konieczności, gdy dam sygnał gwizdkiem.

- Zrozumiano. - Holt odbiegł w kierunku lokomotywy, zatrzymując się na chwilę, by pomóc wsiąść Julii, obciążonej jednym z mniejszych aparatów fotograficznych Davida oraz własną torbą.

Po chwili obok niej pojawili się David i Clarissa. Ryan podszedł do nich.

- Przydzielamy po dwie osoby do jednego konia, ale ponieważ was jest troje, to może...

- Holt już zgodził się dzielić konia ze mną. - Julia podniosła rękę do oczu, osłaniając je przed blaskiem słońca. - Clarissa wsiądzie z Davidem.

- Dobrze - mruknął Ryan, ale poczuł się zaskoczony. Holt go uprzedził. Nie było jednak czasu na rozważania, musiał zorganizować akcję.

O wół do trzeciej łopaty zagłębiły się w ziemi. Wszyscy policjanci i ochotnicy natychmiast zabrali się do pracy przy kopaniu szerokiego na dziesięć stóp rowu, który ma stanowić zaporę dla ognia.

Julia podniosła głowę znad notesu. Przed nią rozciągał się zadziwiający widok: sześćdziesięciu ludzi zgiętych nad łopatami w upalnym słońcu. Ryan pracował razem z nimi.

Pomachała ręką przed twarzą, by odpędzić muchy, i osłoniła czoło czepkiem. Koszula Ryana była mokra od potu, krople spływały z jego skroni. Inni mężczyźni po-

zdejmowali koszule i osłaniali głowy stetsonami o szerokich rondach, które utrzymywały kurz, dym i muchy z dala od ich twarzy.

Gdy kucharz zadzwonił na posiłek, Ryan wyszedł z rowu jako ostatni, a potem pierwszy odszedł od stołu. Pracował równie ciężko jak wszyscy, pomagał słabszym i chwalił innych za dobre wykonywanie obowiązków. Podwładni chętnie wypełniali jego polecenia. Julia nie знаła się ani na policji, ani na wojsku, ale mimo to dostrzegała jasno, że Ryan jest urodzonym przywódcą.

W pewnej chwili, gdy spoglądając na niego, pisała coś gorączkowo, zauważyła wpatrzone w siebie oczy Holta. Uśmiechnęła się do niego i napełniła jego manierkę świeżą wodą. On jednak nic nie powiedział.

Po późnej kolacji, gdy słońce zaczęło zachodzić, ludzi ogarnął niepokój. Wiatr przybierał na sile, zrywał z głów kapelusze i niósł je wzdłuż strumienia, szarpał wstążkami czepka Julii i zwał czarną tkaninę z aparatu Davida, który robił zdjęcia.

- Pakujcie śpiwory i wrzućcie je z powrotem do pociągu - zakomenderował Ryan. - Musimy się cofnąć o kilka mil. Jak na mój gust, ten ogień zbliża się za szybko.

- Ale, sir, nie skończyliśmy jeszcze kopać rowów.

- Musimy stąd odjechać. Zaczniemy od nowa, trochę dalej od ognia, o jakieś dwaście mil. To powinno nam dać wystarczająco dużo czasu na wykopanie podwójnej zapory. Może te rowy, które wykopaliśmy tutaj, wystarczą. Ruszamy.

Julia zamknęła notes i spojrzała przed siebie, ponad zakrętem rzeki Bow. Nad doliną unosił się gęsty dym.

- Co tam widzisz, Ryan?

- Ogień przeskakuje.

- Co to znaczy?

- Przeskakuje górą, po koronach drzew. Po tej stronie zatrzymuje go rzeka, ale po drugiej przemieszcza się w zupełnie niekontrolowany sposób.

Położył mocną dłoń na jej plecach i obrócił ją w stronę pociągu.

Na następnym postoju Julia zauważyła, że napięcie między Holtem a Ryanem narasta. Poczuli się nieswojo, bo przypuszczała, że to ona jest tego przyczyną.

Dopóki miała dość światła, nie przestawała pisać, ale gdy się ściemniło, postanowiła dać odpocząć oczom. Mogła dokończyć artykuł następnego dnia po południu, jadąc do domu.

Dokoła niej mężczyźni rozpalali latarnie i wieszali je na gałęziach topoli i białych świerków.

- Podzielimy się na dwie grupy - zakomenderował Ryan. - Połowa będzie kopać, a druga połowa spać. Zmienimy się o trzeciej nad ranem i skończymy o świcie.

- W nocy ogień nie rozprzestrzenia się tak szybko - dodał Mitch. - W dzień pali się szybciej. Powinno nam wystarczyć czasu, żeby wykopać rowy i wynieść się stąd.

Mężczyźni podzielili się na dwie grupy. Ponieważ pogoda była ładna, większość wyciągnęła śpiwory z pociągu, zamierzając spać na zewnątrz, po drugiej stronie torów.

- Co chcesz teraz robić? - zapytała Clarissa Julię.

David stał obok nich, zmagając się z dużym aparatem.

- Chyba jeszcze nie uda mi się zasnąć. Ale wy już się połóżcie.

- Dobrze byłoby, żeby jedno z nas nie spało. Możemy się zmieniać - zaproponował David. - W ten sposób nie przeoczymy żadnych nowin.

Clarissa zniknęła w wagonie komendanta, który Ryan oddał im na noc, by zapewnić kobietom prywatność. David miał spać na dworze. Julia chwyciła za łopatę i podeszła do grupki mężczyzn kopających na zachodnim brzegu rzeki.

- Co ty robisz? - zapytał Ryan, przechodząc obok niej.

- Niosę łopatę.

- Dlaczego nie pójdziesz się przespać razem z Clarissą?

- Pójdę, kiedy się zmęcę. Na razie bardziej przydam się tutaj.

- Lepiej nie przeszkadzaj.

Julia mocno zacisnęła palce na stylisku łopaty.

- Nie zamierzam przeszkadzać. Dlaczego sprzeciwiasz się wszystkiemu, co robię?

- Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo.

- Potrafię o siebie zadbać. Stąd do pociągu jest zaledwie pięćdziesiąt jardów. Holt nie ma nic przeciwko temu, żebym pomogła w kopaniu.

Ryan mruknął coś pod nosem, potrząsnął głową i poszedł w drugą stronę.

I tak to się zaczęło. Ryan kontra Holt. Gdy Holt zrobił jej miejsce w szeregu kopiących mężczyzn, Ryan stanął z łopata na drugim końcu. Gdy Holt wyciągał z ziemi korzenie drzew, Ryan przyniósł oskard i wykopywał jeszcze większe korzenie. Gdy Holt potrzebował odpoczynku, Ryan pracował dalej.

Wieczór mijał. W cichym lesie słychać było tylko pochrząkiwania i sapanie mężczyzn oraz zgrzyt metalowych narzędzi o kamienie. Nadeszła północ. W pewnej chwili, gdy Julia niosła manierki do cysterny, by je napęlić wodą, Holt skradł jej pocałunek. Cysterna stała na zakręcie torów, za topolą. Holt zaszedł ją od tyłu i pocałował w policzek, a potem lekko w usta. Było to przyjemne. Poczła dziwną dumę na myśl, że on docenia jej wysiłek.

- Nie bolą cię mięśnie? - zapytała, wysuwając się z zasięgu jego ramion. Pocałunki były miłe, ale teraz trzeba było zanieść wodę pracującym.

- Nie za bardzo. Często dźwigam ciężary w sklepie wuja, a także bele z sianem w stajniach w forcie.

W świetle księżyca wyglądał młodo i zdrowo. Wiedziała, że gdyby za niego wyszła, byłby dla niej dobrym mężem. Jego obecność wpływała na nią kojąco. Chciał ją chronić, ale zostawiał jej swobodę podejmowania własnych wyborów, zupełnie inaczej niż Ryan.

Założyła trzy manierki na jedno ramię i trzy na drugie. Holt znów pocałował ją w policzek. Niestety, obok nich przechodziło akurat trzech braci Reidów.

- Już prawie skończyliśmy pierwszy rów, a za godzinę obudzimy... - Ryan urwał, gdy zobaczył Julię. Zamarła i szybko odsunęła się od Holta, jak gdyby byli dwojgiem nastolatków, którzy urwali się ze szkoły. Mitch i Travis również się zatrzymali.

- Dobry wieczór - powiedział Mitch.

- Właśnie napęlniamy manierki - wymamrotał Holt.

- Widzę - orzekł Travis, patrząc na jego puste ręce.

Ryan nic nie powiedział. Rzucił jej pełne potępienia spojrzenie, ruszył dalej i dookończył zdanie:

- Za godzinę obudzimy drugą zmianę.

Julia szła, dysząc pod ciężarem manierek. Była oburzona. Czy nie mógłby okazać jej choć odrobiny zrozumienia? Przecież Holt nie był pierwszym lepszym adoratorem. Zamierzała za niego wyjść. Po tych wszystkich latach powinna już przywyknąć do reakcji Reidów, wciąż jednak bolało ją, że patrzyli na nią z góry.

Przypomniała sobie, co powiedział jej Ryan poprzedniego wieczoru - że nie potrafi zapomnieć krzywd, które jej wyrządzono. Przez następną godzinę, pracując na kolanach, zastanawiała się nad tymi słowami.

Ryan czuł wszystkie mięśnie w rękach i w nogach. Ból po pracy przy łopacie przypomniawszy mu, że nie jest już tak młody jak Holt MacAllister, ale prędzej by umarł, niż przyznał się do tego głośno. Stał nad rzeką, próbując wyrzucić z myśli obraz Holta i Julii całujących się w mroku.

- Jeśli te rowy nie pomogą, to co zrobimy? - zapytał Travis.

W dziesięć minut po tym, jak minęli Julię i Holta na ścieżce, zaprowadził dwa konie nad rzekę i pozwolił im się napić. Mitch i Ryan przyprowadzili cztery następne. Konie chlapały się teraz w wodzie. Ryan patrzył na niebo nad lasem, oświetlone jasnym księżycem.

- Cofniemy się jeszcze trochę i wykopujemy następne rowy.

Mitch potarł kark.

- Nie zostało nam już za dużo miejsca. Pożar niedługo ogarnie pastwiska i rancza.

- Wiem o tym. - Ryan wpatrywał się w dym, unoszący się nad szczytami drzew. - Ogień już przeskoczył nad strumieniem. Nasza pierwsza próba chybiła.

Travis zaklął. Mitch zmrużył oczy i też popatrzył w tę stronę.

- Jesteś pewien?

- Tak. - Ryan wziął głęboki oddech. - Gdy dojdzie do otwartej prerii i z pożaru lasu zmieni się w pożar traw, będzie poruszać się jeszcze szybciej. Wymyśliłem więc coś innego. Gdy przyjedzie pociąg z zaopatrzeniem, powiemy im, żeby jutro przywieźli dynamit. Trzy beczki - zwrócił się do Mitcha.

- Trzy beczki dynamitu? Co chcesz z nim zrobić?

- Na razie nic.

- Podziel się z nami tą wiedzą, Ryan. - W głosie Mitcha zabrzmiała desperacja. - Słyszałem, że jesteś specjalistą od materiałów wybuchowych. Po co ci ten dynamit?

- Jeśli rowy nie wystarczą, to możemy odpalić dynamit i zrobić w ziemi większą wyrwę, która powstrzyma ogień. Ogień potrzebuje powietrza i silny wybuch mógłby go ugasić. Eksplozja murawy i kamieni pomogłaby stłumić pożar.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby używano dynamitu do gaszenia ognia.

- Zastanawiam się nad tym już od paru godzin. Teoretycznie to powinno zadziałać.

- Do diabła, chcesz powiedzieć, że nigdy nie widziałeś czegoś takiego w praktyce?

- Próbowałem to zrobić kiedyś w Afryce, ale użyłem za mało dynamitu, więc nic z tego nie wyszło. Duża ilość materiałów wybuchowych powinna wyssać powietrze z całej okolicy i stłumić ogień.

Travis popatrzył na Mitcha.

- Zdaje się, że mamy do czynienia z szaleńcem. Wielki wybuch mógłby tylko bardziej rozniecić ogień, przeciwnie, niż zakładasz.

- Żadnego dynamitu - powtórzył Mitch, potrząsając głową. - Przypadkiem mogliśmy wysadzić pociąg albo tory i znaleźć się w pułapce. - Próbował uspokoić konia stojącego na brzegu, ale w jego głosie brzmiała niecierpliwość. - Ryan, to bardzo lekko-myślny pomysł. Miewałeś takie pomysły, kiedy byłeś młody i głupi. Travis krótko skinął głową.

- Może ty lubisz życie na krawędzi, ale my nie jesteśmy ryzykantami. Mamy żony i dzieci, do których chcielibyśmy wrócić.

Ryan ujął wodze dwóch koni i ruszył pod górę, krzywiąc się z bólu.

- Może macie rację - powiedział, próbując zdobyć więcej czasu na zastanowienie. - Już pora budzić drugą zmianę. Idźcie spać. Ja zostanę tu jeszcze przez dwie godziny, a potem obudzę jednego z was. Travis, wyślij dwóch konnych zwiadowców wzdłuż doliny, żeby sprawdzili, jak duży jest w tej chwili ogień i dokąd sięga.

Przywiązał konie do kępy drzew i samotnie ruszył wzdłuż pociągu. Przechodząc obok wagonu komendanta, zaczął się zastanawiać, czy Julia leży na jego łóżku, czy też w śpiworze rozciągniętym na podłodze. Wyobrażał ją sobie w blasku księżyca, z twarzą uniesioną do góry, owiniętą jego płaszczem.

Jakie byłoby jej zdanie o jego planie? W takich chwilach jak teraz bardzo pragnął mieć kogoś, komu mógłby zaufać, kto potrafiłby dostrzec logikę w jego myśleniu i nie odrzuciłby od razu jego pomysłów tylko dlatego, że pochodziły od niego. Lekko postukał dłonią w bok wagonu i poszedł dalej. Czasami największe nagrody przypadają w udziale ludziom, którzy podejmowali największe ryzyko.

Całował jej ciało, ale nie widziała jego twarzy. Siedziała na krześle, a on stał za nią. Rozpiął spinkę przytrzymującą jej włosy i rozczesywał długie pasma. Miękkie pukle opadały jej na nagie piersi. Ze szczotką w ręku pochylił się i dotknął ich ustami. Poczowała dreszcz w całym ciele. Lekki powiew poruszył zasłonami w sypialni. Kim on był? Usiłowała dostrzec jego twarz.

- Chyba czuję dym - szepnęła, gdy podniósł ją z krzesła i ułożył na jedwabnym dywanie.

- To z kominka, kochana - odszepnął.

- Konie się niepokoją. Słyszę, jak rzą.

- To tylko szmer wiatru w liściach.

Głos miał bliski i znajomy. Czy to był Brandon? Westchnęła. Dobrze było znów być przy nim.

Gdy się wyprostował, zobaczyła, że on również jest nagi. Twarz miał skrytą w cieniu, światło księżyca lśniło na jego piersi i gładkim brzuchu. Pochylił głowę i pocałował ją w ramię. Uniosła się na łokciach, próbując dostrzec jego twarz. Zarys policzka przypominał jej Holta. Czy to był Holt?

Znów opadła na jedwabny dywan, pozwalając jego ustom wędrować, gdzie chciały. Zatrzymały się na kostce, potem na łydce, na kolanie i powędrowały wzdłuż uda. Rozsunęła nogi, on jednak przeskoczył na brzuch i wędrował dalej w stronę piersi. Pocałował jedną, a potem drugą. Gdy te usta odnalazły jej wargi, ze wstrząsem uświadomiła sobie, że to Ryan.

Obudziła się z głośnym krzykiem. Leżała na wąskim łóżku Ryana, przyciskając do siebie poduszkę.

- Julio, co się stało? - W mroku majaczyła nad nią sylwetka Clarissy. - Okropnie krzyczałaś. Co ci się śniło?

Rozdział dwunasty

Julia potrząsnęła głową.

- Nie pamiętam.

Ale pamiętała. Pamiętała każdy wstydlivy szczegół. Była wstrząśnięta zmysłową naturą swojej wyobraźni. Prawdziwe damy nie miały takich erotycznych snów, a już z pewnością nie z trzema różnymi mężczyznami naraz.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - dopytywała się Clarissa. Była zupełnie ubrana, gotowa, by wyjść i dołączyć do kąpiących.

Julia próbowała oprzytomnieć.

- Tak, dziękuję. Chyba przyśnił mi się koszmar.

Clarissa przysiadła na krawędzi łóżka. Z zewnątrz słychać było głosy mężczyzn.

- Chyba przespałam porę, gdy budzono drugą zmianę. - Wyjęła z kieszeni zegarek.
- Już prawie czwarta. David na pewno tam jest.

- Dasz sobie radę? To znaczy z Davidem? - Julia powoli odzyskiwała przytomność.

Clarissa opuściła ręce i zawahała się.

- Dlaczego on mnie tak unika?

- Bo stanowisz zagrożenie dla niego jako reportera. Potrzebował wielu lat, by się nauczyć tego, co potrafi. Fotografować zaczął dawno temu. Najpierw sprzedawał pamiątkowe pocztówki, a potem krok po kroku piął się w górę, aż został reporterem. Tobie zajęło to tylko kilka miesięcy.

- Dlaczego chcesz mi dać szansę, Julio? Wszyscy w mieście uważają, że jestem bogata i rozpieszczona. Dlaczego ty poświęcasz mi uwagę?

- Bo wierzę, że masz talent do robienia zdjęć i do opisywania historii.

Clarissa, o kilka lat starsza od Julii, przyzwyczajona była do rozrywkowego trybu życia. Julia miała wrażenie, że odkąd jej przyjaciółka zainteresowała się pracą reportera, stonowała nieco swoje zachowanie. Zastanawiała się, zanim odpowiedziała na jakieś pytanie, i przestała chichotać w obecności mężczyzn, jak to robiły niektóre młodsze kobiety.

- Czy jest jeszcze jakiś powód? - naciskała Clarissa.

- Bo wiem, jakie to uczucie, gdy nikt w ciebie nie wierzy.
- Jesteś bardzo dobrą przyjaciółką.
- Chciałabym, żeby inni uznawali moją obecność tutaj za krok do czegoś lepszego.
- Chodzi ci o Ryana?

Julia skinęła głową. Choć Clarissa nie знаła całej historii, udało jej się w ciągu ostatniego tygodnia wyciągnąć z Julii niektóre szczegóły. Clarissa przeszła swoje w życiu. Często stawała się przyczyną konfliktów między mężczyznami, którzy się w niej kochali. Kiedyś wyznała Julii, iż dręczy ją myśl, że nigdy nie wyszła za mąż, nigdy nie udało jej się utrzymać niczyjego uczucia. Julia słyszała, że Clarissa posłała kiedyś do więzienia jednego ze swych adoratorów, który oszukał swojego partnera z tartaku, by zaimponować jej skradzionymi pieniędzmi. Kobieta, którą Julia znała teraz, była zupełnie inna.

- A co Ryan o tobie myśli? - zapytała Clarissa.
- Czasem patrzy na mnie z takim rozczarowaniem, że chce mi się płakać.
- To dobrze.

Julia podciągnęła prześcieradło pod szyję. Wszystko w tym wagonie, od starego skórzanego płaszcza, który wisiał na ścianie, aż do płóciennego śpiwora na podłodze, przesiąknięte było zapachem Ryana.

- Jak to może być dobre?
- Lepiej czuć cokolwiek, niż nie czuć nic. Może twoje serce próbuje ci to powiedzieć.

Gdy Clarissa wyszła, Julia wpatrzyła się w mrok. Zastanawiała się, co próbuje powiedzieć jej serce. Gdy została wdową, każdej nocy śniła o Brandonie, ale teraz to, co ich kiedyś łączyło, wydawało się niezmiernie odległe. Czy to było błogosławieństwo, czy przekleństwo, że wspomnienia tak bladły z upływem lat? Poczowała wyrzuty sumienia.

Brandon przed śmiercią kilkakrotnie mówił jej, że nie chce, by została sama na zawsze.

- Przepraszam cię, Brandon - szepnęła w myśli. - Ale wiem, że mnie zrozumiesz.

Teraz należała do Holta. Rozkwitała między nimi przyjaźń i Julia czuła, że ta przyjaźń może przetrwać aż do starości. To o Holcie śniła, nie o Ryaniu.

- Nie o Ryanie - wymamrotała i zamknęła oczy w nadziei, że znów uda jej się usnąć.

Wschodzące słońce rozświetlało smugi dymu i wpadało przez okno prosto na brązowy, wełniany koc, którym była owinięta. Ktoś szedł wzdłuż pociągu i uderzał w metalowy gong, wołając:

- Pobudka! Pobudka dla wszystkich!

Julia zakasłała i wyskoczyła z łóżka na chłodne poranne powietrze. Narzuciła na siebie czystą spódnicę i bluzkę, przemyła twarz, wyczyściła zęby proszkiem nad porcelanową miską, a potem pochwyciła szal i wybiegła na zewnątrz.

Ziemia zasnuta była mgłą nadpływającą z rzeki. Ciężki dym zasłaniał korony drzew. Ogień był już blisko. Poczowała zapach mchu ze świeżo poruszonej ziemi.

Ryan pojawił się przy końcu pociągu. Przyglądził wilgotne włosy i odchrząknął. Sądząc po tym, jak wyglądał, on również przed chwilą się obudził.

- Dzień dobry - powiedział do niej. - Czy dawno wstałaś?

Potrząsnęła głową.

- Pięć minut temu.

Podeszła do nich grupa mężczyzn. Julia odsunęła się na bok, nie chcąc przeszkadzać.

- Komendancie, skończyliśmy kopać drugi rów i zaczęliśmy zbierać korzenie i liście z ziemi między nimi.

- Nie ma czasu do stracenia - stwierdził Ryan. - Niech każdy przywiąże sobie wiadro do pleców. Trzeba nawilżyć grunt.

- Ale jeszcze go nie oczyściliśmy.

Julia wiedziała, że ogień może przejść pomiędzy rowami, karmiąc się liśćmi i gnijącą roślinnością. Wspominano o tym już kilkakrotnie. Iskra mogła się tlić całymi dniami, nim znów wybuchła płomieniem, w zależności od tego, jak suchy był teren. Słyszała również, że pożary lasów nie zawsze posuwają się w linii prostej, lecz czasami rozchodzą się promieniście. Centrum pożaru może się znajdować o setki jardów dalej, ale jedna z wypustek może wędrować po ziemi albo przeskakiwać z drzewa na drzewo.

- Nie ma czasu na przekopywanie gruntu - stwierdził Ryan. - Widzisz, jaki ten dym jest gęsty? Musimy się stąd ewakuować w ciągu piętnastu minut.

- Ale kucharz woła wszystkich na śniadanie.

- Zjemy w pociągu. Każ rozpalać pod kotłem lokomotywy. Już!

To oznaczało, że ogień przeskoczył pierwszy strumień i zbliżał się do nich. Julia nie dostrzegła bezpośredniego zagrożenia, ale zdenerwowała się, słysząc stanowcze rozkazy Ryana.

David i Clarissa już biegali z wiadrami, nawilżając grunt. Lewa ręka Davida, z której kiedyś usunięto część mięśni, by zapobiec gangrenie, była słabsza, mógł jednak unieść wiadro. Chcąc ukryć kalekie ramię, zawsze nosił koszule z długimi rękawami. Julia była zbyt drobna, by przyczepić sobie do pleców dziesięciogalonowy zbiornik z wodą, jak to robili mężczyźni, toteż wzięła do ręki wiadro i pobiegła w stronę rowu.

Dziesiątki mężczyzn wylewało wodę z metalowych zbiorników na ziemię. Pisk pomp przypominał brzęczenie roju owadów. Gdy po raz trzeci wróciła do cysterny, usłyszała tętent kopyt. Travis podjechał do pociągu na zdyszanej kasztanowej klaczy, krzycząc:

- Wszyscy wsiadać! Ogień posuwa się szybko!

Mężczyźni poderwali się. Zdawało się, że każdy wie, co ma robić. Niektórzy biegli w stronę pociągu, inni siodłali konie, by zjechać w dół.

O czterdzieści jardów dalej David zdejmował aparat ze statywu, zonglując jednocześnie dwoma pustymi wiadrami. Wyraźnie potrzebował pomocy. Julia i Clarissa znalazły się przy nim w tej samej chwili. Holt również podbiegł do nich, jednym swobodnym ruchem zarzucił sobie aparat na ramię i objął Julię w pól.

- Tędy!

Naraz wiatr przybrał na sile i rozproszył nisko zalegającą mgłę. Promień słońca przebił się przez dym i Julia poczuła ciepło na twarzy. Jej nastrój natychmiast się poprawił. Udało się! Dokonali tego, czego zamierzali dokonać. Wykopali dwa rowy i nasączili teren między nimi wodą. Prawie wszyscy byli już w pociągu, oprócz dwóch policjantów, którzy wylewali resztki wody na ziemię.

Ryan przeciął jej drogę. Chciała mu powiedzieć: dobra robota, ciężko na to zapracowałeś, ale na widok jego poważnej twarzy zamknęła usta.

- Ruszajcie się! - wykrzyknął do tych dwóch. - Zostawcie to wszystko!

- Już prawie gotowe, komendancie!

Julia popatrzyła na policjantów.

- Ale nie wygląda...

Głośny syk, niepodobny do żadnego dźwięku, jaki słyszała wcześniej, odbił się echem od drzew. Obaj mężczyźni zerwali się i ruszyli w stronę pociągu. Biegając z przyczepionymi do pleców zbiornikami na wodę, uderzeniami ciężkich butów poruszyli ziemię i tym samym zapewnili dostęp powietrza niewidocznej ścieżce ognia pod stopami. W sekundę stanęli w płomieniach.

Ryan poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Nie! - wrzasnął co tchu w płucach, biegnąc w stronę płonących policjantów. Przewrócił jednego z nich na ziemię i zaczął go przetaczać, by zgasić płomienie, a potem wciągnął go do pociągu. To był konstabl Luke Nolan. Już na pierwszy rzut oka widać było, że oparzenia są bardzo poważne. Twarz policjanta była zupełnie nieruchoma.

Ryan szybko poszukał pulsu, ale go nie znalazł. Zapewne serce Luke'a przestało bić w wyniku szoku. Przynajmniej zmarł natychmiast i nie cierpiał od oparzeń.

Podniósł wzrok i zobaczył Holta biegnącego w stronę drugiego poparzonego, młodszego konstabla Franklina Pettigrew. Poryw wiatru rozniecił płomienie, które skoczyły wyżej i zatańczyły wokół nich obydwu, ogarniając również Holta.

Julia zaczęła krzyczeć. David wykazał się przytomnością umysłu i wciągnął ją i Clarissę do bezpiecznego wnętrza wagonu. Nie wiadomo skąd pojawili się dwaj pozostali Reidowie. Mitch pomagał Ryanowi, a Travis skoczył w ogień za Holtem.

- Boże, och, Boże! - krzyczał w chwilę później, wyciągając Holta i Franklina z płomieni. Prawa noga Holta była poparzona, but zwęglony. Franklin miał lewe ramię pokryte pęcherzami, ogień przepalił na wylot jego czerwony mundur, obydwaj jednak oddychali i byli przytomni.

- Jesteście już bezpieczni - powiedział im Ryan. - Zabieramy was do wagonu medycznego.

Wnieśli rannych do pociągu i położyli ich na łózkach. Ryan wyjął z kieszeni gwizdek i trzykrotnie weń zadał. Pociąg drgnął i ruszył. Za nimi płomienie wyskakiwały o pięć metrów ponad korony drzew.

Ryan wsłuchiwał się w stały rytm oddechu dwóch rannych. Bogu dzięki, że żyli! Szybko umył ręce w blaszanej misce, ignorując własne otarcia i zadrapania, i na tacy chirurgicznej odnalazł nożyczki. Travis i Mitch, siedzący na łóżku obok, patrzyli na niego w milczeniu.

- Trzeba im dać wody do picia. Jak najwięcej wody. Musi być przegotowana. Powiedzcie kucharzowi, żeby użył najczystszej garnka, i podajcie mi czyste ręczniki z tej szafki za wami.

Mitch poruszał się szybciej niż Travis, który zanosił się kaszlem. Ryan w tej chwili skupiał się na rannych. Nappełnił dwie strzykawki morfiną i wstrzyknął każdemu z nich sporą dawkę. Nie mogło to zupełnie uśmierzyć bólu, ale chciał przynajmniej trochę ulżyć ich cierpieniom. Przeciął mundur Franklina i ściągnął go delikatnie z poparzonego ciała, a potem uczynił to samo z butem Holta. MacAllister był niemal nieprzytomny z bólu, toteż jęczał mniej niż Franklin.

Najważniejsze w tej chwili było oczyszczenie poparzeń, by uniknąć zakażenia. Ryan usunął z ran patyczki, kawałki suchych liści i grudki ziemi, starając się nie krzywić od zapachu spalonej skóry. Mężczyźni jęczeli przy każdym jego ruchu.

Aby zapobiec pogłębianiu się oparzeń, obłożył je dokoła ręcznikami zanurzonymi w zimnej wodzie. Nie mógł nakryć płótnem samych ran, bo potem nie byłby w stanie go usunąć, nie zdzierając przy tym skóry. Musiał poczekać, aż rany się ustabilizują, a następnie dzień po dniu chirurgicznie usuwać martwe tkanki.

Zmusił rannych, by napili się wody. Nawilżanie było kluczem do zdrowienia.

- Może to się wydawać okrutne - powiedział - ale fakt, że czujecie taki ból, to dobry znak. To znaczy, że nerwy nie zostały zniszczone.

Miał nadzieję, że uda mu się uratować zarówno stopę Holta, jak i ramię Franklina, ale pewność mógł zyskać dopiero za kilka dni. Wiedział, że zabrudzone rany będą się paskudzić, nie wiedział jednak jak bardzo.

Zauważył, że Holt zatrzymał spojrzenie na mężczyźnie leżącym nieruchomo na trzecim łóżku, i kazał Mitchowi nakryć ciało czystym prześcieradłem. W wagonie zapanał głęboki smutek. Ryan próbował opanować drżenie rąk. To nie powinno się zdarzyć. Luke był zbyt młody, by umierać. Nie miał żony, ale miał dużą rodzinę na wschodzie.

Jemu już nie można było pomóc, Ryan skupił się więc na tych, którzy pozostali przy życiu. Mniej więcej po godzinie skończył opatrywanie ran Holta i Franklina i podniósł wzrok na braci. Prawie zapomniał, że są tu i patrzą na niego.

- Ryan... - Travis chwycił go za ramię i podniósł się z łóżka, z trudem łapiąc oddech. - Czy masz... czy masz chwilę, by popatrzeć na mnie?

Ku przerażeniu Ryana, Travis pokazał mu oparzenie na wewnętrznej stronie ramienia, a potem, na drżących nogach, spróbował postąpić krok do przodu - i upadł.

Julia siedziała z Davidem i Clarissą w wagonie kuchennym, przy jednym z trzech przykręconych do podłogi sosnowych stołów. Za ich plecami kucharz i jego pomocnicy uwijali się przy piecach. W ciągu ostatniej godziny Mitch okazał się mężem opatrnościowym. Chodził do wagonu medycznego i z powrotem, wydawał instrukcje kucharzowi i pozostałym policjantom i przynosił Julii informacje.

- Rana nie jest tak głęboka, jak Ryan obawiał się na początku - powiedział jej przed półgodziną. - But ocalił podeszwę stopy Holta przed poparzeniem.

- Jak on się czuje?

- Bardzo cierpi i martwi się sytuacją. - Głos Mitcha brzmiał słabo.

Julia wiedziała, że dla niego również to wszystko jest trudne.

- Proszę, powiedz Holtowi, że pomogę mu przez to przejść. Nie będzie sam.

- Sama mu to wkrótce powiesz.

Po pociągu rozniosła się wiadomość o śmierci konstabla Nolana. Julia pomyślała o Ryaniu. Zrobił, co mógł, by stłumić ogień i wyprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce. Widziała cierpienie na jego twarzy w tej okropnej chwili, gdy uświadomił sobie, że Luke'a nie da się już ocalić, i ten obraz wciąż do niej wracał.

Mitch kazał kucharzowi przygotować śniadanie dla wszystkich, a potem zarządził zbiórkę, by sprawdzić, czy nikogo nie brakuje. To on decydował o tym, gdzie i kiedy pociąg znów się zatrzyma. Pożar wciąż szalał i misja nie była jeszcze skończona.

Zamierzali pochować Luke'a na brzegu rzeki podczas następnego postoju. Mitch wysłał dwóch ludzi na koniach, by zasygnalizowali nadjeżdżającemu pociągowi z dostawami, że ich pojazd znajduje się na torach.

Przy drzwiach wagonu kuchennego rozległo się szuranie i do środka wszedł Ryan. Julia podniosła się na jego widok. Przód koszuli miał przepocony, a twarz pokrytą czarnymi smugami. Wyglądał na zupełnie wyczerpanego.

- Travis też - powiedział

- Travis jest ranny? Jak to się stało?

- Gdy ratował Holta z płomieni, wciągnął w płuca zbyt dużo dymu. Ma niewielką ranę od poparzenia, ale to nic takiego. Gorzej jest z płucami. Potrzebuję pomocy. Niech ktoś pójdzie po Collinsa i Williamsa. Oni mają zręczne ręce, mogą się przydać.

Julia spojrzała na Clarissę. Nie musiała nic mówić, obydwie natychmiast zrozumiały, co należy zrobić. Clarissa skinęła głową, wstała i wraz z Julią poszła do wagonu medycznego.

- Gdzie idziesz? - zawołał za nią David.

- Ryan potrzebuje pomocy. Jesteśmy do dyspozycji - wyjaśniła.

Ryan skinął głową z wdzięcznością i zwrócił się do Davida:

- Ty też mógłbyś mi pomóc.

- Ale jak? - zdziwił się reporter. - Ja nie potrafię znieść takich widoków.

- Potrzebuję twojej pomocy przy czymś innym. Trzeba prowadzić kronikę wydarzeń, a ja nie mam na to czasu. Należy robić notatki w dzienniku dla doktora Callowaya i komisarza. Czy zechciałbyś mnie wyręczyć? W lewej kolumnie oznaczaj godzinę, a po prawej zapisuj, co się wydarzyło.

- Oczywiście, mogę się tym zająć.

Julia przyłożyła dłoń płasko do brzucha i weszła do wagonu medycznego. Ranni leżeli na trzech pierwszych łóżkach. Próbowwała nie patrzeć na biały całun pokrywający ciało w kącie, ale usłyszała głośne westchnienie Clarissy. Od swądu spalonej skóry ze-

brało jej się na mdłości, opanowała się jednak i podeszła do Holta, skupiając wzrok na jego twarzy. Wydawało się, że śpi, po chwili jednak otworzył oczy. Uścisnęła jego dłoń i podniosła pytające spojrzenie na Ryana.

- Dałem mu dużo morfiny - szepnął. - Potrzebuje stałych zastrzyków, więc jeszcze przez wiele dni będzie przez cały czas śpiący.

- Cieszę się, że mogłeś coś dla niego zrobić.

Clarissa stała przy łóżku Franklina, szepcąc coś cicho i poprawiając poduszkę. Travis leżał w kącie i ciężko oddychał przez sen.

- Najbardziej zależy mi na tym - powiedział Ryan, zwracając się do nich obydwu - byście dopilnowały, żeby ci mężczyźni dużo pili. Poparzenia wyczerpują ich siły. Nie będą mieli ochoty pić, ale trzeba ich zmusić. Mogą wytrzymać dłuższy czas bez jedzenia, lecz nie przetrwają długo bez wody. Mówiąc najprościej, jest to kwestia życia i śmierci.

Julia poczuła, że żołądek ściska jej się ze strachu.

- Zrobię to - zapewniła go.

- Jeden kubek wody co godzinę. Zostawię tu zegarek. - Owinął łańcuszek zegarka wokół poręczy przy oknie i zabezpieczył go tak, by zegarek nie kołysał się przy wstrząsach pociągu.

Julia uświadomiła sobie, że najlepszy sposób, by opanować mdłości, to nie patrzeć wprost na rany. Do pełnej godziny brakowało pięciu minut. Napełniła kubek i lekko szturchnęła Holta. Otworzył oczy. Próbowwała pomóc mu usiąść, on jednak znów opadł na poduszkę.

- Musisz to zrobić, z jego pomocą czy bez niej - stwierdził Ryan.

Wsunął dłoń pod plecy Holta, podniósł go nieco i przytknął kubek do jego ust. Holt chyba chciał pić, ale nie był w stanie przełknąć zbyt wiele naraz.

- Po odrobinie - poradził Ryan. - Małe łyeczki i mnóstwo cierpliwości.

Niemal pół godziny minęło, nim Holt wypił cały kubek. Julię rozboleły plecy. Miała wrażenie, że krzyż zaraz jej pęknie.

- Ryan, czy teraz mam odczekać pełną godzinę, zanim dam mu następny kubek?

- Nie, zacznij znowu o równej godzinie.

Za drugim razem poszło nie szybciej niż za pierwszym, ale Julia poczuła się lepiej, widząc, że Holt nie jest tak bliski śmierci, jak się obawiała. Clarissa zajmowała się Franklinem, a Ryan swoim bratem. Na szczęście oparzenia płuc Trávisa nie były zbyt głębokie i miał wystarczająco dużo siły, by pić.

Między jednym a drugim kubkiem wody, gdy pociąg zatrzymał się, udało im się coś zjeść. Ryan udzielił instrukcji konstablom Collinsowi i Williamsowi, gdzie mają umieścić zapas wody w wagonie medycznym, jak się robi zastrzyki z morfiny i na co zwracać uwagę przy oglądaniu ran.

Po trzecim kubku wody Julia usłyszała, jak podjeżdża pociąg z zapasami i zatrzymuje się za nimi. To oznaczało, że czas już wracać. W domu czekał na nią Pete i dziadek. Była przekonana, że Holt i pozostali ranni zostaną przeniesieni do czekającego pociągu i zabrani do miasta, gdzie zajmie się nimi doktor Calloway.

Niestety, Ryan miał inne zdanie na ten temat.

- Nie pozwolę nikogo stąd ruszać, o ile nie znajdą się od razu pod opieką doktora Callowaya. Nie załaduję tych ludzi do wagonu towarowego jak bydła - powiedział i pozostał nieugięty. - Zostawcie ich ze mną. Zawieźcie wiadomość do doktora Callowaya. Niech przyjedzie tu jutrzejszym pociągiem. Albo jeszcze lepiej: do jutra zapewne znowu podjedziemy kawałek dalej, więc będziemy już bardzo blisko miasta. Niech Calloway przyprowadzi wóz do transportu rannych.

A więc Holt zostaje, pomyślała Julia z żalem. Jak mogła go zostawić i uciec w bezpieczne miejsce?

- Komendancie! - zawołał jeden z nowo przybyłych policjantów, konstabl Jackson. Julia poznała go: to jemu Ryan powierzył przed wyjazdem swoje bagaże. - Pańska matka wróciła do domu.

Ryan przełknął ślinę.

- Jak ona się czuje?

- Znacznie lepiej niż wcześniej, gdy ją widziałem.

- Oddałeś jej torbę?

- Tak, proszę pana.

- Czy przekazała mi jakąś wiadomość?

- Nie, proszę pana.

Oczy Ryana zabłysły. Odesłał konstabla i poszukał samotności w wagonie medycznym. Julia żałowała, że nie może nic dla niego zrobić. Spakowała swoją walizkę, po czym obydwie z Clarissą znów zajęły się pojeniem pacjentów.

Przez następne dwie godziny przenoszono przywieziony sprzęt z jednego pociągu do drugiego. Przybyły jeszcze dwa tuziny policjantów. Teraz było ich tu ponad pięćdziesięciu, połowa całego garnizonu.

- Julia? - Obok wagonu medycznego rozległ się znajomy głos. Julia aż podskoczyła z wrażenia. - Nie mogę cię znaleźć!

Podeszła do otwartego okna i zobaczyła dziadka, który siedł przy torach, żując prymkę tytoniu.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się.

- Zwołali wszystkich mężczyzn, którzy mogli pojechać. Ponieważ jestem mężczyzną i mogłem pojechać, to pomyślałem, że dlaczego nie.

- W twoim wieku?

- W moim wieku. Ale nie martw się. Wracam tym samym pociągiem, którym przyjechałem. Chciałem tylko zobaczyć na własne oczy, jak się czujesz, i zabrać cię do domu.

- Czuję się dobrze. Gdzie jest Pete? - zapytała z troską. - Nie przywiozłeś go ze sobą?

- Boże drogi, nie! Za kogo mnie masz? Anna i jej mąż mieli dzisiaj zabrać chłopców na ryby.

Julia uśmiechnęła się. Pete dopiero uczył się wędkować i niezmiernie mu się to podobało. Anna zapewne zorganizowała wyjazd, by oderwać myśli rodziny od pożaru. Jeśli pojechali tam, gdzie zwykle, do domku nad rzeką na wschód od miasta, to wyprawa mogła im zająć cały dzień.

- Czy masz tu co jeść? - zapytał dziadek.

- Jem to samo, co wszyscy.

- To dobrze.

Dziadek poszedł do grupki mężczyzn siodłających konie. Julia powoli odwróciła się od okna i popatrzyła na walizkę stojącą przy drzwiach. Pete był pod dobrą opieką; ranni potrzebowali jej teraz bardziej.

Ryan wszedł do wagonu i sięgnął po jej walizkę.

- Chodź, pomogę ci to zanieść. Twój pociąg zaraz odjeżdża.

Przesunęła drżącymi dłońmi po spódnicy i ponad jego ramieniem spojrzała na Clarisę, która przygryzła usta i skinęła głową. Obydwie wiedziały, co należy zrobić.

- Szybko! - niecierpliwił się Ryan. - Chodź, bo spóźnisz się na pociąg.

- Ryan, obydwie z Clarisą zostajemy tutaj.

TLR

Rozdział trzynasty

Ryan wiedział, że jego upór nie zawsze wychodzi mu na dobre. Poprzedniego dnia niewiele brakowało, a zabroniłby kobietom wsiąść do pociągu; teraz zaś proponowały mu pomoc, której desperacko potrzebował.

- To dobrze, że chcecie zostać. Przyda mi się wasza pomoc. Dziękuję wam obydwu.

Wymruczały coś w odpowiedzi i wróciły do pracy. Nie było czasu na pogawędki. Julia powiedziała dziadkowi o zmianie planów i poprosiła, by zabrał ze sobą do miasta jej raport o walce z żywiołem.

Najtrudniejsze zadanie czekało Ryana po południu. Na samą myśl o tym ścisnęło go w gardle. Wziął łopatę i poszedł nad rzekę.

- Komendancie, ja się tym zajmę - zaproponował jeden z jego ludzi.

- Dziękuję, ale wolę zrobić to sam.

- To przynajmniej pomogę.

Wykopali grób na zachodnim brzegu rzeki, w miejscu z zapierającym dech widokiem na ostre górskie szczyty. Niemal setka ludzi przysłała na ceremonię. Pomimo palącego słońca, wszyscy zdjęli kapelusze. Rolę księdza pełnił Dewey Binch, który przez rok studiował teologię, nim znalazł sobie żonę i osiadł w miasteczku jako farmer. Ryan dodał kilka słów do przemowy Deweya, po czym zgromadzeni razem odmówili „Ojcze nasz”.

W pół godziny później wszyscy wrócili do kopania rowów. Miała to być trzecia próba powstrzymania ognia i Ryan modlił się, by okazała się ostatnią.

Po obu stronach rzeki Bow rozciągały się lasy, tworzące doskonałą drogę dla szalejącego żywiołu. Na wschodzie górzysty teren przechodził w niższe pagórki i wyżynne pastwiska. Obydwa brzegi gęsto usiane były ranczami, na których hodowano konie i bydło. Teraz jednak w zasięgu wzroku nie było żadnych stad. Ryan wiedział, że ranczerzy zabrali zwierzęta do zagród leżących poza zasięgiem ognia, położonych dalej na północy.

Nie był pewien, w którą stronę podąży ogień, jeśli po raz trzeci przeskoczy przez rowy. Trudno było odgadnąć, czy przygaśnie, czy pomknie przez lasy wzdłuż rzeki prosto do Calgary, czy też przemieści się na pokryte trawą stepy. Zwrócił twarz ku niebu i

popatrzył na chmury, pierwsze od dwóch tygodni. Niektóre były dość duże i mógł z nich spaść niewielki deszcz, nie zanosiło się jednak na ulewę, która byłaby w stanie ugasić pożar. Niestety, wiatr znów się wzmógł i można było tylko mieć nadzieję, że zmieni kierunek.

Pod wieczór chmury stały się cięższe i zbiły się w większą grupę.

- Myślisz, że może padać? - pytali się ludzie nawzajem, szukając pocieszenia.

- Do diabła! Mogłoby...

Drugi rów zaczęli kopać w atmosferze nadziei i podniecenia.

O zmroku Ryan znów podał pacjentom morfinę, obejrzał ich rany i zmienił pozycje kończyn, by usprawnić krążenie krwi. Collins i Williams mieli przejąć nad nimi opiekę do świtu, by Ryan, Julia i Clarissa mogli odpocząć. Ryan nie chciał podawać morfiny Travisowi, ponieważ ten środek spłyciłby jego oddech, a tym samym opóźnił powrót do zdrowia. Na szczęście oparzenie nie było głębokie i goiło się szybko.

W obecności Ryana Julia zachowywała milczenie, on zaś nie wiedział, co powiedzieć, toteż wymieniali tylko „proszę” i „dziękuję”. Troszczyła się przede wszystkim o Holta, co wydawało się naturalne. Ryan jednak tęsknił do jej uśmiechu i dotyku ciepłej dłoni.

W końcu nadszedł czas udania się na spoczynek. Ryan powiedział kobietom dobranoc i poszedł do swojego namiotu. Zaprosił do siebie Davida, by porozmawiać o prowadzeniu dziennika. Namiot był tak wysoki, że można w nim było swobodnie stanąć, i na tyle duży, że zmieściły się tam dwa składane krzesła i stolik. Ryan rzucił śpiwór i torbę z rzeczami do kąta.

- Dobrze - powiedział po przeczytaniu notatek Davida. - Dopisz na listę tych ludzi, którzy przyjechali dzisiaj. Zaznacz też, gdzie pochowaliśmy Luke'a Nolana.

Przez następne pół godziny przeglądali zapiski. Ryan oznaczał wszystkie strony swoimi inicjałami. Na koniec David wyjął z teczki arkusz zadrukowanego papieru.

- Zastanawiałem się, czy powinienem to panu dać, ale widziałem, że miał pan za złe Julii ten artykuł, który pojawił się w gazecie. Uznałem więc, że powinien pan na to rzucić okiem.

Ryan wziął do ręki arkusz, który wyglądał jak zbyt blado odbita strona gazety.

- Co to takiego?

- Artykuł o panu w takiej postaci, w jakiej miał się ukazać pierwotnie. Julia to napisała, ale później doszła do wniosku, że jest zbyt ostry. Namawiałem ją, żeby niczego nie zmieniała, ale uparła się, że to nie byłoby w porządku wobec pana.

- Dlaczego chcesz mi to teraz dać?

- Nie wiem, co się wydarzyło kiedyś, gdy mieszkał pan w Albercie, i nie wiem, co pan jej zrobił, ale myślę, że należą się jej przeprosiny.

- Przeprosiny? Nie masz pojęcia, jak próbowałem...

- Proszę spróbować jeszcze raz. - David jakby nagle uświadomił sobie, z kim rozmawia, i dodał: - Proszę pana. Myślę, że ona chce usłyszeć przeprosiny za coś, proszę pana. Nie jest sobą.

Ryan zmiął papier w rękę.

- Ma mnóstwo przyjaciół, którzy się o nią troszczą.

- To prawda. - David skinął głową, wychodząc. - To prawda.

Ryan rozprostował arkusz, usiadł na krześle, przysunął sobie lampę i zaczął czytać.

Obudził ją huk pioruna. Spała w ubraniu na łóżku Ryana w wagonie sztabowym. Nie zdążyła się rozebrać, przymknęła oczy tylko na chwilę i zasnęła na pościeli.

Zdezorientowana, usłyszała następny huk i zobaczyła za czarnym oknem jaskrawą błyskawicę. Z okrzykiem radości podbiegła do okna. Stała tam już Clarissa w bawełnianej nocnej koszuli.

- Popatrz tylko! - Westchnęła z zachwytem.

Krople deszczu uderzyły o dach wagonu i spłynęły po szybach. Okno było nieco uchylone. Julia wysunęła rękę, żeby poczuć krople. Ze śmiechem podniosła dłoń do ust i zlizwała je.

- Są słodkie jak miód.

- Czy myślisz, że ten deszcz powstrzyma ogień? - zapytała Clarissa, również wyciągając rękę.

- Można mieć taką nadzieję. Na razie deszcz nie jest duży, ale może nasili się.

- Jak pięknie dudni - szepnęła Clarissa. - Posłuchaj tylko.

Deszcz uderzał w liście dokoła nich. Woda szumiała na ziemi. Stuk kropel o metalowy dach wagonu brzmiał tak, jakby spadały nań miliony soplek. Poza tym wszędzie, w lasach i na preriach, panowała zupełna cisza, jakby wszystkie żywe istoty z zachwytem wpatrzyły się w burzę.

Po kolejnym uderzeniu pioruna obydwie wybuchnęły śmiechem. Błyskawica rzuciła blask na ciemne włosy spływające po plecach Clarissy.

- Nie wiedziałam, czy mam cię budzić, żebyś się rozebrała - powiedziała Clarissa. - Spałaś tak mocno.

Julia uśmiechnęła się, zdjęła stary skórzany płaszcz z haczyka na ścianie i ruszyła do drzwi.

- Wszystko w porządku. Rozbiorę się, gdy wrócę.

- Dokąd się wybierasz?

- Muszę poczuć ten deszcz na skórze.

Brązowy płaszcz, miękki i znoszony, zapewne należał do Ryana, bo pachniał nim. Objął się jej o łydki. Gromada mężczyzn, którzy kopali drugą linię rowów, zebrała się pod dachem pociągu. Jeden z nich powiedział Julii, że rów jest już gotowy, ale Ryan kazał im zaczekać i sprawdzić, czy deszcz wystarczająco nawilży ziemię; A więc minęła się z nim.

- Która godzina? - zapytała.

- Pierwsza. Idziemy teraz spać, a pani powinna zrobić to samo.

- Zaraz pójdę, dziękuję. - Ruszyła w stronę odludnego brzegu rzeki, w miejsce ukryte między kilkoma topolami, skąd mogła spokojnie popatrzeć na deszcz. Idąc ścieżką, zauważyła, że ktoś już tam stoi. Rozpoznała zarys szerokiego ronda kapelusza i kształt ramion. Ryan.

Nie sądziła, że go tu spotka, a już z pewnością nie samego, toteż obróciła się, by poszukać innego miejsca.

- Halo! - zawołał za nią Ryan. - Czy coś się stało? Jestem potrzebny w wagonie medycznym? Czy ranni...?

- Nic się nie stało. - Łagodny deszcz padał na jej twarz. - Przyszłam posłuchać uderzeń kropli o rzekę.

- Przemokniesz. Powinnaś wrócić i przespać się, dopóki możesz.

- Ty też powinieneś to zrobić.

Ryan wskazał na kępę drzew po lewej stronie.

- Mój namiot jest blisko. Jeśli zechcę, mogę tam uciec w każdej chwili.

Spojrzała na szare płótno. Ze środka przebijało żółte światło lampy.

- Chyba powinieneś spać dzisiaj w pociągu, razem ze wszystkimi? Namiot może się zawalić.

- Jest bezpieczny. Dużo już wytrzymał.

- Więc dlaczego nie jesteś w środku?

Ryan roześmiał się. Zdawało się, że tak bardzo wyczekiwany deszcz wyzwolił w nich obojgu beztroskę.

- Może ja również chciałem poczuć matkę naturę.

Za jego plecami piorun uderzył w rzekę. Robiło się niebezpiecznie. Julia wiedziała, że nie powinni zostawać tu długo. Kolejny grzmot i uderzenie pioruna sprawiły, że aż podskoczyła, przestraszona. Podeszła do niego.

- Nie powinniśmy pozostawać na zewnątrz - szepnęła między kolejnymi grzmotami.

- Ale tu jest pięknie, prawda?

Westchnęła, wsłuchując się w szum strumienia pod stopami. Deszcz był tak drobny, że prawie nie widziała kropel. Odwróciła się, próbując dostrzec coś między drzewami, ale zobaczyła przed sobą tylko ścianę ciemności.

- Zdaje się, że wszyscy już stąd poszli.

- Schronili się w pociągu. Tam dalej jest jeszcze tylko kilka namiotów. Kucharz i jego pomocnicy rozbili się w pobliżu rzeki, żeby nałapać ryb na jutrzejsze śniadanie.

- Czy sądzisz, że jest dla nas jakaś nadzieja? - Julia westchnęła, wpatrując się w strumień.

Ramiona Ryana drgnęły.

- Co masz na myśli?

- Czy jest jakaś nadzieja, że deszcz stłumi pożar?

Nastąpiła długa chwila milczenia. W końcu Ryan powiedział:

- Zawsze jest nadzieja.
- Ale ten deszcz nie jest zbyt silny.
- Nad ogniem może padać mocniej.

Nie przyszło jej to wcześniej do głowy. Jego słowa poprawiły jej nastrój. Spojrzała w tamtą stronę, ale pożar był jeszcze zbyt daleko. Nie widziała światła ani iskier, wyczuwała tylko ciężki zapach dymu, który wisiał w powietrzu pomimo deszczu.

Ziemia zadrżała od uderzenia kolejnego pioruna. Julia pisnęła ze strachu, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Po raz pierwszy słyszę, jak się śmiejesz.
- Słyszałeś już wcześniej.
- Nie, odkąd wróciłem do domu.

- Czasem, gdy masz wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie, trudno jest dostrzec zabawne strony życia.

- Kiedyś dużo się śmiałaś. To pamiętałem przede wszystkim, gdy mnie tu nie było.
- Myślałaś wtedy o mnie?
- Często.

Zupełnie nie była przygotowana na to wyznanie.

- Wolalabym zostawić przeszłość w spokoju i nie oglądać się za siebie.

- Ale właśnie w tym rzecz. Nie potrafimy zostawić przeszłości w spokoju, prawda, Julio? Za każdym razem, gdy na siebie patrzymy, przypominamy sobie tamtą noc.

- Ryan, proszę, nie!

- Pamiętasz tę noc w barze, Julio? Pamiętasz, jak leżałaś na moim płaszczu i pozwalając mi dotykać...

- Zdaje się, że ta noc nigdy nie była ważna dla... dla żadnego z nas.
- Dla mnie była ważna.

Julia omal nie wybuchnęła płaczem.

- Jak mam w to uwierzyć, skoro następnego dnia wyjechałeś, nie oglądając się za siebie?

- Mogę ci udowodnić, jak wiele ta noc dla mnie znaczyła.
- Jak mógłbyś to zrobić?

- Masz na sobie ten płaszcz - odrzekł cicho.

Dłonie Julii powędrowały do ramion.

- Jaki płaszcz?

- Ten, na którym się kochaliśmy.

Opuściła wzrok, ale w ciemnościach prawie nic nie mogła dostrzec. Skórzany płaszcz był pognieciony i zniszczony, a flanelowa podszewka wytarta prawie do cna.

- Zatrzymałeś go? Przez te wszystkie lata?

- Tak, zabrałem go ze sobą do Afryki.

- Dlaczego?

- Żeby mi przypominał... że powinienem stać się kimś lepszym, niż byłem.

Julia nie była w stanie nic wykrztusić przez zaciśnięte gardło. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Tak mi przykro z powodu tego wszystkiego, przez co przeszedłeś, kiedy wyjechałem.

- Dziękuję, że mi to mówisz.

Przepelniona emocjami, które trzymała pod kontrolą przez wiele lat, odwróciła się, by odejść. Błyskawica rozświetliła niebo. Ryan wyciągnął rękę i mocno chwycił ją za przegub.

- Odprowadzę cię.

Poruszona jego obecnością, jego dotykiem, nie miała dość siły woli, by odsunąć jego rękę. Pozwoliła, by jego ramię wśliznęło się za jej plecy.

- Chodź - szepnął Ryan u zbiegu ścieżek i zamiast w stronę pociągu, powiodł ją do swojego namiotu.

Rozdział czternasty

Niepewnie weszła w krąg przytłumionego światła lampy. Z jej włosów skapywała woda. Zdjęła mokry płaszcz i położyła go na krześle przy wejściu. Ryan wskazał jej drugie krzesło.

- Ty też jesteś przemoczony - zauważyła. - Powinieneś zdjąć tę koszulę, zanim się przeziębisz.

- Później.

- W tym obozie brakuje jeszcze tylko chorego lekarza - zakpiła.

- Kobiety! - Ryan westchnął z desperacją. - Odwróć się, to poszukam czystej koszuli.

Odwróciła się bez słowa. Przyklękła i zaczął grzebać w czystych ubraniach w torbie. Wyjął niebieską bawełnianą koszulę i przebrał się. Nie trwało to nawet dwóch minut. Dźwięk rozpinanych i zapinanych guzików mieszał się z szumem deszczu.

- Możesz już patrzeć.

Odwróciła się i zatrzymała wzrok na jego piersi. Zauważył, że puls na jej szyi przyspieszył. Ich cienie na ścianie namiotu splatały się ze sobą.

- Nasze cienie padają na ścianę - zauważył.

Zmarszczyła brwi.

- Każdy, kto przechodzi, może zobaczyć, że jesteś tu ze mną.

- Ach, rozumiem. - Podniosła się. - W takim razie nie zostanę tutaj.

Ryan podszedł do stołu i zgasił lampę. Julia westchnęła cicho i podeszła do wyjścia. Szybko przypomniał sobie nagłówek jej artykułu i powiedział go na głos:

- „Powrót czarnej owcy w dziesięć lat po zabiciu włóczęgi”.

- To... To brzmi okropnie - wyjąkała.

Ryan mówił dalej z pamięci:

- „Człowiek, którym pogardza cała społeczność i którego wyrzekła się własna rodzina, znów pojawił się w Calgary, tym razem jako oficer policji i lekarz”.

Julia podskoczyła jak rażona piorunem.

- Skąd wzięłeś ten artykuł?

- David bardzo się o ciebie troszczy.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jutro rano obedrę go ze skóry!

- Nie sądzisz, że winna mi jesteś jakieś wyjaśnienie? „Znienawidzony mężczyzna, któremu niektórzy wciąż nie potrafią przebaczyć...”.

Zauważył, że nagle zeszywniała.

- To ostre słowa - przyznała.

- Ale prawdziwe. Dlaczego tego nie wydrukowałaś?

- Sama już nie wiem - odrzekła załamującym się głosem.

- Kiedy zdecydowałaś się zmienić ten artykuł?

Jej ciemna sylwetka poruszyła się niepewnie.

- Tamtego wieczoru, gdy twoja rodzina wróciła do miasta i usłyszałam twoją rozmowę z ojcem.

- I dlaczego wycofałaś te słowa?

- Bo przekonałam się wtedy, że ty również wiele wycierpiełeś.

Podeszła do wyjścia, przesuwając się tuż obok niego. Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.

- Dziękuję ci, że zmieniłaś ten artykuł. Gdybyś mnie tak opisała, to nikt z całego miasta nie przyszedłby do mnie po poradę lekarską.

- I tak do ciebie nie przychodzą - zauważyła ze współczuciem. - Chyba że nie mają innego wyjścia. Ale zobaczyłam cię od strony, od jakiej dotychczas cię nie znałam.

Te słowa były jak balsam na dziesięcioletnie rany. Stała tuż przy wyjściu, gotowa w każdej chwili zniknąć, musiał jej jednak powiedzieć coś jeszcze.

- Zdarzają się na tym świecie niezwykli ludzie, Julio. Zaszczycem jest ich znać. Ty należysz do takich osób.

Nie poruszyła się. Cisza była przytłaczająca.

- Powinnam zajrzeć do Holta.

Ryan przymknął oczy. Zawsze ktoś stał pomiędzy nimi: Brandon, Holt.

- Powinnaś. A ja powinienem zajrzeć do tego drugiego konstabla, Gordona DeWitta.

- Co mu się stało? Czy też jest ranny?

- Podobno od dwóch lat był najbliższym przyjacielem Luke'a Nolana. Ciężko przeżywa jego śmierć. Ale Gordon jest cichym człowiekiem i nie skarży się.

- Nie zauważyłam tego, ale nie dziwi mnie, że ty zauważyłeś.

Spróbował jej to wyjaśnić. Pewnych rzeczy ludzie, którzy nigdy nie byli na wojnie, nie potrafili zrozumieć.

- Czasami w bitwie najbardziej cierpią nie ci, którzy są fizycznie ranni, tylko ci, którzy muszą patrzeć na rany innych. I czasami ci, którzy upierają się, że nie potrzebują pomocy - potrzebują jej najbardziej.

- Ryan! - szepnęła. Ciepło jej oddechu przeniknęło przez jego koszulę i ogrzało mu plecy. - Ryan, mówisz o sobie.

- Naprawdę?

Potrafiła znaleźć drogę do jego serca. Może rozumiała więcej niż on sam. Stojąc za nim, objęła go i zatrzymała dłonie na jego brzuchu, a potem przesunęła je w górę, w stronę piersi i oparła twarz na jego plecach. Był tak zaskoczony, że nie poruszył się. Sądził, że Julia obdarzy go szybkim uściskiem, a potem odejdzie, ale jej dotyk rozpałał jego skórę i całe ciało. Gładziła go, jakby był czymś ogromnie cennym. Zesztywniał. Nie był w stanie oddychać, obawiając się, by nie zniknęła jak pod wpływem czarów.

- Czy ja śnię?

- Jeśli ty śniesz, to ja również. Śnię ten sen bardzo często i od bardzo dawna, ale za każdym razem odczuwam ból, gdy budzę się bez ciebie.

Głęboko poruszony tym wyznaniem, wciąż stał nieruchomo.

- Przytul mnie, Ryan.

- Nie mogę! Nie chcę cię wykorzystywać, Julio. Już nigdy więcej!

- Przytul mnie, proszę!

- Gdybym był młodszy, to w tej chwili obróciłbym się bez wahania i zrobiłbym z tobą wszystko, co tylko potrafię sobie wyobrazić. Ale nauczyłem się już, że to bardzo egoistyczne.

Opuściła ręce i przycisnęła czoło do jego pleców, a potem bez słowa odsunęła się od niego. Ale w tej samej chwili Ryan odwrócił się i porwał ją w ramiona.

Błyskawica oświetliła zarys jej policzków i ust. Pocałował ją. Był to ciepły, miękki pocałunek dwojga ludzi, którzy byli kochankami w poprzednim życiu i którzy teraz, w zupełnie innych warunkach, pozostających poza ich kontrolą, znów pragnęli się połączyć.

- Tęskniłem za tobą - szepnął prosto w jej skroń, wplatając palce w wilgotną masę kasztanowych włosów.

- Dobrze to słyszeć.

- Powinienem był powiedzieć ci to wcześniej.

- Nie byłam gotowa, by słuchać.

- A teraz? - Znów objął jej twarz i przypatrzył jej się uważnie.

Nad ich głowami rozległ się grzmot, ale żadne z nich nie drgnęło.

- Nie jestem pewna.

- W takim razie może lepiej nic nie mówmy. Niech nasze działania mówią same za siebie.

- To bardzo kusząca propozycja, ale myślę...

- Ćśśś... Chcę cię poczuć. - Znów ją pocałował, najpierw w usta, potem w szyję, a potem w miękkie zagłębienie obojczyka. Nie walczyła z nim. Nie uderzyła go w twarz ani nie próbowała go odepchnąć, tylko wtopiła się w niego bez zahamowań i zaczęła odpinać guziki jego koszuli. Poczuł, że jest stracony. To milczące zaproszenie było dobitniejsze niż jakiekolwiek słowa, które mogłaby wypowiedzieć. Pragnęła go tak samo jak on jej i nic na świecie nie mogło ich już powstrzymać.

Oderwał się od niej na chwilę, ale nie puścił jej ręki. Sięgnął po swój płaszcz na krześle i rozpostarł go w kącie namiotu.

- Po co?... - zdziwiła się, ale urwała, gdy zobaczyła, że Ryan rozkłada na płaszczu pled podbity lisim futrem.

Wziął ją na ręce i położył na tym prowizorycznym pościeliu.

- Och!... - Westchnęła. - Chyba nigdy w życiu nie czułam takiego luksusu.

Wybuchnął głośnym śmiechem. Rozciągnął się obok niej, oparł głowę na łokciu i pochylił się nad jej twarzą.

- Czy wiesz, jak często ta wizja do mnie wracała, gdy byłem daleko stąd?

- Gdy mówisz takie rzeczy, chce mi się płakać z żalu za tym wszystkim, co straciliśmy - odrzekła drżącym głosem.

- Przykro mi. Nie chcę cię zasmucać. Już nigdy więcej, przyrzekam.

- Gdy ty wyjechałeś, a ja wyszłam za męża, próbowałam zapomnieć o nas... o tym... ale... Dlaczego nie wróciłeś do mnie, tak jak obiecałeś?

- Bo wstydziłem się tego, kim byłem. Pochwyciła jego palce i podniosła do ust.

- Zawsze sądziłam, że jesteś stworzony do wielkich rzeczy.

- Julio. - Nie potrafił powiedzieć nic więcej tej niezwyklej kobiecie, która leżała przy nim. Czuł bicie jej serca przy swoim. Kiedyś już składał jej obietnice, których potem nie dotrzymał. Wiedział, że wszelkie przyrzeczenia byłyby teraz puste i słabe. Same słowa nie mogły wystarczyć.

Musiał dać jej więcej.

Leżała na puchowym morzu, na przemian budząc się i zasypiając. Gdy otworzyła oczy, na jej ustach pojawił się uśmiech. Była z Ryanem.

Leżał obok niej, zupełnie nagi. Obróciła się w jego stronę. Miękkie futro otarło się o jej udo. Czuła się jak w niebie. Ryan poruszył się we śnie i otoczył ją ramieniem. Jego duża dłoń oparła się na jej biodrze.

Deszcz przestał już padać i zbliżał się świt. Namiot wypełniała bladopomarańczowa poświata. Julia uznała, że ma jeszcze jakąś godzinę, zanim będzie musiała wyjść.

Było już na tyle jasno, że mogła mu się przyjrzeć. Podobało jej się jego czoło, chociaż nie wiedziała dlaczego. Nawet we śnie było lekko zmarszczone. Czarne włosy miał potargane od snu. Okaleczone ucho z bliska nie wyglądało tak źle, blizna była czysta i równa.

Spojrzała na jego szeroką pierś i zadrżała na widok pokrywających ją licznych szram. Kto mu to zrobił? Ciekawa była, czy to właśnie te blizny - pamiątki z walk - skłoniły go do zupełnej zmiany życia. Ale cokolwiek wpłynęło na jego decyzję, cieszyła się, że wrócił.

- Na co patrzysz? - Oczy miał wciąż zamknięte, ale dłoń na jej pośladkach poruszyła się.

- Podziwiam przystojnego mężczyznę.

Ta odpowiedź wywołała uśmiech na jego twarzy.

- Kto ci obciął ucho?

- Napadnięto mnie w Indiach i popełniłem błąd, próbując walczyć.

- Wielki Ryan Reid przegrał w walce?

- Zależy, jak na to spojrzeć - rzekł, nie otwierając oczu. - Udało mi się powalić trzech napastników, ale czwarty i piąty uciekli, razem z moim pamiątkowym złotym zegarkiem.

Julia westchnęła.

- A skąd masz tę wielką bliznę na piersi?

- Po przyjeździe do Anglii przez jakiś czas zarabiałem na życie, walcząc. Najwięcej płacili za walkę na noże.

- Och, Ryan!

Teraz dopiero otworzył oczy.

- Nie musisz się nade mną użalać. Był taki czas, gdy nie zależało mi na niczym. Było mi wszystko jedno, czy przeżyję, czy zginę.

- Na co byłeś taki zły?

- Z nikim nie potrafiłem się dogadać. Mój ojciec uważał, że nie ma ze mnie żadnego pożytku. Nie potrafiłem dawać sobie rady z bydłem tak sprawnie, jak on by sobie życzył. Kłóciliśmy się o wszystko: gdzie postawić płot, za ile sprzedać byka, dlaczego wróciłem do domu tak późno i dlaczego lubię walczyć.

- A dlaczego lubiłeś walczyć?

- Bo to była jedyna rzecz, w której byłem dobry.

Pogładziła go po dłoni i w końcu zadała mu pytanie, nad którym zastanawiała się od dziesięciu lat.

- Co się stało tamtej nocy, gdy wyjechałeś?

- Kiedy odprowadziłem cię do domu, po tych dwóch cudownych godzinach, które spędziliśmy razem, byłem w tak dobrym nastroju, że nie mogłbym zasnąć. Więc szedłem dalej. Dotarłem do alejki, a tam ktoś sprowokował mnie do walki. Nie chciałem, chociaż zebrała się grupka, która zaczęła robić zakłady. Odszedłem. A tamten włóczęga zaszedł mnie z nożem.

- Samuel Johnstone - przypomniała sobie.

Ryan ze smutkiem skinął głową.

- Samoobrona. Chciałem go tylko drasnąć, ale nadział mi się na ostrze i zmarł. - Przełknął ślinę. - Niewiele można było dla niego zrobić. Poszedłem do domu i poprosiłem ojca o pomoc, a on mnie zwymyślał i uderzył, więc mu oddałem. Obudziłem matkę, a ona zaczęła płakać i krzyczeć, że mam się wynosić. Teraz, kiedy o tym myślę, to sędzę, że nie chodziło jej o to, żebym się wynosił na zawsze, ale wtedy tak to rozumiałem. I dlatego nigdy do nich nie napisałem. Byłem złym synem i bezwartościowym człowiekiem. Tak mi wstyd, Julio. Nie pomyślałem wówczas o tym, jak ty się będziesz czuła.

Zamrugła powiekami, żeby odpędzić łzy. Chciała usłyszeć całą historię do końca.

- Niczego ze sobą nie zabrałem. Tylko to, co miałem na sobie, i parę dolarów w kieszeni. Gdy wróciłem na to miejsce, był tam już policjant. Stwierdził, że to było w samoobronie, ale ja odwróciłem się na wschód i zacząłem iść.

Julia z niedowierzaniem oparła się o jego pierś.

- Poszedłeś pieszo?

- Szedłem przez kilka dni i nocy. Potem zachorowałem na szkarlatynę. Spotkałem jakiegoś starego człowieka i oddałem mu ostatnie dwa dolary, żeby się mną zajął. Później wynająłem się u jakichś ranczerów. Zarobiłem trochę pieniędzy i kupiłem bilet do Anglii. Resztę już znasz.

- Nie wiedziałam, że przez to wszystko przeszedłeś. To okropne.

Na zewnątrz zaczęły już świergotać ptaki.

- To, przez co ty przeszłaś, było trudniejsze. Nie miałaś pojęcia, co się ze mną dzieje. Zostałaś sama. Tak mi przykro.

- A teraz? - szepnęła. - Co teraz myślisz o życiu i śmierci?

- Życiem trzeba się cieszyć z chwili na chwilę. Teraz mam nadzieję. Może żyję na tym świecie po to, by pomóc ją ujrzeć innym. Może musiałem doświadczyć tego wszystkiego, żebym sam to dostrzegł.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Wyciągnął rękę i objął jej pierś.

- Komendancie! - rozległ się jakiś głos tuż obok namiotu.

Serce Julii przestało bić. Ryan szybko przykrył jej nagie ciało. Obawiała się porużyć, by nikt nie zauważył jej obecności.

- Tak, Jackson?

- Sir, chyba musi pan tu przyjść i popatrzeć. - W tonie konstabla słychać było lęk.

- A na co?

- Ta burza, ta wczorajsza burza... Zdaje się, że ogień rozszerza się jeszcze szybciej.

TLR

Rozdział piętnasty

Ryan drgnął.

- Zaraz tam przyjdę! - zawołał.

- Poczekam tutaj i spakuję pańskie rzeczy.

- Nie. - Ryan uspokajająco uściśnął ramię Julii. - Wracaj do wszystkich. Dołączę do was za trzy minuty.

- Tak, sir.

Gdy kroki Jacksona ucichły, Ryan przesunął dłonią po chłodnym ciele Julii. W powietrzu czuć było wilgoć.

- Musimy uciekać. Skoro zaproponował, że spakuje moje rzeczy, to znaczy, że nie wie, że tu jesteś. - Zerwał się na nogi, szukając ubrania. - Nie chciałem, żeby ta noc skończyła się w ten sposób - dodał, wkładając buty. - Mam ci jeszcze wiele do powiedzenia.

Julia ściągnęła tasiemki gorsetu.

- Najpierw musisz się zająć obowiązkami. Idź, a ja zajrzę do...

Do Holta, dokończył Ryan w myślach. Zdawało się, że Julia nie jest w stanie głośno wymówić jego imienia. On też nie potrafił. Miał wrażenie, że przestrzeń namiotu należy tylko do nich dwojga i nikt inny nie ma tu wstępu.

Ubrał się w niecałą minutę, ona jednak wciąż walczyła ze spódnicą i pończochami. Patrzył na nią z przyjemnością. Wsunął luźny kosmyk włosów za jej ucho i lekko musnął ustami jej wargi.

- Jeszcze nie skończyliśmy. To dopiero początek.

Skinęła głową z uśmiechem, ale niepokoiło go jej milczenie. Miał ochotę złożyć jej jakąś obietnicę, chociaż w świetle pustych obietnic, jakie składał jej wcześniej, słowa nic by dla niej nie znaczyły. Wyjrzał z namiotu. Dokoła było pusto.

- Nikogo nie ma. Zaczekaj chwilę i wyjdź.

- Dobrze - odrzekła ze środka. - Nie martw się o mnie. Bądź ostrożny.

Poszedł w stronę lokomotywy, obliczając, że udało im się przespać jakieś trzy godziny. Nie było to wiele, lecz po nocy spędzonej z Julią czuł przyływ energii. Gdy do-

tarł na szczyt wzgórza, wzeszło słońce. Jasne promienie natychmiast rozproszyły mgłę przy ziemi i niebo przybrało intensywnie niebieski kolor. Odkręcił kran przy cysternie, nappełnił wodą złożone dłonie i przetaił twarz. Woda była tak zimna, że kłuła w policzki, ale właśnie tego potrzebował. Przy pierwszej okazji zamierzał umyć się dokładniej w wagonie medycznym.

- Czy oba rowy są gotowe? - zapytał Mitcha, który stał na polanie pośród tuzina mężczyzn. Krzewy po obu stronach polany były już usunięte.

- Wszystko gotowe.

- To dobrze. Deszcz chyba wystarczająco nasączył ziemię, więc nie musimy już wylewać wody.

- Zgadza się. - Mitch wskazał głową w stronę pożaru. - Zwiadowca właśnie wrócił. Niestety, ogień przeskoczył już drugą zaporę.

Ryan zaklął i przesunął ręką po włosach.

- Musimy się cofnąć jeszcze bardziej - postanowił. - Zatrzymamy się na przedmieściach po zachodniej stronie Calgary, tam gdzie do rzeki Bow wpada strumień, przy domu starego Coopera, o ile wciąż tam mieszka.

- Owszem, mieszka. Ten dopływ nazywa się teraz Cooper's Creek, a cały teren należy już do Calgary. O ćwierć mili dalej znajdują się stajnie. Co chcesz zrobić?

Ryan miał plan. Śmiały, ale ryzykowny. Gdyby teraz zdradził wszystkie szczegóły, spotkałby się z oporem, a nie był jeszcze gotów na dyskusję.

- Dziś rano ma przyjechać pociąg z dynamitem, tak?

- Tak. Jeśli ruszymy zaraz, to pewnie spotkamy ich niedaleko od miasta.

- Trzeba ewakuować większą część Calgary.

- Niech to diabli - zaklął Mitch. - Czy to konieczne?

- Tylko jako środek ostrożności. Chcę wysadzić dynamitem część terenu przy Cooper's Creek.

Mitch zmarszczył brwi.

- Sądysz, że to stłumi ogień?

- Są szanse, że tak. - To była tylko część planu Ryana, ale gdyby wyjawiał cały, to zamiast działać, musiałby się kłócić z Mitchem.

Jego brat zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Wiesz, że pomysł z dynamitem nie wzbudza we mnie entuzjazmu, ale rowy zawiodły i ogień zmierza wprost w kierunku miasta, więc musimy spróbować czegoś bardziej drastycznego. Wydam rozkazy.

Ryan pochwycił brata za ramię.

- Mitch, chciałbym ci podziękować za to, że wspierasz mnie we wszystkim.

- Nie we wszystkim. - Mitch zacisnął zęby i odwrócił wzrok. - Tylko jeśli chodzi o ogień.

Ryan westchnął i poszedł do wagonu medycznego.

Pacjenci trzymali się nieźle. W chwilę później pojawiły się Julia i Clarissa. Julia przesunęła się obok niego obojętnie, jakby nic między nimi nie zaszło, ale gdy na moment napotkał jej oczy, zobaczył w nich blask.

Następna godzina minęła szybko. Pociąg toczył się w stronę Calgary. Ryan obliczał dawki morfiny, poruszał poparzonym ramieniem Franklina i kostką Holta, żeby stawy się nie zastały, a potem pozwolił Travisowi usiąść i opuścić nogi na podłogę, by przyzwyczać go do pionowej pozycji. Gdy bratu zabrakło tchu, Ryan kazał mu znów się położyć.

- Wiem, że chciałbyś już wstać, ale musisz jeszcze odpocząć.

Przy każdej sposobności wypowiadał do Julii kilka słów zachęty, starając się stłumić emocje, które go ogarniały, gdy widział ją przy Hoirie. Szczera twarz chłopaka wzbudzała w nim poczucie winy. Sierżant nie mógł znać ich tajemnicy, ale Ryan miał wyrzuty sumienia, gdy widział jego stan i myślał o perspektywach powrotu do zdrowia.

Lecz z drugiej strony, czy wszyscy troje nie zasługiwali na szczerą? Gdyby to zależało od niego, wykrzyczałby prawdę o swoim związku z Julią całemu światu, ale z szacunku dla niej milczał. Chciał, by to ona zdecydowała, gdzie i kiedy powie o tym Holtowi.

Musiał wierzyć, że mu powie.

Śniadanie zjedli na zmiany. Potem Ryan przejrzał notatki Davida, a następnie zaczął ustalać z Mitchem szczegóły użycia dynamitu i ewakuacji miasta. Tuż po ósmej po-

ciąg zwolnił na zakręcie i za oknami przemknął galopujący jeździec. Był to zwiadowca sygnalizujący maszyniście, że zbliżają się do drugiego pociągu.

Po chwili obydwie pociągi dotarły do zbiegu rzek i stanęły blisko siebie. Od Cooper's Creek dzieliło ich jakieś pół godziny jazdy. Ryan i Mitch wyskoczyli z wagonu. Wokół nich szybko zgromadził się tłumek.

Z pociągu dostawczego wynurzył się powoli zaspany Joseph Reid. Ryan popatrzył na niego z niedowierzaniem. Zastanawiał się, co ojciec tu robi.

Joseph skinął głową.

- Nie spodziewaliśmy się, że wrócisz tak szybko. Przybyłem tu, by pomóc synom.

W Ryana wstąpiła nadzieja, ale szybko zgasła, gdy ojciec dodał:

- Mitchowi i Travisowi.

Ryan milczał. Mitch zamrugał powiekami i zakaszłał.

- Ogień rozszerza się szybciej, niż przypuszczaliśmy. Travis jest ranny, a także dwóch innych ludzi. Jeszcze jeden zmarł.

Joseph wymamrotał coś pod nosem i przechylił głowę na bok, kierując ucho w stronę młodszego syna. Ryan dopiero teraz uświadomił sobie, że jego ojciec ma kłopoty ze słuchem. Nikt mu o tym dotychczas nie powiedział, jakby nie należał już do rodziny.

- Ranny? Co się stało?

- Nawdychał się dymu - wyjaśnił Mitch.

Joseph zdjął kapelusz.

- Gdzie on jest?

Ryan zaprowadził go do wagonu medycznego, po drodze wydając policjantom rozkaz, by rozładowali łopaty i dynamit.

- Po co ten dynamit? - dopytywał się Joseph.

- To coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

Nadeszła pora, by ujawnić cały plan. Dzięki temu, że wszyscy Reidowie znajdowali się tutaj, mógł zaoszczędzić trochę czasu. Powodzenie pomysłu zależało bowiem od nich. Sama myśl o ich reakcji przyprawiała go o skurcz żołądka.

Na widok Julii Joseph ucichł. Jeśli nawet zastanawiał się, co ona tu robi, to nie zadał głośno żadnego pytania. Ryan skinął jej głową, wzrokiem prosząc o wyrozumiałość

wobec swojej rodziny. Między Julią a jego ojcem wiele rzeczy pozostało niewyjaśnionych, ale to musiało na razie poczekać.

Travis był przyjemnie zaskoczony widokiem ojca.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał.

Ryan zauważył, że oddychał już swobodniej i przybyło mu energii.

- W młodości dobrze sobie radziłem z łopata - odrzekł Joseph, spoglądając na Julię.
- Krążą plotki, że chcesz się przekopać do Chin.

Travis uśmiechnął się i nastrój w wagonie stał się swobodniejszy. Ryan domyślał się, że Joseph czytał gazetę Julii z najnowszymi doniesieniami z frontu walki z ogniem.

- Co tam w domu? - zapytał Travis.

- Mama jest trochę zmęczona po podróży, ale dobrze jej to zrobiło. Shawna jest zajęta dziećmi. Quigley przyjechałby ze mną, gdyby nie kolano. Pewnie chciałbyś też usłyszeć, co tam u twojej żony.

Travis skinął głową.

- Ma pełne ręce roboty z dziećmi, ganiają po nowym domu jak szczeniaki. Kazała ci szybko wracać. Obiecała, że upiecze bułeczki cytrynowe.

Travis niedawno zbudował na ziemi ojca dom z bali dla swojej rodziny. Ryan wiedział, że to, co ma do zaproponowania, złamie bratu serce.

- Clarisso - zwrócił się do panny Ashford, która w kącie wagonu zajmowała się Franklinem. - Proszę, zwołaj tu Mitcha i powiedz mu, że to pilne.

Clarissa wyszła i po pięciu minutach Mitch pojawiła się w wagonie.

- O co chodzi? - zapytał, przeciskając się między łózkami.

David, zajęty gotowaniem ręczników w wagonie kuchennym, poprosił Clarissę o pomoc. Julia również zamierzała wyjść, ale Ryan rzucił jej błagalne spojrzenie. Jej milcząca obecność dodawała mu siły, a poza tym chciał, by była świadkiem tej bardzo osobistej rozmowy z braćmi i ojcem.

- Mam plan, by powstrzymać ogień - oznajmił.

- Dynamitem? - zapytał Mitch.

- Tak. Musimy zrobić wybuch tutaj, przy Cooper's Creek. Myślę, że w ten sposób uda nam się zmienić kierunek ognia.

- W jaki sposób chcesz go zmienić? - dążył Mitch.

- Jeśli pierwsza linia wybuchów nie wygasi ognia i pożar znów przeskoczy, to może przynajmniej uda nam się odciągnąć go od miasta. Można to zrobić, umieszczając drugą linię wybuchów o sto jardów od pierwszej, nieco w bok. Gdyby udało nam się skierować ogień w tamtą stronę, na słabiej zaludniony obszar, mniej domów by ucierpiało.

Jego bracia słuchali w milczeniu, nie zdając sobie sprawy, do czego Ryan zmierza, ale ojciec zaczął się czegoś domyślać. Przełknął ślinę, zmarszczył brwi i poruszył stopami.

- W którą stronę?

Ryan popatrzył mu prosto w oczy.

- Wzdłuż Cooper's Creek. Myślę, że trzeba okrążyć ogień i wcisnąć go między dwa strumienie, Cooper's Creek i Elk River, na północ od miasta.

- To znaczy, że chcesz go skierować na moją ziemię? - ryknął Joseph tak głośno, że Ryanowi zadzwoniło w uszach. Bracia patrzyli na niego osłupiali. Wstrząśnięty Travis zsunął się z łóżka.

- Tam jest nasze ranczo! Dom twojego ojca i matki, a także Jessiki i mój, dom, w którym się wychowaliśmy!

Ryan nie ugiął się.

- Wiem o tym.

Popatrzył na Julię, która, również oszołomiona, stała obok Holta i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Mój dom też tam jest. - Mitch potrząsnął głową.

- Przykro mi - powiedział cicho Ryan. Ze wszystkich domów jego rodziny tylko dom Shawny, znajdujący się w mieście, miał ocaleć.

Twarz Josepha przybrała szkarłatny kolor.

- Chcesz, żebym skierował ogień na wszystko, na co harowałem przez dwadzieścia pięć lat?

- Tak. - Ryan skinął głową.

- Chcesz, żebym spalił własny dom? - wychrypiął jego ojciec. - Stajnie, zabudowania, wszystko?!

Ryan miał wrażenie, że jego buty są ciężkie jak z ołowiu.

- Jeśli do tego dojdzie, jeśli będziemy musieli wybierać między setkami budynków albo sześcioma budynkami, to wybierzemy sześć.

- I ty się nazywasz moim synem? - Głos Josepha drżał.

Ryan przestąpił z nogi na nogę i wbił wzrok w podłogę.

- Ignorowałeś swoją matkę przez dziesięć lat. Wróciłeś do domu, żeby zniszczyć rodzinę. A teraz chcesz zniszczyć również wszystko, co zbudowałem!?

Ryan nie odpowiedział. To było znacznie gorsze niż zszywanie ran strunami. Tym razem nie było żadnych ran do pozszywania. Żaden młody człowiek nie leżał na podłodze z dziurą od kuli w głowie, a na zewnątrz nie czekało dwudziestu innych, śmiertelnie rannych, którzy mieli się nie doczekać jego pomocy.

- Zejdź mi z oczu! - wrzasnął Joseph. - Nie jesteś moim synem!

Z dojmującym poczuciem porażki i wstydu Ryan pochwycił kapelusz i nie patrząc na ojca, wyszedł z wagonu.

Gniew Josepha Reida sparaliżował Julię. Patrzyła, jak starszy człowiek wychodzi z wagonu w towarzystwie najmłodszego syna, i próbowała zapomnieć o jego okropnych słowach. Biedny Ryan. Wiele musiał wycierpieć z powodu ojca. Podziwiała jego odwagę.

Holt i Franklin, obudzeni wrzaskami pana Reida, byli przerażeni nie tylko zacieklnością ognia, ale również planem komendanta.

- Nic nie możesz zrobić, Holt. Leż spokojnie i odpoczywaj. - Julia dotknęła jego ramienia.

- Ale chciałbym tam być.

- Będiesz. Już niedługo.

- Naprawdę tak myślisz? - Holt przyjrzał jej się uważnie, próbując unieść ramiona.

- Naprawdę myślisz, że wyzdrowieję?

Od dwóch dni starannie unikali tego tematu.

- Tak. Doktor Reid uważa...

- Wiem, co uważa doktor Reid. Ale co ty myślisz?
- Wierzę mu. Powiedział, że gdy skóra się wygoi, będziesz mógł wstać.
- Jeśli skóra się wygoi.
- O ile pamiętam, powiedział: „gdy”.
- Powiedział: „jeśli”.

Czy na pewno dobrze usłyszała Ryana? Czy miała prawo sprzeczać się z Holtem? Był zgnębiony do głębi duszy. Martwił się o to, czy jeszcze kiedyś będzie normalnie chodził i czy będzie mógł pracować jako policjant.

- Doktor Calloway powinien wkrótce tu być ze swoim wozem. Będziesz miał dwóch lekarzy do dyspozycji. Dwóch najlepszych lekarzy.

Holt ujął ją pod brodę.

- Nie wyobrażasz sobie, co przychodziło mi do głowy, kiedy zajmowałaś się mną przez te ostatnie dni.

- Holt, proszę. Nie jesteśmy sami. - Julia poczuła się skrępowana.

Rozejrzała się po wagonie. Clarissa trzymała kubek przy ustach Franklina, poza tym nie było tu nikogo. Nie potrafiła się jednak zdobyć na omawianie prywatnych spraw z Holtem. Jak miała mu powiedzieć, że poszła do łóżka z komendantem?

Czuła się jak oszustka, choć ze względu na Holta pragnęła być silna i pełna nadziei. Poglądziła go po dłoni i pod pretekstem, że musi coś przynieść, wyszła z wagonu na poranne słońce. Ochotnicy przenosili zapasy wody z jednego pociągu do drugiego, ale Ryana nigdzie nie było widać.

Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie znalazła go nad rzeką. Patrzył na szybki nurt przemykający po odłamkach granitu.

- Tu jesteś! - zawołała i podbiegła do niego.

Spojrzał na nią, po czym znów wbił wzrok w rwącą rzekę.

Chciała mu powiedzieć, jak bardzo jest jej przykro, jak okrutnie zachował się jego ojciec, jak dzielnie Ryan stawiał mu czoło podczas tej rozmowy, ale nie wiedziała, od czego zacząć. On zaś zwrócony był do niej plecami.

- Powiedz mi coś, Julio. Czy zdarzyła się kiedykolwiek chwila, w której myślałaś, że mnie kochasz?

Popatrzyła na swoje dłonie. To nie był czas na półprawdy.

- Raz, gdy byłam znacznie młodsza.

- Ale?

Nerwowo splotła palce.

- Ale czas i doświadczenie przekonały mnie, że było to raczej zauroczenie młodej dziewczyny.

Ryan jęknął cicho. Nie chciała go zranić, chciała tylko pokazać, jak sytuacja wygląda z jej strony. Ostatniej nocy miała nadzieję, że zaczyna się między nimi coś pięknego, problemy jednak nie zniknęły. Czy Ryan oczekiwał, że przysięgnie mu teraz wierność? Jak mogła to zrobić, skoro Holt leżał w wagonie i również potrzebował jej dobrego serca? I jak mogła cokolwiek obiecywać, skoro nic się nie zmieniło między nią a rodziną Ryana?

Myśląc o związku z nim, miała jeszcze większy zamęt w głowie niż poprzedniego dnia. Nic nie mogła poradzić na to, że znów stała się ostrożna. Zastanawiała się, czy Ryan odsunie się od niej, tak jak dziesięć lat temu, czy też tym razem pozostanie przy jej boku. To on musiał jej udowodnić, że się zmienił. Teraz wszystko zależało od niego.

Wrzucił kamyk do wody.

- Zbyt wiele dzieje się naraz. Pożar, Holt i jeszcze twoja rodzina - mówiła Julia. - Nie jestem pewna, gdzie kończy się jedno uczucie, a zaczyna drugie. Wszystko jest w stanie zawieszenia, szczególnie wobec twojego planu z dynamitem. Co chcesz zrobić?

- Nie jestem pewien.

- Co czujesz, Ryan?

- To samo co zawsze. Czuję się samotny.

Pod powiekami zapiekły ją łzy, ale powstrzymała je.

- Nie musisz się tak czuć. To twój wybór. Odwrócił się, wziął ją za rękę i podniósł do ust.

- Komendancie! - zawołał konstabl Williams. - Czas podać morfinę. Potrzebuję pomocy.

Obydwoje pobiegli do wagonu. Ryan przygotował dawki morfiny i kazał ruszyć obydwu pociągom. Wszyscy mieli dostać wcześniejszy lunch, by przygotować się na resztę dnia.

Gdy sytuacja nieco się uspokoiła, Julia naląa świeżej wody do miski, wypłukała ręcznik i przyłożyła Holtowi chłodny kompres na czoło. Wydawało się, że kompres działa na niego kojąco, ale morfina rozluźniła mu język.

- Chodź tu bliżej, Julio - powiedział tak głośno, że usłyszeli go wszyscy, włącznie z Ryanem, który mył instrumenty chirurgiczne w wodzie z mydłem. - Stań tu, obok mnie. Chcę cię o coś zapytać.

Zawahała się przez chwilę, rozdarta między dwoma mężczyznami. Serce jej się ścisnęło, gdy Ryan odwrócił głowę i spojrzał na nich niepewnie. Pochyliła się nad Holtem i zapytała:

- Co takiego?

- Zastanawiałem się nad tym przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. - Przełknął ślinę, jakby chciał opanować drżenie głosu. - Myślę, że taka dobra kobieta byłaby doskonałą żoną. To ja jestem mężczyzną, którego szukałaś przez ogłoszenie, Julio. Wyjdź za mnie.

Rozdział szesnasty

Pociąg nabierał szybkości. Ryan obrócił się plecami do Julii i Holta. Opłukał narzędzia chirurgiczne i ułożył je na tacy, żeby wyschły.

- Holt, czuję się zaszczycona, że mnie o to prosisz. Każda kobieta byłaby z tego dumna, ale tak wiele się teraz dzieje, a ty jesteś ranny i nie jesteś sobą... Potrzebujemy więcej czasu, żeby się w tym wszystkim odnaleźć. - To były słowa, jakie Ryan spodziewał się usłyszeć. - Pożar wciąż się rozszerza. Najpierw musimy dotrzeć do bezpiecznego miejsca.

Ryan wiedział, że to on postawił ją w tak niezręcznej sytuacji. Bardziej niż niezręcznej, niemal okrutnej. Postawił w podobnej sytuacji całą swoją rodzinę. Kazał im wybierać między tym, co dobre dla nich samych, a tym, co dobre dla innych ludzi. Wszystko, czego dotknął, obracało się w ruinę, każda osoba, która była mu bliska, cierpiała z jego powodu.

Był przekonany, że straci Julię i ojca, a także całe miasto.

- Julio - powiedział Holt łagodnie. - Chcę, żebyś była częścią mojego życia.

Ryan nie mógł tego dłużej słuchać. Po raz drugi tego przedpołudnia pochylił głowę i uciekł z wagonu.

Minęło południe i sytuacja wcale nie stała się łatwiejsza. Przeciwnie, Ryan miał wrażenie, że jego problemy jeszcze się powiększyły.

Ciekaw był, czy Julia przyjęła oświadczenia Holta. Przez cały czas zadreślał się tym.

Przy Cooper's Creek czekał już na nich tłum. Był tam również dziadek Julii. Ryan poczuł wielką ulgę na widok wozu doktora Callowaya. Rannych przeniesiono pod jego opiekę. Holt był senny po morfinie i nie protestował, gdy oddzielano go od Julii, Franklin zaś powitał przeprowadzkę z radością. Travis jednak nie chciał się nigdzie ruszyć.

- Zostanę tam, gdzie jestem potrzebny - upierał się, podnosząc się z posłania na chwiejnych nogach.

- Na litość boską, przecież nie możesz nawet normalnie oddychać - zirytował się Ryan. - Musisz odpocząć. Wracaj z Johnem do fortu i zajmij się ewakuacją.

- Oddycham coraz lepiej. Nie będę leżał beczynn timer, gdy wszystko dokoła się pali. Ryan niewiele mógł zrobić, by go powstrzymać. Wymamrotał coś pod nosem i przytrzymał drzwi, gdy Travis wychodził na zewnątrz.

- Komisarz tu idzie. Chce się z tobą zobaczyć! - zawołał do niego John.

Ryan stał pod topolami w towarzystwie ojca i braci i wydawał rozkazy oddziałom, wskazując im, w których miejscach należy usunąć krzewy. Na zboczu pobliskiego wzgórza Flanagan rozmawiał z ludźmi siodłającymi konie. David i Clarissa robili zdjęcia. Powietrze przesycone było ciężkim zapachem dymu. Pomędzy pociągami biegali ludzie z łopatami i taczkami.

- Zaczynjcie kopać rowy! - zawołał Ryan z nadzieją, że tym razem się uda.

O kilka metrów dalej Julia żegnała się z Holtem.

Ryan nie mógł rozróżnić słów, ale dochodziły do niego ich głosy. Czuł zazdrość i choć próbował walczyć z tym uczuciem, nie potrafił się go pozbyć.

Julia odeszła od wozu, na którym leżał Holt, i nieoczekiwanie dla siebie znalazła się twarzą w twarz ze wszystkimi mężczyznami z rodziny Reidów.

- Och, nie chciałabym przeszkadzać - powiedziała, wycofując się.

- To nie jest miejsce dla kobiet - zgodził się Joseph.

Na te słowa zatrzymała się w pół kroku. Idź dalej, pomyślał Ryan, ale ona spojrzała starszemu mężczyźnie prosto w twarz.

- Mam już tego dosyć - oświadczyła. Głos miała napięty, a oczy podkrążone od braku snu. Za jej plecami wóz z Holtem zaczął się oddalać.

- Czego masz dosyć? - zdziwił się Joseph.

Ryan wyprostował się i spróbował się wtrącić:

- Julio, jeśli szukasz Clarissy, to chyba sprząta w wagonie medycznym.

Ojciec i bracia przenieśli wzrok z Julii na niego, jakby zauważyli w jego głosie osobisty ton. Julia jednak zachowywała się tak, jakby go nie usłyszała.

- Mam dosyć tego, że Reidowie mnie ignorują.

Bracia niepewnie odwrócili wzrok. Dwóch obcych policjantów pośpiesznie pożegnało się i odeszło. Joseph skrzywił się, machnął lekceważąco ręką i zwrócił się do Ryana:

- Zdaje się, że komisarz jest już tam, za wzgórzem. Chcę z nim porozmawiać.

- Wszyscy Reidowie są tacy sami - powtórzyła Julia z uporem. Z rozświetlonymi słońcem włosami wyglądała w tej chwili bardzo pięknie. - Uparci jak muły i tak dumni, że nic do nich nie dociera.

Joseph obrócił się na pięcie i spojrzał na nią.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Ach, wszechmocny Joseph Reid wreszcie poświęcił mi swoją łaskawą uwagę.

Ryan westchnął, spodziewając się wielkiej awantury. Na twarzach jego braci odbiło się niedowierzanie.

- Jak pan śmie odzywać się do mnie tak, jakbym była pana służącą! - powiedziała Julia z powstrzymanym gniewem.

- Posłuchaj, dziewczyno...

- Spędziłam w tym pociągu dużo więcej czasu niż pan. Pomagałam Travisowi, gdy nie mógł oddychać, i pomagałam Ryanowi opiekować się innymi rannymi.

- Bardzo ci za to dziękuję, Julio - wtrącił szybko Ryan. - A teraz, jeśli...

- Próbujesz się mnie pozbyć, tak samo jak pozostali? - Podeszła bliżej do Josepha, wciąż wpatrując się w jego twarz. - Moja drukarnia i wszystko, na co pracowałam, też znajduje się na szlaku ognia, tak samo jak pańskie ranczo. Czy myśli pan, że biedacy mniej dbają o swoją przyszłość niż pan?

Jej oczy rozbłysły. Popatrzyła kolejno na Josepha, Trávisa i Mitcha. Wszyscy spuścili wzrok. Joseph z grymasem na twarzy oparł szerokie, powykręcane dłonie na biodrach.

- Jeśli sądzisz, że wielkodusznie usunę się na bok i pozwolę, by spłonęło moje...

- Już dawno przestałam oczekiwać od pana wielkodusznych gestów.

- To nie jest odpowiednia chwila, Julio - przerwał jej Ryan. - Masz prawo czuć to, co czujesz, ale...

- No, to już jest najlepsze ze wszystkiego - odezwał się naraz Flanagan, stając za wnuczką. Popatrzył na Josepha. - Jeśli ten ogień zostanie skierowany w stronę waszego rancza, może się potem okazać, że jestem bogatszy od ciebie. He, he. - Potarł zarośnięty podbródek. My, biedacy z więzienia, będziemy mieli więcej niż ty.

Twarz Josepha zaczerwieniła się.

- To się nigdy nie zdarzy.

Julia drgnęła z gniewu.

- Wiem, że nie ma pan najlepszego zdania o swoim najstarszym synu, ale gdyby zechciał pan go posłuchać mógłby się pan od niego wiele nauczyć. Jeśli pan tego nie widzi, to jest pan starym głupcem A ty, dziadku jesteś starym głupcem, jeśli sądzisz, że zmiana kierunku ognia ma cokolwiek wspólnego z więzieniem za długi.

Wszyscy mężczyźni zaniemówili. Spojrzenia pełne gniewu skierowały się teraz na Ryana.

- Co zamierzasz z nią zrobić? - zapytał chłodno jego ojciec. - Ty tu za wszystko odpowiadasz.

Ryan podszedł do Julii.

- Dziękuję ci za zaufanie, Julio, ale to nie jest najlepszy moment, żebyś walczyła w moim imieniu.

Zauważył na jej twarzy rozczarowanie. Może nie zachował się tak, jak należało, ale chciał ją chronić przed gniewem ojca. Nie potrzebował, by kobieta nadstawiała za niego karku.

Julia mówiła dalej:

- Z dzieciństwa najlepiej pamiętam ten wielki pęk kluczy, który pan nosił przy pasie. Były tam trzy srebrne klucze, dwa złote i ten do naszej celi - wielki, mosiężny, z po-drapanym kółkiem.

Twarz Josepha napięła się.

- Nosił je pan, jakby nie zważając na ich ciężar. Całe nasze życie zależało od tych kluczy. Ale pan w ogóle nie zwracał uwagi na to, że ma je przy pasie.

Joseph przełknął z wysiłkiem.

- Pamiętałem o nich. Próbowałem nie zwracać na nie uwagi, ale doskonale widziałem, jak dzieciaki się w nie wpatrują.

W oczach Julii pojawił się błysk. Ryan skorzystał z tej chwili i wysunął się na-przód.

- Mitch, ty chyba rozumiesz, że zmiana kierunku ognia to najlepsze, co możemy zrobić dla miasta?

Brat jednak nie odpowiedział.

- Myślisz, że nie pamiętam naszych polowań w tych lasach? Pamiętam, jak cię uczyłem skrobać ryby i obdzierać króliki ze skóry - ciągnął Ryan. - Czy sądzisz, że dla mnie te lasy nic nie znaczą? Bardzo mnie boli to, że muszę je teraz spalić. A ty, Travis...

- Ryan wskazał ręką na strumień. - Wiem, że zbudowałeś swoje ranczo razem z żoną, i wiem, że masz tam tuzin najlepszych klaczy rozplodowych w całym stanie. Wiem o tym. Wiem, ile ta ziemia dla ciebie znaczy.

- Ja też jestem żonaty - odezwał się Mitch. - Moja żona ma trzy młodsze siostry i brata. Wszyscy mieszkają z nami i wszyscy nazywamy tę ziemię naszym domem. Prosisz o zbyt wiele.

Travis poprawił kapelusz.

- Nie poznałeś jeszcze mojej żony, Jessiki. Nikomu o tym nie wspominałem, ale ona jest w ciąży.

Ryan westchnął.

- Obydwaj macie jeszcze czas, żeby zabrać swoje rodziny i zwierzęta w bezpieczne miejsce. - Znów spojrzał na ojca. - Tato.

To proste słowo wywarło wrażenie na nich obydwu.

- Tato, nie proszę o to dla siebie, tylko dla miasta. Pamiętasz, co mówiłeś mi przed laty, gdy przekraczaliśmy ocean? Postąpiłeś słusznie, gdy oddałeś te łapówki, które wzięłeś wcześniej w Irlandii. A ja teraz próbuję postąpić słusznie dla dobra miasta.

Wszyscy spojrzeli na niego z osłupieniem. Joseph zaczął drżeć. Ryan wiedział, że posunął się za daleko. To był wstydlivy sekret jego ojca i Ryan przyrzekł, że nigdy nie ujawni tej tajemnicy. Joseph wyznał mu prawdę, gdy syn znalazł go pobitego na pokładzie parowca. W zamian za łapówki jego ojciec miał umożliwić ucieczkę z dublińskiego więzienia dwóm więźniom. Gdy jednak przyszło co do czego, nie potrafił się zdobyć na to, by ich wypuścić, ponieważ byli skazani za morderstwa. Oddał pieniądze, ale musiał uciekać do Kanady, by chronić swoją rodzinę. Dwóch łotrów wsiadło za nimi na statek i

pobiło go za złamanie obietnicy. Trzecią osobą, która знаła całą prawdę, była matka Ryana. Plotki na temat tego zajścia krążyły jednak po mieście od dwudziestu pięciu lat.

Ciszę przerwał dopiero tętent koni.

- Komendancie! - zawołał komisarz Ridgeway z siodła. - Komendancie, co się dzieje? Słyszałem, że wymyślił pan jakiś plan, żeby skierować ogień w inną stronę. Czy to prawda?

Mężczyźni milczeli niepewnie. Pierwszy odezwał się Mitch:

- Myślę, że powinniśmy zrobić to, o co Ryan nas prosi. Dla dobra miasta.

Travis był drugi. Okazał wielką odwagę, wysuwając się naprzód.

- Ja też jestem po twojej stronie.

Ryan miał wrażenie, że na sercu spoczywa mu ciężki kamień. Spojrzał na ojca.

- Nie potrzebuję twojego pozwolenia, ale chciałbym je dostać.

Joseph przesunął drżącą ręką po policzku. Zdawało się, że w ciągu ostatnich pięciu minut postarzał się o pięć lat. Popatrzył na Julię, która stała obok Ryana, a potem na swojego najstarszego syna.

- Dobrze. Możesz puścić ogień przez moje ziemie.

Julia, oszołomiona zdumieniem, ale też pełna lęku, nie czekała, by omówić swoje następne posunięcie z Ryanem. Gdy tylko ogłosił, że żonaci mężczyźni mają dwie godziny, by zorganizować ewakuację rodzin, a potem muszą się znów stawić u jego boku, pożyczyla konia od policjantów i pojechała do domu swojej szwagierki. Znalazła syna, przyklękła przy nim i uściskała go.

- Tęskniłam do ciebie.

- Było bardzo fajnie. Czy muszę już stąd jechać?

- Tak. Trzeba powstrzymać ogień. Musimy pomóc doktorowi Reidowi.

- Przecież on jest złym człowiekiem.

- Nie. Jest dobrym człowiekiem. Wcześniej go nie rozumiałam, ale teraz jest inaczej. Próbuje ocalić wszystkich przed pożarem.

Posadziła chłopca na koniu obok siebie i wróciła do pociągu.

Większość policjantów nie miała rodzin. Kawalerowie zostali i dalej kopali rowy razem z Ryanem. Wielu innych, podobnie jak Julia, wróciło, przywożąc ze sobą żony,

starsze dzieci i rodziców. Wszyscy chcieli pomagać przy kopaniu rowów i rozkładaniu ładunków dynamitu. Dziadek wrócił do miasta, by zająć się drukarnią i w miarę potrzeby pomóc przy ewakuacji.

- Po co przywieźliśmy nasze łopaty? - zapytał Pete, gdy Julia zaprowadziła go w pobliże rowu.

- Bo policjanci mają za mało łopat. Kop tutaj, obok mnie, w stronę strumienia.

Praca fizyczna uspokajała ją. Pete był jeszcze za mały, żeby mógł być z niego większy pożytek, ale czuła ulgę, mając go przy sobie. Słońce paliło ją w plecy.

- Tu jesteś. - Ryan zatrzymał się obok nich. - Obydwoje tu jesteście.

Przykucnęła na ziemi i popatrzyła na kwadratowy czubek jego kowbojskiego buta, a potem powiodła wzrokiem w górę, aż do twarzy. On też trzymał łopatę.

- Myślałem, że cię straciłem.

Twarz miał ściągniętą. Julia nie pomyślała wcześniej, że on może jej szukać podczas tych dwóch godzin. Nie chciała go dodatkowo obciążać swoimi problemami, powinna jednak powiedzieć mu, że zamierza tu wrócić.

- Pojechałam po syna.

- Nie chcesz się ewakuować razem z innymi kobietami i dziećmi?

Potrząsnęła głową.

- Jesteśmy zdrowi i możemy kopać. Przyda się każda para rąk.

Pete natężył się i podniósł całą łopatę ziemi.

- Mama mówiła, że pan nas potrzebuje.

- To prawda. - Ryan uśmiechnął się do chłopca i wcisnął łopatę w ziemię. - Gdzie jest dziadek?

- Pomaga w ewakuacji po drugiej stronie miasta - wyjaśniła Julia. - Jest z moją szwagierką. David i Clarissa pojechali razem z nim.

- Komisarz przejął komendę. Powiedział, że powinienem zająć się teraz rodziną, zważywszy na to, na co chcę ich narazić. Ale sądzę, że oni nie życzą sobie mojej pomocy.

Te słowa napęłniły ją nadzieją. Rozejrzała się szybko dookoła i nie zauważyła ani jego ojca, ani braci. Odjechali, by zająć się własnym ranczem.

Koszula Ryana była zupełnie przepocona.

- Przykro mi, że krzyczałam na twojego ojca.

- Nie ma powodu, żeby ci było przykro. Dobrze nam to zrobiło. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że właśnie to jest potrzebne.

Podniósł głowę i popatrzył na dziesiątki kapiących mężczyzn i kobiet. Dzieci bawiły się obok rodziców. Wszyscy zjednoczeni byli wspólnym celem.

- Julio, ten plan może się nie powieść.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wybuch może skierować ogień w dwóch kierunkach zamiast w jednym.

Wolała o tym nie myśleć.

- Ale może też całkiem wygłuszyć ogień, a wówczas nic nie spłonie. Nawet ranczo Reidów - stwierdziła.

Ryan otarł twarz rękawem.

- Właśnie to podoba mi się w tobie najbardziej.

Przez kilka następnych minut pracowali ramię w ramię w milczeniu. Julia wrywała z ziemi korzenie i mniejsze krzewy. Ryan odpowiadał na pytania swoich ludzi i wskazywał, co jeszcze należy zrobić, a gdy wszystko już było gotowe, zajął się rozmieszczeniem ładunków.

Julia, bardziej przejęta sytuacją, niż chciała to okazać, otarła brudne ręce o spódnice. Przestała już dbać o wygląd swoich sukni. Na widok zbliżających się chmur dymu jej puls przyspieszył.

Tłum na początku zachowywał się spokojnie, ale teraz, gdy ogień i dym zbliżały się coraz bardziej, słychać było krzyki. Minęły ich stada bydła przepędzanego z pobliskich rancz w stronę rzeki. Krowy porykiwały, jakby wyczuwając niebezpieczeństwo. Koguty i kaczki z farmy starego Coopera, wynoszone w klatkach, głośno gdakały.

Julia drżała ze strachu. Dziadek powiedział jej, że pójdzie do drukarni i spakuje najważniejsze rzeczy, a potem wywiezie je na główną drogę wychodzącą z miasta i tam zaczeka na nią i Pete'a.

- Chodźmy już - zawołał Ryan, stając obok niej z workiem w ręku.

- Powinnam znaleźć dziadka.

- Obydwoje pójdziecie ze mną. Nie spuszczę cię z oczu. Znajdziemy twojego dziadka później, teraz to zbyt niebezpieczne.

Poddanie się jego komendzie wydało jej się zupełnie naturalne.

- Pójdziemy na ranczo ojca. Trzeba pomóc przy zwierzętach. Gdybyśmy się rozdzielili, kieruj się w stronę rzeki. Ogień zwykle przeskakuje górą.

Dopiero teraz zrozumiała, o czym on mówi. Objęła Pete'a ramieniem i spojrzała w stronę rzeki Bow. Jakiś farmer pędził tam stado kóz. Na obu brzegach pełno już było owiec, krów i ludzi. Wszyscy dążyli na wschód, jak najdalej od ognia. Gdyby płomienie podeszły zbyt blisko, mogli wskoczyć do wody, dla ochrony.

- Ryan - powiedziała, spoglądając na zabudowania miasta. - Twoje skrzypce. Bank...

- Bank będzie musiał zatroszczyć się o siebie.

- Ale pan Bosley pewnie chciałby, żebyś je odebrał.

- Adam tylko by się z tego śmiał.

- Co to znaczy?

- Nie mam teraz czasu, żeby ci to wyjaśnić. Ty jesteś dla mnie o wiele cenniejsza niż skrzypce.

- Boję się - szepnął Pete.

Julia próbowała go uspokoić. Ryan otoczył ich oboje ramieniem i uścisnął.

- Ja też się boję - powiedział do Pete'a - więc trzymajmy się razem.

Pomachał do mężczyzn, którzy wyprowadzali ze stajni siedem koni. Sądząc po ciężkim dyszeniu klaczy, nie dawali sobie rady ze zwierzętami.

- Ja wezmę te trzy - zawołał. - Gdy już będzie po wszystkim, za parę dni odbierze cie je sobie w formie.

Mężczyźni puścili konie i wbiegli do stajni po następne. Ryan posadził Julię i Pete'a na grzbiecie dużej klaczy, a sam wskoczył na ogiera i przywiązał do siodła swój worek. Dopiero teraz Julia uświadomiła sobie, że w środku jest dynamit.

Jadąc przez tłum przerażonych ludzi, błogosławiła go w duchu. Po raz pierwszy od wielu godzin zauważyła, że i jego dręczą wątpliwości. Twarz miał napiętą i udami moc-

no ścisnął boki zwierzęcia. Żałowała, że nie może mu w żaden sposób pomóc, ale w obliczu piekła, które miało się wkrótce rozpuścić, czuła się zupełnie bezradna.

Rozdział siedemnasty

Galopem wjechali na ranczo Reidów. Ryan obrzucił wzrokiem dom i obejście. Przez dziesięć lat nic tu się nie zmieniło.

- Gdzie jest moja matka? - zapytał młodego pomocnika, który przeciągał przez drzwi stajni dwa żrebaki. - Gdzie jest pani Reid?

- Tu jej nie ma. Sprawdzał pan w domu?

- Jeszcze nie.

Julia w milczeniu patrzyła na okazały, dwupiętrowy dom z dużą werandą. Przy wejściu rosły dwie rozłożyste topole. Jej syn stał obok, wpatrując się jak zahipnotyzowany w zwierzęta, które przebiegały przed nimi - dwa ogromne konie pociągowe, siwek i kasztan, oraz trzy osły. Ryan uświadomił sobie, że obydwójce są tu po raz pierwszy w życiu.

- Tędy - powiedział, wchodząc na werandę.

Teraz każda chwila była droga. Dym zbierał się już nad zachodnią częścią miasta. Położył rękę na plecach Pete'a i lekko popchnął go do drzwi. Ich buty głucho stuknęły o świeżo pomalowane deski podłogi, przybite schludnymi rzędami gwoździ. Po obu stronach podwójnych dębowych drzwi wisiały latarnie z polerowanego mosiądzu. Każda z nich kosztowała tyle co koń. Ryan przypomniał sobie, że gdy matka zamówiła te latarnie z katalogu, ojciec bardzo się temu sprzeciwił. Szybki w drzwiach przesłonięte były białymi, koronkowymi firaneczkami.

Sięgnął do mosiężnej kołatki i zastukał, ale nikt nie odpowiedział. Powiódł wzrokiem w stronę odległych wzgórz. O pół mili dalej stało mniejsze ranczo, a o następną milę jeszcze jedno. Zapewne były to domy jego braci. Na obydwu panował ruch. Za wzgórzami ktoś przepędzał stado złożone chyba ze stu sztuk bydła i kilkudziesięciu koni. Zwierzęta nie były jeszcze bezpieczne.

Ostrożnie trzymając worek z dynamitem, Ryan zadudnił pięścią w drzwi, a potem otworzył je i zawołał:

- Halo!

Hałas w środku wyjaśnił mu, dlaczego nikt nie usłyszał stukania. Dwóch nieznanomych mężczyzn podnosiło właśnie sofę wyściełaną końskim włosiem, a trzeci zdejmował z wytapetowanych ścian obrazki w złotych ramkach.

- Co wy robicie? - zdziwił się Ryan. Przeszło mu przez myśl, że to mogą być złodzieje, ale w tej chwili w drzwiach kuchni stanął ojciec.

- Próbuję ocalić to, co się da - rzekł nieszczęśliwym głosem.

Ryan, Julia i Pete poszli do kuchni. Trzech pomocników wynosiło sprzęty przez tylne drzwi i ładowało je na wóz, który już wypełniony był po brzegi. Ryan wiedział jednak, że ojcu uda się ocalić najwyżej niewielką część dobytku.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał. - Gdzie mama?

Julia przesunęła palcami po półce z zastawą stołową.

Pete usiadł na podłodze i oglądał wiadra.

- Zabrali ją Mich i Travis. Ładują, co się da, ze swoich domów. Zamierzają ruszyć na północ razem z bydłem. Nie widziałeś ich tam? - Joseph wskazał w kierunku niedalekich budynków.

- Tak. - Ryan nie potrafił ukryć rozczarowania i nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć Julii w twarz. - Czy mama zabrała tę suknię, którą jej podarowałem? Jeśli to możliwe, chciałbym ją ocalić od ognia.

- Jaką suknię?

A więc matka nic nie powiedziała Josephowi. Potrząsnął głową.

- Mniejsza o to.

- Travis i Mitch rozmieszczą ładunki na swoich ranczach, tak jak się umówiliśmy. Masz więcej dynamitu?

Ryan podniósł worek do góry.

- Po co ci dynamit? - zaciekał się Pete.

- Żeby pozbawić ogień powietrza - wyjaśnił Ryan. Zwrócił się do dorosłych i dodał: - Dociągniemy ładunki do każdego pokoju, ale nie zapalimy bezpieczników. Jeśli

ogień tu dotrze, sam to zrobi, a jeśli nie, to złożymy z powrotem dynamit i nie stanie się nic złego.

Julia wzięła głęboki oddech.

- Miejmy nadzieję, że dom ocaleje.

Joseph zatrzymał na niej wzrok, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że dziewczyna czuje się nieswojo w luksusowym domu strażnika więziennego.

- Popatrz na tę baletnicę. - Joseph wskazał na porcelanową figurkę. - Moja żona wygrała to na jarmarku podczas dożynek w Calgary, w pierwszym roku po naszym przyjeździe.

- Ładna - powiedziała Julia cicho.

- Żeby ją wygrać, musiała wrzucić trzy jajka do czepka, nie rozbijając ich. - Joseph zaśmiał się. - A ta strzelba - podszedł do kominka i zdjął ze ściany swojego ulubionego winchestera - to pierwsza strzelba, jaką kupiłem, gdy dotarłem do Kanady. Nauczyłem się strzelać z niej do gęsi.

Ryan również uczył się strzelać z tej strzelby. Pewnej zimy, gdy jego ojciec miał złamaną stopę i nie mógł chodzić, Ryan zaczął polować na króliki, by wykarmić rodzinę.

Julia ze współczuciem pokiwała głową.

- To tylko rzeczy, tato - mruknął zgnębiony Ryan. - Tylko rzeczy.

Do oczu Josepha nabiegły łzy. Znów popatrzył na strzelbę.

- To wspomnienia.

- Musimy się pospieszyć. - Ryan położył worek na stole i rozwiązał go. - Pete, czy mógłbyś mi pomóc?

Julia natychmiast odsunęła syna od stołu.

- W czym ma ci pomóc?

- Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi porozmieszczać ładunki w pokojach.

- On jest za mały!

- Mogę to zrobić, mamó - zaprotestował natychmiast chłopiec.

Ryan podał mu laskę dynamitu.

- O, tak. Spokojnie.

Pracowali szybko. Julia szła za nimi do każdego pokoju i pomagała w miarę możliwości. Ryan poruszał się ze skupieniem, jak na polu bitwy. W pół godziny później wyszli z ostatniej sypialni na górze. Joseph czekał na nich w korytarzu, niepewnie przestępując z nogi na nogę.

- Co się stało? - zapytał Ryan.

- Chodź tu i wyjrzyj przez okno. Ogień dotarł do Cooper's Creek.

Pete rzucił się do okna.

- Ale nie słychać żadnego wybuchu!

- Może jesteśmy za daleko - zauważyła Julia.

- Albo może ogień nie zmienił kierunku - dodał Ryan.

W tej chwili rozległ się łoskot, stłumiony jak odległy grzmot. Wielka kula ognia wyskoczyła w górę, za nią włókł się wielki ogon dymu. Drzewa wzdłuż rzeki rozjarzyły się płomieniem.

- Co się stało? - Joseph spojrział ponad ramieniem Ryana. - Co się stało z ogniem?

Ryan, z sercem dudniącym ze strachu, przełknął ślinę.

- Dynamit zadziałał. Ogień odwrócił się od miasta, ale idzie w naszą stronę. Jest silniejszy niż dotychczas. Uciekajmy!

Nie ma czasu do stracenia, pomyślała Julia. Złapała Pete'a za rękaw i pomknęła w dół po schodach. Ryan i Joseph biegli za nimi.

- Ruszam z wozem na północ! - wykrzyknął Joseph. - A wy najlepiej jedźcie konno.

- Dobrze - odkrzyknęła Julia. Joseph był już w drzwiach. - Ryan - obróciła się, szukając go. - Ryan!

Wróciła do holu, Pete zaś zajrzał do salonu. Znaleźli Ryana w jadalni, odwracał krzesła do góry nogami.

- Nie widzę - powtarzał. - Nie mam pojęcia, gdzie to może być.

- Co takiego zgubiłeś?

- Sprawdziłem we wszystkich pokojach, gdy rozkładaliśmy dynamit, ale nigdzie ich nie widziałem.

- Czego nie widziałeś? Powiedz mi.

Ryan pospiesznie przejrzał komodę i wbiegł do bawialni.

- Czego ty szukasz? - wykrzyknęła Julia, biegnąc za nim. - Musimy uciekać!

- Skrzypce! Szukam skrzypiec.

Zatrzymała się w miejscu, nic nie rozumiejąc.

- Przecież są w banku, w sejfie pana Bosleya. Sama widziałam, jak przekazałeś je Jacksonowi.

- To był tylko futerał z kawałkiem drewna w środku. Nie chciałem, żeby wszyscy złodzieje stąd aż do Gór Skalistych wiedzieli, co naprawdę z nimi zrobiłem. Pomyślałem, że Bosley da sobie z nimi radę.

- Pan Bosley cię zabije, kiedy się dowie, że powierzyłeś mu pusty futerał. - Julia nerwowo zaciskała ręce. - To znaczy, że skrzypce są w tym drugim banku, w Imperialu? Widziałam, jak dawałeś Jacksonowi pieniądze. Torba była wielka. Pewnie tam je włożyłeś.

- Nie. Tak właśnie wszyscy mieli pomyśleć, ale tam też ich nie ma.

- To co z nimi zrobiłeś?

- Owinąłem je w niebieską suknię i wysłałem matce.

Julia ze zdumienia oparła się o stół.

- Rany boskie! Jak myślisz, co twoja matka z nimi zrobiła?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy w ogóle otworzyła tę torbę. Może wcale nie wyjęła z niej sukni, a nawet jeśli to uczyniła, to zapewne nie zdawała sobie sprawy z wartości skrzypiec. A może ta torba w ogóle do niej nie dotarła.

- A może twój ojciec ją zabrał, nie wiedząc, co jest w środku?

- Patrzyłem na wszystkie rzeczy, które znajdowały się na wozie, ale tam też ich nie było.

Julia ze współczuciem wyciągnęła do niego rękę.

- Och, Ryan, tak mi przykro!

- Te skrzypce miały być dla ciebie. Dla mojej rodziny. Dla miasta.

- To wzruszające, ale nie będzie mi ich brakowało, bo nigdy wcześniej nie były moją własnością.

Ryan poprowadził Pete'a do drzwi.

- Masz rację. Mniejsza o to, skrzypce nie są teraz ważne. Wsiadajmy na konie i uciekajmy stąd.

Wybiegli z domu i wskoczyli na konie. Zauważyli jakieś zamieszanie przy stajniach.

- Czy wszystkie zwierzęta są już wyprowadzone? - zawołał Ryan do pomocnika.

- Nie - odkrzyknął chłopak. - Myślałem, że stajnia jest pusta, i tak powiedziałem pańskiemu ojcu, ale w tylnej części są jeszcze konie. Byłem przekonany, że zarządca wypuścił je wcześniej.

Julia zastygła, wyobrażając sobie uwięzione zwierzęta. Ryan również pobladł.

- Jak się nazywasz? - zapytał chłopaka.

- William.

- Jedź już, Williamie. Weź mojego konia i jedź.

- Jest pan pewien? Mój brat i siostra czekają przy drodze.

- Tak. Jedź i znajdź swoją rodzinę. - Ryan zwrócił się do Julii: - Ty jedź z nim. Kierujcie się w stronę rzeki.

Nie mogła opuścić Ryana, tak samo jak nie mogła opuścić Pete'a. William popędził przed siebie, ale ona i Pete zeszli z koni i poszli za Ryanem do stajni.

Zapach koni i siana mieszał się z ciężką wonią dymu. Ogień był już bardzo blisko. Wystarczyłaby jedna iskra, by zamienić całe ranczo w płonące piekło. Za zamkniętymi drzwiami słychać było parskanie i tupanie koni uwięzionych w boksach. Ryan rzucił się naprzód.

- Spokojnie - wymamrotał. - Spokojnie.

Wypuścił dwa młode ogiery, a sam wyprowadził podstarzałą klacz mustanga i wsiadł na nią na oklep.

- Spokojnie, Charlotte. Wszystko już dobrze.

Na grzbiecie mustanga wydawał się wielki i masywny jak posąg z brązu.

Julia pomogła synowi wspiąć się na siodło, a potem sama wskoczyła na konia i popędziła go do galopu. Wyminęli dom, szopę na narzędzia, przewrócone taczki, drzwi do podziemnej piwniczki, stajnie i dwie wielkie topole, których zapewne mieli już nigdy więcej nie zobaczyć. W powietrzu wirował dym i płaty sadzy. Temperatura rosła szybko.

Przed nimi przez suchą trawę śmigały króliki i inne małe gryzonie, za plecami mieli ścianę ognia.

W uszach huczał im wiatr. Kopyta klaczy waliły o ziemię, a mięśnie napinały się do granic możliwości. W pięć minut później dotarli do rzeki.

- Wjeżdżajcie do wody - wykrzyknął Ryan.

Julia z trudem złapała oddech i ściągnęła wodze. Zauważyła, że Pete robi to samo. Nagle klacz, na której jechał, o wiele dla niego za duża, gwałtownie zawróciła i pobiegła wzdłuż brzegu.

- Zwolnij! - zawołała przerażona Julia. - Zwolnij, bo klacz się potknie! - Omal nie rozplakała się z ulgi, gdy zauważyła, że jej syn odzyskał panowanie nad koniem i zatrzymał się.

Zwierzęta wskoczyły do wody z głośnym chlupotem. Julia podkasła spódnicę, żeby ciężar nasiąkniętej tkaniny nie pociągnął konia na dno. Dokoła nich ryczało bydło - dziesiątki rudobrazowych krów. W powietrzu kłębił się gryzący dym. Pete zaczął kaszleć.

- Zsiadajcie z koni! - wykrzyknął Ryan. - Trzymajcie się brzegu, tam jest płycej.

Obydwoje zsunęli się z koni. Woda sięgała Julii do pasa, Pete'owi po szyję.

- Pochyl się i trzymaj twarz blisko wody - poradziła mu. - W wilgotnym powietrzu łatwiej jest oddychać.

Tłuste od sadzy powietrze gryzło ją w gardło.

- Użyj spódnicy - zawołał Ryan. Puścił swojego konia i podszedł do niej. Podniósł jej spódnicę do twarzy i pokazał, jak wykorzystać ją jako maskę. Sam trzymał przy twarzy mokry rękaw koszuli. - Oddychaj przez mokrą tkaninę. Ty też, Pete.

Jego mocne ramię objęło chłopca w pól. Julia cieszyła się, że Ryan jest z nimi. Jeśli ktokolwiek mógł ich ocalić, to tylko on.

- Puść wodze, Julio.

Nie posłuchała.

- Puść konia, skarbie - powtórzył Ryan. Podszedł bliżej i delikatnie wyjął jej wodze z ręki. - Konie też się boją. Nie możemy ich powstrzymywać, bo mogą nas zranić.

- Jeśli je puścimy, to uciekną.

- Zwierzęta mają instynkt i wiedzą, że powinny pozostać w rzece.
- Ale niektóre ogiery wychodzą na drugi brzeg - zauważył Pete.
- Tylko kilka. Jeśli ogień przeskoczy na drugi brzeg, to zginą.

Płomienie były coraz bliżej. Ryan podbiegł do konia, którego wodze zaczepiły się o przybrzeżny krzak, i wyplątał je. Idąc za nim, Julia patrzyła na wzgórze, skąd staczała się ściana ognia. Gęsty dym zasłaniał widok na i ranczo, ale usłyszała głośny wybuch, a zaraz potem drugi.

- Domy moich braci - rzekł Ryan ze smutkiem.

Pochwyciła go za rękę i zaczęła się modlić. Powietrze rozdarła kolejna eksplozja, bliższa i głośniejsza niż poprzednie. Ryan zadrżał.

- Wszystko w porządku - powtarzała Julia. - Zrobiłeś to, co trzeba było zrobić. Bez względu na to, jak to się skończy, podjąłeś słuszną decyzję.

Otoczyły ich kłęby dymu. Gwałtowny podmuch zrzucił kapelusz z głowy Ryana. To musiał być podmuch eksplozji domu ojca. Ryan wepchnął im głowy do wody. Oczekali chwilę i unieśli twarze o kilka cali ponad powierzchnię, żeby złapać oddech, krztusząc się i prychając. Ogromna chmura dymu rozproszyła się wreszcie i teraz łatwiej było oddychać. Otarli twarze, próbując coś dojrzeć przez rzednący dym.

Dookoła nich falowało morze bydła. Trawa na brzegu rzeki płonęła. Julia spojrzała na przeciwny brzeg, który wciąż był zielony, i wstąpiła w nią nadzieja. Ogień zatrzymał się na brzegu rzeki.

Ryan objął ich ramionami i pocałował czubek jej głowy.

- Już dobrze.

- Udało się, prawda?

- Chyba tak. Ogień został pochwycony w pułapkę i stłumiony między Cooper's Creek i Elk River. - Brnąc przez wodę, podszedł do swojej klaczy, a potem pomógł Julii i Pete'owi odnaleźć ich konie. - Wskakujcie na siodła.

- Komendancie - zawołał drżący głos z drugiego brzegu. Zdumiona Julia odwróciła się i zobaczyła młodego policjanta na koniu, a za nim jeszcze dwóch innych. - Komendancie, czy nic się panu nie stało?

- Nic, Cole. Jestem cały i zdrowy.

- Pomogę pani - powiedział konstabl do Julii. - Proszę mi dać rękę.

- Proszę najpierw pomóc mojemu synowi.

- Mamo, dam sobie radę sam. - Z dziecięcą swobodą Pete wskoczył na konia, chwycił wodze i wyjechał na brzeg. Julia i Ryan poszli jego śladem. Woda ściekała z ich ubrań.

- Czy udało się ocalić miasto? - zapytał Ryan.

- Tak, proszę pana. Przesadziliśmy z ilością dynamitu przy Cooper's Creek i wyrwało większą dziurę, niż zamierzaliśmy, ale ogień ominął miasto.

Julia odmówiła modlitwę dziękczynną. Po raz pierwszy od wielu dni supeł w jej żołądku zaczął się rozluźniać. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na mężczyznę, który ocalił ją i jej syna. Mięśnie Ryana grały pod mokrą koszulą, woda ściekała z ronda kapełusza.

- Jedź z policjantami - powiedział do niej.

- Ale ty też musisz z nami pojechać.

- Nie. - Potrząsnął głową. Zwrócił spojrzenie w stronę północnych równin. - Moja rodzina... moi bracia pewnie widzieli to wszystko. Muszę tam pojechać i sprawdzić, czy uda się jeszcze coś ocalić od ognia.

- Ryan, ale co możesz zrobić? Wszystko płonie.

- Muszę to zobaczyć na własne oczy. Znajdę cię jutro. Odszukaj dziadka i zajmij się synem. - Spojrzał na chłopca. - Byłeś dzisiaj bardzo dzielny, Pete. Kiedyś zostaniesz doskonałym policjantem. Twoja mama i ja jesteśmy z ciebie dumni. Znałem twojego ojca, Brandona. On też byłby z ciebie dumny.

Pete omal nie pękł ze szczęścia. Julia wbiła pięty w boki klaczy, zawołała na syna i oboje odjechali galopem.

Rozdział osiemnasty

- Co się stało, Julio? Powiedz mi, co się stało na ranczu Reidów? - zapytał Flanagan, gdy tylko Julia i Pete zatrzymali się przed drukarnią. W jasnych promieniach zachodzącego słońca zsunęli się z siodeł i oddali konie policjantom, którzy mieli je zaprowadzić do właścicieli.

- Nie ma już rancza Reidów, dziadku.

Flanagan pobladł. Julia przesunęła ręką po wilgotnych włosach syna. Obydwoje byli przemoczeni i brudni.

- Chodźmy się umyć.

Dziadek poprowadził ich przez drukarnię do korytarzyka w głębi i dalej do kuchni. W żelaznym piecyku płonął ogień. W pomieszczeniu było ciepło. Julia dopiero teraz uświadomiła sobie, że drży - nie wiedziała, czy z powodu chłodu, czy mokrych ubrań, czy też z napięcia po wszystkim, co się zdarzyło.

Dziadek nalał wody do miedzianego czajnika i postawił go na piecyku.

- Herbata z rumianku dobrze wam zrobi.

Umyli się w starej blaszanej wannie i przebrali w suche ubrania. Pete chciał odwiedzić kuzynów, by przekonać się, jak przetrwali katastrofę. Ledwo to powiedział, jego cichy rówieśnik, Max, pojawił się przy tylnym wejściu.

- Wszystko u nich w porządku - stwierdził dziadek, nalewając herbatę.

Nim Pete wybiegł, Julia zatrzymała go jeszcze przez chwilę.

- Pete, czasami ludzie źle oceniają innych.

- Ja nic nie powiedziałem.

- Nie ty, kochanie. Ja. - Wytarła ręcznikiem jego wilgotne włosy. - Powiedziałam ci kiedyś, że nie możemy ufać doktorowi Reidowi.

- Tak.

- Myliłam się. Powinnam była okazać mu więcej wyrozumiałości. Ludzie, którzy noszą drogie ubrania, mogą być równie dobrzy i uprzejmi jak ci biedniejsi. Doktor Reid ocalił nas dzisiaj i jesteśmy mu winni wdzięczność.

- Lubię go.

- On też cię lubi.
 - Czy mogę już iść? Max na mnie czeka.
 - Idź - zgodziła się z uśmiechem.
 - Opowiedz mi jeszcze raz, co się zdarzyło - poprosił Flanagan, gdy chłopcy wyszli i Julia usiadła przy piecyku. Owinięta kocem, popijała gorącą herbatę.
 - Podłożyli ładunki pod swoje domy i wysadzili je.
 - Mitch też?
 - Też.
 - Travis zaczął budować swoje ranczo i stajnie zaledwie kilka lat temu. Chyba nie...?
 - Wszystko zniszczone.
 - Ale Joseph z pewnością ocalił swój dom?
 - Byłam tam, gdy obaj z Ryanem podkładali dynamit. Dom rozpadł się na milion kawałków. Podobnie jak stajnie i szopy.
- Dziadek opadł na krzesło i przycisnął palce do czoła, potrząsając białą głową.
- Ale dlaczego to zrobili?!
 - Przecież wiesz dlaczego. Żeby ogień ominął miasto.
 - Ani przez chwilę nie wierzyłem... Myślałem, że gdy do tego dojdzie...
 - Zrobili to, dziadku. - Julia sama nie mogła w to uwierzyć. - Zrobili to i dzięki temu teraz możemy tu siedzieć i spokojnie pić herbatę.
 - Nic im nie zostało - mruknął dziadek.
 - Na szczęście było ocalało.
 - Joseph Reid jest dumnym człowiekiem, a to... I biedny Ryan. Jego rodzina i tak ...
- Julia przymknęła oczy i poczuła, że kręci jej się w głowie.
- Czy wiesz, gdzie jest Holt MacAllister?
 - Rossmanowie zabrali go do siebie na noc. Trzeba było wyprowadzić wszystkich chorych ze szpitala w forcie, na wypadek gdyby ogień skierował się właśnie tam.
- Julia zsunęła koc z ramion.
- Muszę się z nim zobaczyć. Mam mu coś do powiedzenia.
 - Teraz? Ale...

Zerwała się z krzesła i poszła do drzwi.

- Właśnie teraz, dziadku.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. - Holt leżał na sofie w salonie Rossmanów. Na widok Julii uniósł się na łokciu.

Skinęła głową doktorowi Callowayowi, który właśnie wychodził, zaopatrując Holta na noc. Usłyszała jeszcze, jak za drzwiami wydawał instrukcje pani Rossman.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Doktor mówi, że dobrze się goi. Jeśli będę ćwiczył w łóżku, to za parę tygodni mogę spróbować chodzić.

- To wspaniale.

- Słyszałem, że komendantowi udało się ugasić ogień.

- Tak. Tak, udało mu się.

- Cieszę się, że przyszłaś. - Holt wskazał na krzesło przy łóżku. - Musimy dokończyć...

- Holt, to nie jest takie proste.

Jego uśmiech zgasł. Chłopak odchylił się na poduszki.

- Co nie jest proste? Lekarz powiedział, że moja stopa nigdy nie będzie taka sama, ale nie zamierzałem do końca życia pracować w policji. Zawsze chciałem kupić część udziałów w sklepie Rossmanów. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zaoszczędziłem trochę pieniędzy? Ciotka i wuj nie mają nic przeciwko temu, żebym wkrótce przyłączył się do nich.

- To świetnie, Holt. To dobrze, że masz takie plany. Bardzo cię podziwiam.

Jego uśmiech znów powrócił.

- Sądzę więc, że możemy wyznaczyć...

- Przykro mi, Holt.

- Dlaczego?

- Mam wrażenie, że cię zwiódłam. Ale widzisz, sama nie wiedziałam... Myślałam... Gdy... Gdy zamieszczałam to ogłoszenie w gazecie, myślałam, że naprawdę idę za głosem serca.

- Nie potrzebujesz już ogłoszenia. Teraz ja jestem twoją rodziną. Masz mnie.

- I Pete'a.

- Tak, oczywiście, Pete'a i dziadka. Znajdzie się miejsce dla nich obydwu.

Julia poruszyła się niepewnie na twardym, drewnianym krześle.

- Holt, nie mogę za ciebie wyjść.

- Co takiego? - Poderwał się gwałtownie z napiętą twarzą. - Dlaczego nie?

Julia nerwowo wykręcała palce.

- To nie tak łatwo wyjaśnić.

- Jeśli chodzi o moją nogę...

- Nie chodzi o twoją nogę.

- Tylko mi nie mów, że to z powodu tego głupstwa, które Clarissa wbiła ci do głowy.

- Jakiego głupstwa?

- O różnicy wieku. Proszę! Zapewniam cię, że to nie będzie żaden problem. Nie czuję się przy tobie w żadnym stopniu onieśmielony i uważam, że... Uważam, że jesteś piękna.

Julia odchrząknęła. Miała wrażenie, że coś uciska jej gardło.

- A ja uważam, że jesteś wyjątkowym człowiekiem.

To go wyraźnie ucieszyło.

- Ale nie mogę za ciebie wyjść, Holt.

- Dlaczego?

- Dlatego że... darzę uczuciem kogoś innego. Zawsze tak było, ale nie dostrzegałam tego. Bez względu na to, jak to się skończy, myślę, że on ma prawo wiedzieć. Zrobił tak wiele dla tego miasta, dla nas wszystkich. Jeśli znów wyjedzie... Boże! Jeśli znów wyjedzie... Muszę mu powiedzieć.

Holt opadł na poduszki.

- Nie musisz mi mówić, o kogo chodzi. Sam się domyślam.

- Przykro mi - szepnęła.

- A gdybyś go nie znała? Gdyby on się nie liczył? Czy wtedy ja... Czy wybrała-byś?...

- Wyszłabym za ciebie bez żadnych wątpliwości. - Wstała, wzięła go za rękę i delikatnie pocałowała w czoło.

- Zdumielibyśmy wszystkich, Julio.

- To prawda - przyznała ochryplym głosem.

Ryan próbował nie zadrećcać się rozważaniami o Julii, ale myśli nie chciały mu być posłuszne. Zastanawiał się, co ona teraz robi i czy jest z Holtem.

Każdego innego dnia uznałby, że jest piękny letni poranek, ale nie dzisiaj, kiedy szedł przez zwęglone ruiny rodzinnego domu. Był sam, pośród pomarańczowej, porannej mgły, w koszuli policjanta, którą narzucił na ramiona, by odpędzić poranny chłód. Brązowy kapelusz z szerokim rondem chronił twarz przed wiatrem i muchami. Na ramieniu miał szelki podtrzymujące broń. Wczoraj nie udało mu się ocalić niczego, choć miał taką nadzieję. I nikt z jego rodziny jeszcze nie wrócił. Niepokoił się, gdzie się znajdują i czy są bezpieczni.

Rozgarnął nogą popioły, pochylił się i podniósł błyszczący kawałek metalu. Wyglądał jak srebrna moneta, ale okazało się, że to tylko bezużyteczny kawałek wygiętej blachy. Obrócił go w rękę. Czy jego rodzina kiedyś mu wybaczy? Czy ojciec będzie potrafił zrozumieć, jak głębokie uczucia Ryan żywił do tego domu, jak często śnił o nim w Afryce? Babcia Ryana była pochowana na wzgórzu tuż za stajniami. To ona, na parowcu płynącym z Irlandii, nauczyła go czytać i pisać. Koń, na którym przyjechał tu z fortu, Charlotte, to była ta sama klacz, na której wygrał swój pierwszy wyścig. Po raz pierwszy w życiu zarobił wtedy całego dolara. Pomagał też budować stajnie. Kiedyś najwspanialsze w całym hrabstwie, teraz były tylko kupą zwęglonych belek. Większość zabudowań spaliła się aż do samej ziemi.

Również drewniane drzwi do piwnicy na owoce, tuż obok miejsca, gdzie kiedyś stała kuchnia, były poczerniałe od ognia. Zniknęła grusza i stara huśtawka, którą zbudował dla rodzeństwa. Jedyne dwie topole jakimś cudem ocalały z tego piekła, miały tylko trochę osmalone pnie.

Ryan obrócił blaszkę między palcami. On sam czuł się jak kawałek pogiętej blachy. Na pozór silny i pełen optymizmu, uznany chirurg, gdyby mu się bliżej przyjrzeć, okazywał się człowiekiem, który może się lada chwila rozsypać.

Co miał powiedzieć Julii? Razem walczyli o bezpieczeństwo mieszkańców Calgary. Dramatyczne okoliczności sprawiły, że tak bardzo zbliżyli się do siebie. Ogień został opanowany, powinien więc czuć ulgę, a tymczasem miał dojmujące poczucie utraty i osamotnienia.

W dali rozległ się tętent końskich kopyt. Ryan podniósł głowę i spojrział na horyzont. Zsunął kapelusz na czoło, by słońce nie raziło go w oczy, ale nie mógł rozpoznać jeźdźców. Od strony miasta zbliżało się kilka osób, parę innych nadjeżdżało z północy.

Przyjrzał się uważniej i na jego twarz wypłynął uśmiech. Julia! Galopowała szybko, z rozwianą spódnicą. Kowbojski kapelusz, przytrzymywany wstążką pod szyją, odbijał się od jej pleców, włosy rozwiewał wiatr. Za nią jechała jeszcze grupka ludzi, ale Ryan nie zwracał na nich uwagi. Zatrzymała się tuż przed nim. Zeskoczyła z konia i wydygotała:

- Dzień dobry.

Roześmiał się, zadowolony, że widzi ją całą i zdrową. Nastrój trochę mu się poprawił.

- Dzień dobry. Jak spałaś?

- Doskonale.

- A Pete? Jak on się czuje?

- Dobrze. Spędził wczorajszy wieczór z kuzynami i dzisiaj też go tam zostawiłam. Pomyślałam, że przyda mu się dzień odpoczynku. Jutro go zabiorę.

- Martwiłem się o niego.

Podniosła twarz. Włosy opadły jej na dekolt koronkowej bluzki.

- Dlaczego?

- Wiele wczoraj przeszedł. Najpierw został wepchnięty do wody, a potem musiał patrzeć z bliska na pożar. Pewnie się zastanawiał, czy uda nam się ujść z życiem.

- Obserwowałam go, spał dobrze. - Julia nasunęła kapelusz na czoło. - Zjadł duże śniadanie i poszedł się bawić, jak zwykle pełen energii. Dziękuję, że o niego zapytałeś.

- To dobry chłopak.

Twarz Julii spoważniała. Zdjęła kapelusz i obróciła go w rękach.

- Wczoraj wieczorem widziałam się z Holtem.

- Ach, Holt! - Na samo brzmienie tego imienia Ryan poczuł zazdrość. - I jak on się miewa?

- W porządku. Jest u Rossmanów, ale jeszcze dzisiaj wróci do szpitala w forcie.

Ryan patrzył na jej twarz.

- Pewnie był zadowolony, że cię widzi. Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Tak.

- Ryan! - zawołał ktoś.

- Flanagan? - zdziwił się niepomiernie Ryan. - Co cię tu sprowadza?

- Przyjechałem zobaczyć, czy to naprawdę tak źle wygląda.

Ryan wstrzymał oddech. Jeśli staruszek przyjechał tu, by poczuć satysfakcję z...

- Ryan! - zawołał ktoś inny.

Podniósł głowę i ze zdumieniem zobaczył przed sobą sznur ludzi, którzy zsiadali z koni. Niektórzy ciągnęli za sobą wozy wyładowane piłami i łopatami, inni nieśli koce i pościel. Mężczyznom towarzyszyły kobiety z koszami pełnymi napojów i kanapek, jakby wybrali się tu na cały dzień. Kilku od razu zaczęło kopać w ruinach, rozgarniać zwęglone szczątki stajni i karczować pniaki w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się sad.

Ryanowi oczy zaszyły mgłą.

Gdy Flanagan odszedł, by rozładować wóz, przyjrzał się wszystkim twarzom.

- Skąd wyście się tu wzięli?

- Przyjechaliśmy do pracy. - Julia uśmiechnęła się. - Będiesz potrzebował pomocy, żeby to wszystko uprzątnąć. - Zatoczyła ręką łuk, wskazując na zgliszcza rancza.

- Hej, Ryan!

Podniósł wzrok i zobaczył galopującego Mitcha, a za nim długą procesję członków rodziny nadjeżdżających z północy. Na twarzy Mitcha malował się głęboki smutek. Ryan żałował, że nie może nic zrobić, by ulżyć mu w cierpieniu, Mitch jednak nie pozwolił sobie na sentymenty. Zeskoczył z konia, przesunął dłonią po zarośniętym podbródku i spojrzał na starszego brata.

- Nie ma czego ratować. Trzeba zbudować wszystko od nowa. Jesteście gotowi? - zwrócił się do ludzi, którzy za jego plecami zsiadali z wozu. Była tam kobieta, zapewne jego żona, oraz grupka młodzieży, pewnie jej rodzeństwo. Wysiedli tak szybko, że Ryan nawet nie zdążył ich policzyć.

- To moja żona, Diana - oznajmił Mitch z dumą, wskazując na ładną, szczupłą brunetkę.

Diana wyciągnęła rękę. Ryan i Julia uścisnęli ją po kolei.

W następnej chwili pojawił się Travis ze swoim klanem. Ryan przypomniał sobie, że jego żona oczekuje dziecka, ale nie było jeszcze tego po niej widać. Travis pomógł jej zejść z wozu.

- To moja żona, Jessica. - Rozpoczęła się kolejna runda powitań.

Travis wciąż był nieco blady, ale pewnie trzymał się na nogach i uścisk jego dłoni był silny. Dwoje ciemnowłosych dzieci, dziewczynka i chłopiec, którzy wyglądali na bliźnięta, zeskoczyło z wozu i wpatrzyło się w zgliszcza.

- Oj! - powiedział chłopiec. - Nic nie zostało.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Travis dziewczynkę, a gdy skinęła twierdząco głową, zwrócił się do chłopca: - Twoja pomoc bardzo się przyda. Może pójdziesz po łopatę?

- Ja też! - wykrzyknęła dziewczynka i pobiegła za bratem.

Na widok całej tej gromady Ryan poczuł wzruszenie. Poznawał obcych, którzy tak naprawdę nie byli obcymi. Ich sztywne powitania wyraźnie pokazywały mu, jak wiele czasu zmarnował i jak mało wiedział o własnej rodzinie.

- Mój Boże! - Westchnął, gdy obok niego zatrzymał się następny wóz. - To chyba niemożliwe! To ty, Shawno? Zupełnie nie przypominasz tej dziewczynki, która wrzucała mi fasolę do łóżka!

Shawna wciąż miała masę rudych włosów, ale przybyło jej elegancji i wdzięku. W ramionach trzymała paromiesięczne niemowlę, a na przednim siedzeniu wiercił się kilkulatek.

- To ja, Ryan. Nie mogę uwierzyć, że wróciłeś do domu.

- Wygląda na to - powiedział cicho - że wróciłem tylko po to, żeby wszystko zniszczyć.

Siostra podeszła do niego, wciąż z dzieckiem na rękach.

- Mitch i Travis opowiedzieli mi, co się zdarzyło. Mój dom jest w mieście. Pub też.

- Popatrzyła na swojego wysokiego, ciemnowłosego męża. - Ocaliłeś nasz dom i pub. Ocaliłeś wszystkich w mieście.

Ona jednak również nie wiedziała, jak się zachować. Obyło się bez objęć i powitalnych pocałunków. Ryan spuścił wzrok, świadomy, że Julia wciąż stoi obok niego i obserwuje to rodzinne zgromadzenie.

Usłyszał skrzyp następnego krytego wozu i wpatrzył się weń z napięciem.

- Czy to jest wóz mamy?

- Tak. Mama już nie jest taka jak kiedyś - ostrzegła go Shawna. - Musisz z nią uważać. Pamięć jej szwankuje. - Przeniosła wzrok na Julię i skinęła głową. - Dzień dobry, pani O'Shea.

No tak, pomyślał Ryan, oczywiście, że się znają. Obydwie prowadziły przecież interesy w mieście. Było jednak oczywiste, że ich znajomość jest niezbyt bliska. Julia wpatrzyła się w swoje ręce. Mąż Shawny, Tom, czy też Quigley, jak nazywali go bracia Ryana, okazał jej więcej życzliwości.

- Miło mi panią widzieć. - Uśmiechnął się. - Czytałem wszystkie pani doniesienia o pożarze.

- Dziękuję - szepnęła Julia.

- Była niezastąpiona w tym pociągu - dodał Ryan z nieskrywaną dumą. - Nie poradzilibyśmy sobie bez niej.

Wiatr szarpał włosy Julii. Odrzuciła kosmyk z twarzy i skinęła do Ryana głową w podziękowaniu za miłe słowa, a potem przeniosła spojrzenie na wóz jego matki. W milczącym porozumieniu minęli dwóch mężczyzn, siedzących na przednim siedzeniu, i skierowali się prosto na tył.

Ryan omal nie potknął się z wrażenia, gdy zobaczył, jak krucha i słaba jest jego matka. Ubrana w ciemnobrązową suknię, na głowie miała czepek w takim samym kolorze. Joseph właśnie pomagał jej wysiąść z wozu. Na widok Ryana zeszywniał, po czym znów skupił uwagę na żonie. Wyjął z wozu laskę i wsunął jej w dłoń. Przy jego masywnej sylwetce jego żona wydawała się jeszcze drobniejsza. Ryan zauważył, że gdy szła, jej

ruchy wydawały się symetryczne, co oznaczało, że udar nie pozostawił żadnych poważniejszych śladów. Bogu dzięki!

Poprawiła czepek i odwróciła się do syna. Zdawało się, że zdziwił ją jego widok.

- Och, dzień dobry!

Chyba go nie poznała.

- Dzień dobry - powtórzyła, patrząc na niego, a potem na Julię, wyraźnie oczekując, że się jej przedstawią.

- Dzień dobry - odpowiedział Ryan łagodnie i popatrzył w jej przejrzyste, brązowe oczy, utkwione w jego okaleczonym uchu.

- Czy przyjechał pan tu, oficerze, żeby pomóc w porządkach?

- Tak.

- To dobrze, że pan tu jest. - Skupiła wzrok na jego twarzy. - Kogoś mi pan przypomina.

Spojrzenie Ryana powędrowało w stronę ojca. Do diabła, nikt nie uprzedził matki o jego obecności? Dlaczego? W jego gardle wzbierał szloch.

- Czy spodobała ci się suknia, mamó? - zapytał niskim, głębokim głosem, patrząc jej w twarz. - Wybrałem ją, bo niebieski to zawsze był twój ulubiony kolor.

- Och! - Westchnęła. Przechyliła głowę i znów się w niego wpatrzyła. Słońce oświetliło jej pomarszczone policzki. - Och! Mój chłopiec! Mój Donovan Ryan! - Objęła go ramionami. Była pierwszą osobą z rodziny, która to zrobiła. Była lekka jak płatek śniegu, ale uścisk miała mocny.

- Nie byłem dobrym synem - wymamrotał Ryan z twarzą ukrytą w jej czepku.

Odsunęła się nieco i spojrzała na niego.

- Z tego, co słyszałam, jesteś wartościowym człowiekiem.

Te słowa dodały mu sił. A więc jednak rodzina powiedziała jej, że wrócił.

- Modliłam się, żebyś znów nie wyjechał, zanim cię zobaczę. Zostaniesz przez jakiś czas, prawda?

- Tak, zostanę.

Wokół nich zaroilo się od ludzi. Shawna włożyła dziecko w ramiona męża i teraz ona również uścisnęła Ryana. Bracia trzymali się z tyłu, nie wyrażając ostentacyjnie

swych uczuć. Ryan zauważył jednak w tonie ich głosów, w złagodniałych twarzach, że wszyscy czekali, jak matka zareaguje na powrót dawno utraconego członka rodziny. Teraz dopiero poczuł, że wrócił do domu.

Bracia pytali, gdzie był i co widział. Siostra chciała wiedzieć, czy kanał La Manche jest niebieski. Któreś z dzieci dopytywało się, czy widział słonie w Afryce. Dopiero w pół godziny później udało mu się podejść do stojącej z tyłu Julii. Zaraz za nim podążyła matka.

- Dziękuję ci za tę suknię, synku. Miałam nadzieję, że upiekę ci coś dobrego i usiądziesz w mojej kuchni, ale... - Staruszka popatrzyła przez ramię na kupę popiołów, która kiedyś była jej domem. Zamęt ostatnich dni pozostawił wyraźne ślady na jej twarzy. Już dwa razy Ryan zauważył, jak ociera łzy. Ale jeśli wierzył w cokolwiek na tym świecie, to przede wszystkim w siłę swojej matki. - Ale ta piękna sukienka chyba nie przetrwała ognia. Nie pamiętam, gdzie... - Zmarszczyła brwi i zagubiła się w myślach.

- Kupię ci inne suknie - powiedział Ryan, próbując ją pocieszyć. Żałował, że nie może pstryknąć palcami i w magiczny sposób odbudować jej domu. - Kupię ci suknie z kołnierzami z importowanej koronki. Zawsze lubiłaś piękne, delikatne rzeczy.

Matka popatrzyła na pustą ziemię, chłonąc rozmiar zniszczeń.

- Mieliliśmy tak wiele pięknych rzeczy. Nie udało się ich ocalić.

Julia oderwała się od wozu i sięgnęła do kieszeni spódnicy.

- Proszę pani... To nie jest wiele w porównaniu z tym, co miała pani wcześniej, ale wczoraj udało mi się to uratować.

Na jej dłoni kołysała się porcelanowa baletnica. Matka uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Dziękuję. - Wzięła figurkę z ręki Julii i wpatrzyła się w nią, jakby widziała ją po raz pierwszy, a potem spojrzała na Ryana i znów na Julię, jakby zastanawiała się, co oznacza jej obecność u boku jej syna. - Pani O'Shea, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Bardzo mi przykro z powodu okoliczności, w jakich pani i pani rodzina poznała kiedyś mojego męża, ale dziękuję za to, że przysłała nam pani dzisiaj z pomocą.

Na ustach Julii pojawił się nieśmiały uśmiech. Nadzieje Ryana wzrosły. Otoczył ją ramieniem i poczuł, że zadrżała. Nie obchodziło go już, jaką odpowiedź usłyszał Holt, gdy się jej oświadczył. MacAllister mógł się ustawić w kolejce. Ryan był pierwszy.

Rozdział dziewiętnasty

Kłopot polegał na tym, że Ryanowi wciąż nie udawało się zostać z Julią sam na sam.

Rodzina natychmiast zabrała się do pracy. Wszyscy byli chętni, by uporządkować ruiny, oczyścić ziemię z popiołów, powybierać z nich zardzewiałe gwoździe i usunąć powykręcane koła wozów i inne rupiecie. Julia i dziadek krzatali się po pogorzeliśku razem z Reidami.

Upał był coraz większy. Ryan zrzucił wełniany mundur i został tylko w podkoszulku bez rękawów i ciemnych spodniach, podobnie jak wielu innych mężczyzn. Nie było sensu zachowywać form, gdy większość zgromadzonych stanowili farmerzy i rancherzy, którzy dobrze wiedzieli, czym jest ciężka praca.

Przed południem na zgliszczach pojawili się David i Clarissa, obarczeni aparatem i notatnikami. Julia ruszyła im na pomoc. Podeszła wreszcie do Ryana w porze lunchu, gdy wszyscy zebrali się na brzegu strumienia, popijając cydr i zajadając się grubymi plasterkami szynki.

- Ryan.

- Tak? - Przesłał jej najbardziej czarujący uśmiech, na jaki potrafił się zdobyć.

Zamrugła powiekami i wpatrzyła się w swój notes.

- Co się stało z bydłem i końmi? Gdzie są wasze zwierzęta?

- Bracia twierdzą, że wszystko jest w porządku. Są na naszych pastwiskach o dziesięć mil na północ stąd, po drugiej stronie Elk River. Zajmują się nimi pomocnicy z rancha i poganiacze bydła.

- Ach, rozumiem - mruknęła, pisząc w notatniku.

Miał ochotę wyrwać jej ołówek z ręki i zażądać, by na niego spojrzała. Słońce przebijało się przez słomkowy kapelusz, siejąc drobinki światła na jej policzki, a rozrzucone wiatrem włosy spływały jej na plecy.

- Muszę z tobą porozmawiać na osobności.

Podniosła głowę.

- Słucham?

- Nie wracaj do domu, dopóki nie porozmawiamy sam na sam.

Na jej usta powoli wypłynął uśmiech, który napełnił go nadzieją.

Podszedł do brzegu strumienia i usłyszał kobiecy śmiech. Clarissa tkwiła przy aparacie z głową schowaną pod ciemną tkaniną. Przed obiektywem stał David z małpką na ramieniu. Pozował do zdjęcia w towarzystwie kilkorga małych Reidów. Zdziwił go ten widok; nigdy dotąd nie widział, by David i Clarissa dobrze się bawili w swoim towarzystwie.

Po lunchu wrócili do pracy. Czyścili teren rancza, zaczynając od brzegu strumienia. Nawet pan Shapiro w swoim ciężkim garniturze przyszedł pomóc, ale nie chcąc pobrudzić sobie rąk, zajął się układaniem narzędzi na wozach. Pomagał mu w tym fryzjer, Todd Mead.

Późnym popołudniem sterta zwęglonych przedmiotów sięgała czubka głowy Ryana. Zdał sobie sprawę, że dzięki tym wszystkim ludziom praca, która powinna zająć dwa tygodnie, została wykonana w jeden dzień. To było zdumiewające.

Flanagan wskoczył na płaski kamień i dał znać, że chce coś powiedzieć. Zdjął z głowy czarny filcowy kapelusz, obrócił go rondem do góry, wyciągnął z kieszeni kilka monet i powiedział charakterystycznym dla siebie, burkliwym tonem, patrząc przy tym na najstarszego z Reidów:

- Nie przestałeś być sukinsynem, Joseph. Ale ktoś musi zacząć zbiórkę na odbudowę.

Wrzucił monety do kapelusza.

- Wy, Reidowie, poświęciliście swoje domy, więc teraz trzeba je odbudować. Masz tu dziesięć sztuk złota.

Wszyscy zastygli, przenosząc wzrok z Flanagana na Josepha, który wydawał się równie zdumiony. Flanagan jednak zachowywał się tak, jakby nie rozumiał, dlaczego wszyscy się na niego gapią.

- Oczywiście to nie znaczy, że teraz lubię cię bardziej...

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem i atmosfera się rozluźniła.

- Dziękuję ci uprzejmie - wykrzyknął Joseph zza taczki. Postawił ją na ziemi i otarł spocone czoło wierzchem brudnej, skórzanej rękawicy. - Ale nie oczekuj, że będę ci wdzięczny do końca życia!

Jednak szacunek widoczny w jego oczach miał większą wagę niż szorstkie słowa odpowiedzi. Patrzył ze zdumieniem, jak mężczyźni, jeden za drugim, podchodzą do kapelusza Flanagana i opróżniają kieszenie, wrzucając do środka banknoty dolarowe i luźne monety.

- Skoro już fundujemy ci ten dom - wołał ożywiony Flanagan - to mamy prawo decydować, jak ma wyglądać po odbudowie. Ja jestem za prostą chatą z bali. Nic tak wyszukanego i ostentacyjnego jak wcześniej!

Joseph skierował w jego stronę lepsze ucho.

- A ja jestem za tym, żeby nikt cię nie słuchał!

Ryan roześmiał się i sięgnął po łopatę opartą o drzewo.

- Doktorze Reid - odezwał się właściciel hotelu Preria, stając tuż obok niego.

- Czym mogę ci służyć, Wilbur?

- Pomyślałem sobie, że gdybyście chcieli zostać w mieście na noc, to kobietom przydałby się dostęp do wanny, żeby umyć dzieci. Przygotowałem kilka pokoi dla pańskiej rodziny. Możecie tam zostać tak długo, jak długo będziecie ich potrzebować.

- Naprawdę chcesz to dla nas zrobić?

- Przynajmniej tyle mogę. Ocaliliście mój hotel.

Ryan uścisnął mu dłoń, zdumiony hojnością mieszkańców miasta.

- Zostawię ci przyjemność poinformowania o tym całej reszty mojej rodziny. Będą zachwyceni.

Wilbur uśmiechnął się szeroko i odszedł. Dziadek Julii zbliżył się do Josepha z kapeluszem pełnym pieniędzy.

- To na początek powinno wystarczyć, żeby zacząć budowę trzech nowych rancz.
- A nie mogłyby być cztery? - zapytał Joseph, biorąc od niego kapelusz.
- A po co ci cztery? - zdziwił się Flanagan.

Joseph pobiegł wzrokiem po tłumie i zatrzymał spojrzenie na Ryaniu.

- Cztery? - powtórzył.

Było to zarazem stwierdzenie i pytanie.

Gardło Ryana zacisnęło się, gdy uświadomił sobie, o co pyta go ojciec. Nie był w stanie się odezwać, skinął tylko lekko głową.

Z drogi dobiegł ich turkot i stuk kopyt. W stronę rancza toczył się jeszcze jeden wóz, a obok niego galopowało kilku jeźdźców. Do diabła, pomyślał Ryan, teraz się zacznie! Z przodu wozu siedział Cleveland Bosley i wymachiwał do niego ręką. Towarzyszył mu Hobbs, handlarz antyków. Sześciu uzbrojonych mężczyzn na koniach trzymało strzelby w gotowości.

Bosley zeskoczył z wozu, Hobbs zaraz za nim. Bankier podszedł do Ryana i podał mu futerał na skrzypce, wciąż owinięty skórzanym paskiem i zamknięty na kłódkę.

- Przetrwały bezpiecznie - powiedział. Twarz miał bladą, a jego szara broda domagała się przycięcia. - Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem.

- Posłuchaj, Bosley...

- Trzymaj - powtórzył bankier, nie zwracając uwagi na tłum. - Zabierz to. Nie wyobrażasz sobie, czego te łobuzy nie próbowały. Miałem pięć prób rabunku. Val Zefield i jego brat siedzą już w więzieniu. Ostatniej nocy ktoś usiłował wypiłować otwór w tylnej ścianie budynku. Musiałem zatrudnić czterech dodatkowych strażników.

- Tam w środku nic nie ma.

Hobbs pobladł, ale Bosley mówił dalej:

- Przez ten przeklęty depozyt nie mogłem spać przez cztery noce. Dlaczego, do diabła, zostawiłeś to akurat u mnie? Nie prowadzę przecież twoich interesów, więc zupełnie tego nie rozumiem.

- Futerał jest pusty - powtórzył Ryan.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tylu złodziei naraz wypełzło ze swoich nor.

- Bosley, w tym futerale nie ma skrzypiec.

Bankier wreszcie zamilkł. Popatrzył na futerał, zmarszczył brwi i podniósł wzrok na Ryana.

- W każdym razie dziękuję ci za przechowanie futerału. Dobrze się nim zaopiekowałeś, nie ma żadnych nowych zniszczeń. - Ryan odwrócił się i odłożył futerał na wóz.

Bosley był bliski wybuchu.

- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?

- Przecież nigdy nie twierdziłem, że w środku są skrzypce.

- Ale ja myślałem...

- Nic nie poradzę na to, co myślałeś. Prosiłem cię tylko, żebyś zamknął ten przedmiot w sejfie, gdy mnie nie będzie, i dobrze ci za to zapłaciłem. Dziękuję.

- Co? - wyjąkał Bosley. - Jak mogłeś mi to zrobić?!

- Chciałem, żebyś odzyskał dobre imię, które straciłeś, odmawiając mi prowadzenia konta.

Bosley patrzył na niego z otwartymi ustami. Flanagan wybuchnął śmiechem, który słyhać było nawet z odległości dwudziestu stóp.

- A poza tym wiedziałem, że w ten sposób odwrócę uwagę złodziei od prawdziwych skrzypiec - dodał Ryan.

- Są w tym drugim banku? Tam je posłałeś?

- Prawdę mówiąc, nie.

Hobbs, ubrany w śnieżnobiały garnitur i czarny krawat, wysunął się naprzód.

- Sir, proszę nam powiedzieć, gdzie są te skrzypce? Jestem gotów podwyższyć ofertę.

Ryan westchnął. Julia stanęła obok niego, obdarzając go milczącym wsparciem. Matka Ryana wyszła z krytego wozu, w którym odpoczywała.

- Gdzie są pańskie skrzypce, sir? - powtórzył Hobbs.

Ryan popatrzył na pogorzelisko.

- Gdzieś w tej kupie popiołu.

- O mój Boże - jęknął Hobbs.

Musiał przytrzymać się najbliższego wozu, żeby nie upaść z wrażenia.

- Czy tego właśnie szukasz, Ryan? Skrzypiec? - zapytała matka. Popatrzyła na miejsce, na którym niedawno stał dom, a potem na częściowo zwęglone drzwi piwnicy. - Teraz sobie przypominam. Piwnica. Schowałam suknię i torbę w piwnicy, obok brzoskwiniowych konfitur, które kiedyś tak bardzo lubiłeś. Trzymałam to wszystko razem, na wypadek gdybyś wrócił. Chciałam ci upiec ciasto z brzoskwiniami.

- W tej dziurze? - wykrzyknął Hobbs. - Pod tymi spalonymi drzwiami? Przecież tam nic nie mogło ocaleć!

Ryan pocałował matkę w policzek. Obydwoje z Julią podeszli do drzwi piwnicy i szarpnęli za klamkę, ale haczyk w środku musiał się stopić, bo drzwi nie ustąpiły. Mitch przyniósł siekiere i przerąbał nadwęglone deski, Ryan zszedł w dół po cementowych schodkach i wyłonił się znów w dwie minuty później, trzymając w ręku suknię matki i włoskie skrzypce - jedno i drugie w nienaruszonym stanie.

Julia wybuchnęła śmiechem, bracia zaczęli wiwatować. W chwilę później, gdy wiadomość się rozniosła, przyłączyli się do nich wszyscy pozostali.

- Dziękuję ci, Adamie - szepnął Ryan, wodząc dłonią po lśniącem drewnie. - Byłeś dobrym przyjacielem.

Teraz już wiedział, co zamierza zrobić ze skrzypcami i z pieniędzmi.

Podał modrą suknię uśmiechniętej matce, a skrzypce Mitchowi, sam zaś podszedł do konia, wyciągnął z kabury przy siodle klucz do futerału i ten z kolei dał Travisowi. Wiedział, że jego bracia będą strzec cennego instrumentu własnym życiem.

- Panie Hobbs, teraz możemy zacząć negocjacje. Chciałbym dostać dobrą cenę, bo zamierzam odbudować to miasto, żeby wyglądało lepiej niż dotychczas. Za te pieniądze chcę zbudować remizę strażacką z pełnym wyposażeniem, z wozami, pompami i błyszczącymi wężami, a także kupić kilka dobrych koni do ciągnięcia tych wozów i wielki dzwon, który będzie słychać na wiele mil.

Mieszkańcy miasta wybuchnęli entuzjazmem, a to był dopiero początek. O pozostałych swoich planach Ryan zamierzał opowiedzieć wyłącznie Julii.

- O jakiej kwocie pan myśli? - zapytał Hobbs.

- Nie teraz - rzekł Ryan, rozglądając się za Julią. Minęła już pora kolacji i wszyscy zaczęli rozchodzić się do domów. - Jutro.

- Bez porozumienia z szefem mogę podnieść cenę o następne pięćset.

- Nie teraz - powtórzył niecierpliwie Ryan.

Gdzie ona się podziewała?

- Dobrze, niech będzie tysiąc. Ostatecznie - tysiąc pięćset ponad to, co proponowałem wcześniej.

- Jutro - zawołał Ryan.

W końcu zobaczył Julię. Stała obok swojego konia, odwiązując torbę przy siodle. Słońce zachodziło już za górami, powietrze wkrótce miało się ochłodzić. Obok Ryana przemknęło kilka koni i jeszcze jeden jeździec.

- Zatrzymamy się dzisiaj w hotelu Preria! - zawołał do niego Travis.

- Znajdę was tam - odkrzyknął Ryan i pomachał rodzinie, nie spuszczać wzroku z Julii. Wyjęła z torby coś, co wyglądało jak szal, i wskoczyła na siodło. Nie, to nie był szal; to był stary skórzany płaszcz. Ryan natychmiast go rozpoznał. Poczł ściskanie w gardle na myśl, że ten płaszcz coś jednak dla niej znaczył, skoro go zatrzymała.

Spojrzała na niego przez ramię, jakby pytając go wzrokiem, czy pojedzie za nią, po czym szturchnęła konia piętami i ruszyła galopem. Ryan wskoczył na swoją klacz i ruszył jej śladem.

- Dokąd jedziesz?

Wiatr zerwał mu z głowy kapelusz. Widząc go w czerwonym mundurze, Julia poczuła dreszcz podniecenia. Znów wyglądał jak komendant na służbie.

- Wracam do domu.

Nie byli sami. Przed nimi i za nimi turkotały wozy wiozące rodziny, którym towarzyszyli mężczyźni na koniach. Ryan bez słowa pędził obok niej. Przekroczyli strumień i wyjechali na drugi brzeg. Po tym, jak przez ponad dwa dni uwięzieni byli w pociągu, walcząc ze ścianą ognia, teraz obydwójce nie mogli nacieszyć się wolnością.

Szybka jazda wprawiała ich w euforię, świeże powietrze wypełniało płuca. Zachodzące słońce zostawiało na niebie barwne smugi. Ptaki, niewidziane od wielu dni, świergotały, unosząc się nad koronami drzew.

Chciała z nim porozmawiać, chciała powiedzieć mu, co myśli, tylko gdzie mieli pojechać, żeby znaleźć się sam na sam?

Zbliżali się już do miasta. Ryan zwolnił i dotknął jej siodła, prosząc, by się zatrzymała. Kowbojski kapelusz kołysał się na jej plecach, skórzany płaszcz opadał luźno wokół kolan.

- Możesz zrobić, co zechcesz - powiedział, gdy zwolniła. - Możesz pójść do Holta. Jeśli przyjąłś jego oświadczyzny, to przypuszczam, że nie mam nic do gadania. Ale muszę ci to powiedzieć, Julio, a ty musisz mnie teraz wysłuchać.

Ryan sądził, że przyjęła oświadczyzny Holta? Serce Julii zabiło szybciej.

- Mogę pojechać teraz prosto do szpitala i powiedzieć mu, co myślę. Zrobię to, jeśli ty tego zechcesz. Powiem mu, że ty i on nie pasujecie do siebie. Powiem mu, że to ja do ciebie pasuję.

- Och, Ryan. Nie chcę, żebyś jechał do Holta.

- Tym razem nie zawaham się przed niczym, żeby ci pokazać, że zależy mi na tobie. Pragnę cię bardziej niż dziesięć lat temu.

Łzy zapiekły Julię pod powiekami. Była przekonana, że zrobiłby to. Wierzyła, że gotów był pojechać prosto do fortu i znaleźć Holta. Bez względu na swój stan zdrowia, sierżant musiałby wysłuchać wszystkiego, co Ryanowi leżało na sercu. Czowała się szczęśliwa, słysząc to. Powinna zwolnić i wyznać mu, że odrzuciła oświadczyzny Holta, ale zbyt dobrze się czuła, słuchając, jak Ryan próbuje ją przekonać.

- Zmieniłem się - mówił, wciąż jadąc obok niej. W jego głosie brzmiała szczerłość. - Miałaś rację, wcześniej byłem draniem. Nie wiedziałem, czego chcę i co jest mi potrzebne, dopóki tego nie straciłem. Dopóki nie straciłem ciebie.

Ze ściśniętym sercem skinęła głową kilku znajomym osobom. Ryan również wymamrotał powitania. Teraz pragnął pozbyć się wszystkich i znaleźć się z nią sam na sam. Słońce prawie już zaszło i zaczynało się ściemniać.

- Ja też popełniałam błędy - przyznała drżącym głosem.

Byli już prawie przy drukarni, a miała mu jeszcze tyle do powiedzenia.

Ściągnęła wodze, zsunęła się z siodła i przywiązała konia do słupka obok hotelu Preria. Ryan natychmiast znalazł się obok niej.

- Popęłniłam bardzo wiele błędów - szepnęła. - A jednym z nich było to, że próbo-
wałam winić ciebie za wszystko, co w moim życiu poszło nie tak. Miałeś rację, że pielęgnowałam urazy. Nie potrafiłam zapomnieć.

- Przykro mi z powodu tych słów, Julio. To nie było sprawiedliwe.

- Miałeś prawo do tego, żeby mówić szczerze.

- Ale nie miałem prawa ciebie ranić.

Julia wzięła głęboki oddech i mówiła dalej:

- Popęłniłam jeszcze jeden błąd, znacznie większy: nie wyznałam ci moich uczuć.
Chciałam, żebyś ty mówił za nas obydwójce, a tymczasem sama powinnam ci powiedzieć,
jak bardzo chcę być z tobą.

Nie zapalono jeszcze latarni. Postać Julii otaczał fioletowy zmierzch.

- Co ty powiedziałaś, Julio?

- Nie mogę spowiadać ci się ze wszystkiego na ulicy, a potem wrócić do siebie, jak
gdyby nic się nie zmieniło, ale nie potrafię już dłużej udawać.

Ryan obrócił się na pięcie. Zdjął torbę z siodła i spojrział na drzwi hotelu.

- Mam się tu spotkać z rodziną. Wejdźmy do środka, tam porozmawiamy.

Poczuła jego dłoń na plecach i nie zastanawiając się, czy to właściwe, przekroczyła
z nim próg holu hotelowego.

Rozdział dwudziesty

- Chodź do mojego pokoju - rzekł Ryan.

Puls Julii przyspieszył.

- Nie mogę tego zrobić - szepnęła, zaskoczona. - Ludzie pomyślą...

- A gdzie jeszcze możemy porozmawiać spokojnie? W holu? Jeśli będę musiał przywitać się z jeszcze jedną osobą, to chyba kogoś zastrzelę. Nawet na pięć minut nie mogę zostać z tobą sam na sam.

- Czy nie ma żadnego innego miejsca?

- Pięć minut! - Ryan pochwycił ją za rękę i pociągnął na schody. - Pięć minut, a potem możesz wrócić do domu.

- Ryan! - Próbowała się wyrwać, ale bezskutecznie.

Musiała biec po schodach, żeby dotrzymać mu kroku. Jakiś gość hotelowy, mężczyzna w średnim wieku, który właśnie schodził na dół, popatrzył na nich pytającym wzrokiem.

- Czego się boisz, Julio? - zapytał Ryan cicho. - Że znów cię skrzywdzę? Że Holt odkryje, gdzie byłaś? Nic mnie to nie obchodzi, idziesz ze mną.

- Jak ty mnie traktujesz? Ciągniesz mnie za sobą, nie zostawiasz mi żadnego wyboru. Przecież właśnie o tym rozmawialiśmy. - Julia musiała zniżyć głos, bowiem za rogiem korytarza rozległy się czyjeś kroki i obok nich przeszła młoda, rudowłosa pokojówka ze stertą czystych ręczników.

- Dobry wieczór państwu - powiedziała ze szkockim akcentem.

Zauważyła, że Ryan trzyma Julię za rękę, i zaczerwieniła się.

- Dobry wieczór, panienko. - Skinął jej głową. - Jak się miewają ręczniki?

Dziewczyna zachichotała.

- Przez cały czas dostarczają mi zajęcia. Czy mam panu przynieść rano gazety, sir?

- Nie, dziękuję - odparł. - Teraz mam własne źródło wiadomości.

Julia najeżyła się.

- Zdaje się, że to ten sam pokój, który miałeś wcześniej. Czy specjalnie o to prosiłeś?

Uniósł brwi i uśmiechnął się. Wprowadził ją do środka i obrócił z taką siłą, że upadła na wąskie łóżko.

- Wolałabym stać, gdy będę mówić - wykrztusiła.

Ryan rzucił worek na podłogę i sam również opadł na łóżko, przygniatając Julię swoim ciężarem.

- Bez względu na to, co chcesz mi powiedzieć, będziesz to mówić na leżąco.

- Puść mnie, ty wielki ośle!

Roześmiał się i mocniej przycisnął ją do materaca.

- Pięknie wyglądasz, kiedy jesteś wściekła. Policzki ci czerwienieją i wydymasz usta.

- Złaż ze mnie!

- Nie! Dobrze mi tu. - Poruszył się, przyciskając uda do jej ud. - Powiedz mi to jeszcze raz. Zaczynaj od tego momentu, kiedy mówiłaś, jak bardzo chcesz być ze mną.

- Idź do diabła!

- Och, Julio! Jak ty się pięknie wyrażasz! Zupełnie nie jestem zdziwiony, że słowami zarabiasz na życie.

Gdy zakłęła jeszcze wymowniej, roześmiał się i pocałował ją w szyję.

- Dlaczego ty nigdy nie całujesz jak normalny mężczyzna? - odezwała się.

To przykuło jego uwagę.

- To znaczy jak?

- Kiedy już uda ci się mnie położyć, to zaczynasz od szyi i schodzisz coraz niżej. Dlaczego nigdy nie zaczniesz od ust?

- Bo przez cały czas gadasz.

- Uch! - Zaczęła się wiercić pod nim, ale przyniosło to tylko taki skutek, że jeszcze lepiej wpasowała się w jego ciało.

- Całkiem nieźle - stwierdził, całując jej dekolt. - Podoba mi się ta bluzka. Nie widziałem jej wcześniej. Brzoskwiniowy to mój ulubiony kolor.

- Gdybym o tym wiedziała, to bym ją spaliła.

- Naprawdę? To nie byłoby mądre. Wcześniej czy później musiałybyś kupić sobie nową, ale mniejsza o to. Kupię ci jeszcze dziesięć takich.

Julia przestała się wyrywać.

- Co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi? - zainteresowała się.

- Chcę poczynić kilka inwestycji. W tym mieście jest pewna firma... Mam wielkie zaufanie do właścicielki. To nieduże miejsce, nic takiego, ale ma wyjątkowych pracowników, którzy nigdy się nie poddają. Choć życie rzuca im kłody pod nogi, co tydzień wydają gazetę.

Julia była zdumiona. Ryan rozluźnił uścisk. Gdyby chciała, mogłaby się wysunąć i odejść. Zapalono już latarnie na ulicy. Jedna świeciła tuż za oknem.

- Słyszałam, że właścicielka tego miejsca to okropna jędza.

- O, tak! Chciałbym ją dostać w swoje ręce.

Serce zabiło jej mocniej.

Ryan majaczył nad nią w mroku, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Jego kapelusz zniknął w tajemniczy sposób. Ciemne kosmyki włosów opadły na czoło, w oczach błyszczało mroczne światło.

Przesunął palcem po jej nosie, ustach i podbródku, a potem po szyi, przyglądając jej się z bliska.

- Dzięki Adamowi Willeby'emu jestem teraz bogatym człowiekiem, Julio, i zupełnie mi to nie przeszkadza. Chcę odbudować wszystkie domy, które wysadziłem. Zbuduję też wielką salę koncertową i nadam jej imię Adama. - Uśmiechnął się. - Podobałoby mu się to. Część pieniędzy przeznaczę dla mojej rodziny, nie pomijając nikogo, a także dla ciebie. Dla ciebie i Pete'a. Co on lubi? Wędki? Łódki? A ty co lubisz? Ładne ubrania? Dobre posiłki? Podaj jakiegokolwiek miejsce na świecie, a zabiorę was tam obydwój. Tadź Mahal, pałac Buckingham, południowy kraniec Ameryki Południowej, północny kraniec Ameryki Północnej - możemy uciec od wszystkiego. Od Holta też, jeśli zechcesz.

- Pożegnałam się z Holtem wczoraj wieczorem.

Palce Ryana zatrzymały się.

- Pożegnałaś się?

- Powiedziałam mu, że nie mogę za niego wyjść.

Jabłko Adama na szyi Ryana przesunęło się w górę i w dół.

- Dlaczego?

- Bo jestem zakochana w kimś innym - szepnęła.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział, tylko patrzył na nią. Na jego twarzy odbiło się najpierw zaskoczenie, a potem wielka radość.

- Julio, kocham cię z całego serca! Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Nie musisz. Jestem tutaj.

Pochylił się nad nią.

- Mój ojciec... Czy wiesz, że ojciec zaproponował mi, żebym zbudował sobie dom na jego ziemi?

- Naprawdę? - zdumiała się niepomiernie. - I co mu powiedziałaś?

- Zgodziłem się.

Julia odetchnęła z ulgą.

- Ryan, to wspaniale. Twoja matka będzie zachwycona. To chyba oznacza, że zamierzasz tu zostać na stałe?

Skinął głową. Wiedział, jak wielki udział ma Julia w tej decyzji.

Przez chwilę obydwójce milczeli.

- Jak się miewają David i Clarissa? - zapytał w końcu Ryan. - Widziałem dzisiaj, że pracowali razem, ale najbardziej zdziwiło mnie to, że David się uśmiechał.

- Clarissa oświadczyła mu się.

- Co takiego?!

- Naprawdę. Kupiła na rynku świeżą cebulę dla jego małpki, a potem poszła do pensjonatu, w którym David mieszka, i oświadczyła mu się.

Ryan parsknął śmiechem.

- I co on na to?

- Że skoro jego małpka lubi Clarissę, to on też.

Obydwójce jednocześnie wybuchnęli śmiechem, długim i serdecznym.

- Powiedziałem ci kiedyś, że zaszczytem jest znać ciebie - rzekł Ryan poważnie.

- Pamiętam. Nigdy wcześniej nikt nie powiedział mi czegoś równie miłego. Zaskoczyłeś mnie wtedy i nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Nie mam tu cebuli, ale proszę, zgódź się. - Spowaźniał i głos mu zadrżał. - Julio, pragnę, żebyś została moją żoną. Byłoby dla mnie zaszczytem, gdybym mógł mieć cię przy sobie przez resztę moich dni.

Zacisnęła powieki, a gdy znów je otworzyła, jej oczy błyszczały od łez i niewypowiedzianych uczuć. Ryan czekał z nadzieją.

- Dla mnie to również zaszczyt - szepnęła w końcu.

Objął ją mocno.

- Razem powiemy o tym Pete'owi. Przyniosę ze sobą duży kosz owoców, mnóstwo słodczy i puszkę tytoniu do żucia dla Flanagana.

- Dziadkowi taka próba przekupstwa z pewnością się spodoba. - Julia uśmiechnęła się.

- Sądzisz, że to dobry pomysł?

- Znakomity.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Na jej twarz padało zza okna złote światło latarni. Kiedy ich usta się spotkały, Ryan poczuł głęboką wdzięczność dla Adama za jego wspaniały dar, dzięki któremu w końcu wrócił do domu.

